

PRZEMYSŁAW BORKOWSKI



OPOWIEŚCI  
CENTRAL  
PARKU

 SAGA  
EGMONT

Przemysław Borkowski

Opowieści Central Parku

Saga

*Opowieści Central Parku*  
Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2011, 2020 Przemysław Borkowski i SAGA Egmont  
Wszystkie prawa zastrzeżone  
ISBN: 9788726630213

1. Wydanie w formie e-booka, 2020  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

## SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[MARTWY JOHN](#)

[CHUCK MAŃKUT](#)

[MAMA CARTER](#)

[O'HARA](#)

[BILLY SKUBANIEC](#)

[PORWANIE KOMISARZA CONNORSA](#)

[JOE KRÓTKA MORDA](#)

[WIELKA JATKA NA MANHATTANIE](#)

[FRANK CNOTY NA SZWANK](#)

[TESTAMENT GIOVANNIEGO CALZONE](#)

[JACK JACK DANIELS](#)

[JAK SIĘ NAPADA NA BANKI](#)

[BUCK NO I CO Z TEGO](#)

[DICK SZAJBUS](#)

[ŻÓŁTY JOE](#)

[CHICAGO](#)

[SKRZYŃIA](#)

[MLECZNY BOB](#)

[HARRY INDIANIEC](#)

[GANG LAWENDOWY](#)

[KRWAWY AARON](#)

[DOM ALFREDA KRIEPA](#)

[AL WYPLUJ TO](#)

[FLORYDA](#)

[TRZYNASTA ALEJA](#)

[COLT 1911](#)

[KING KURWA KONG](#)

[„KONSTYTUCJA”](#)

[BARRY IDIOTA](#)

[BABCIA](#)

[PRZYGODY DOBERMANA FREDA](#)

[KATE MASAKRA](#)

[ILE TO JEST: DOŻYWCIE?](#)

[PARIS – NEW YORK](#)

KULAWA MAGGIE

KOWBOJ HANS

ROMEO I SUZY

ABSOLUTNY PRZYPADEK

BANDA DZIKIEGO KENA

CENTRAL PARK

JOE MACNAB

WIELKA MIŁOŚĆ PANNY KITTY

OSTATNI SKOK SEBASTIANA REEDA

PARSZYWY WRZESIEŃ

JEDYNA RZECZ, KTÓREJ NIE MIAŁ BEN

ŚPIĄCY WALT

LILI HULAJNOGA

## MARTWY JOHN

Opowiem wam najpierw o Martwym Johnie. Martwy John w zasadzie nie był martwy. Nazwali go tak, bo wyglądał, jakby już nie żył. Nie śmiał się, mało mówił, nawet nie pił. Martwy John był jak polisa ubezpieczeniowa na życie, tylko w drugą stronę. Jeśli wiecie, co mam na myśli.

Na Brooklynie, gdzie mieszkał, mówiło się, że samo spotkanie z Martwym Johnem zabija. Dlatego John nie miał przyjaciół. Nie miał dziewczyny, nie miał nawet psa. Jedynymi jego kumplami były stare buty, ale i one podobno nie miały z nim lekko. Nic dziwnego, Johnny, jak na umarlaka, twardo chodził po ziemi. Mówiono, że na swoich interesach, o których większości babcie wolałyby nie opowiadać wnukom przed snem, dorobił się całkiem sporego majątku. Co z tego, skoro był martwy?

Kiedys Johnny zastrzelił pucybuta, podobno tylko dlatego, że za wysoko zadzierał głowę.

Martwy John. Teraz nie ma takich gości.

Mówiono, że Martwy John kiedys wcale nie był taki martwy. Pracował w banku, miał żonę, co roku na wakacje wyjeżdżał na Florydę. Miał żonę, ale miał też honor. Gdy ma się te dwie rzeczy naraz, o kłopoty nietrudno.

Kiedys, gdy Johnny wrócił wcześniej z pracy, zastał swoją żonę w łóżku z mleczarzem. Gdy to zobaczył, wściekł się. Zadźgał ich nożem do krajanania sera. Krew i mleko, splecione nierozdzielными strumieniami, jeszcze długo spływały po schodach. Nic mu nie udowodnili – z mleka trudno zdjąć odciski palców.

Ten wieczór wypalił w nim wszystko. Od tej chwili Johnny był martwy.

Martwy John niczego się nie bał. Mówili o nim, że szuka śmierci. Kiedy to słyszał, krzywił się. „Nie szukam śmierci – odpowiadał – znalazłem ją już tamtego kwietniowego poranka”. Jednak mylił się. Kiedys, gdy szedł załatwić swoje kolejne, brudne zlecenie, poślizgnął się na porzuconej na chodniku kanapce z masłem. Martwy John zachwiał się, zatrzepotał rękami. Zdziwienie było pierwszym żywszym uczuciem, którego doświadczył od dawna. Spodobało mu się to. Przez chwilę pomyślał nawet, że mógłby teraz zmienić swoje życie, zacząć wszystko od nowa. Jednak głuche uderzenie głowy o bruk przerwało te marzenia. Krwawa plama rozlewała się coraz szerzej. Po chwili Johnny'emu było znowu wszystko jedno. Teraz naprawdę był martwy.

## CHUCK MAŃKUT

Nowy Jork w latach trzydziestych był wspaniałym miastem. Podobnie jak Chicago w latach czterdziestych, San Francisco w pięćdziesiątych, a Los Angeles w sześćdziesiątych. Teraz nie ma takich miast. Chyba, że Des Moines, ale Des Moines to dziura. W takim właśnie mieście żył Chuck, kuzyn Martwego Johna.

Tak naprawdę, nikt nie wie, czy Johnny był rzeczywiście kuzynem Chucka. Na Brooklynie, gdzie matki nie znają ojców swoich dzieci, wszyscy są w pewnym sensie kuzynami.

Chuck był mańkutem. Nowy Jork to miasto prostych ludzi – jak jesteś mańkutem, mówią na ciebie Mańkut. A Chuck właśnie nim był.

Chuck grał na wyścigach. Chodził na tor, przypatrywał się uważnie, obstawiał jakiegoś frajera, po czym obrabiał go z pieniędzy. Koni Mańkut nie cierpiał. Mówił: „Jak mam lubić coś, co nigdy nie nosi przy sobie forsę?”. Cholerny kretyn! Po co koniowi forsę?

Chuck to był cwaniak. Miał to po ojcu, który też był cwaniakiem. Podobnie jak większość mężczyzn w ich rodzinie. Bajerowali dziewczyny, robili im dzieci, a potem się zmywali. Cwaniaki. Z kolei ich kobiety nie grzeszyły, jak widać, sprytem.

Chuck wdał się jednak w ojca. Kiedyś, gdy szedł Czwartą Aleją, zobaczył leżącego na ziemi dolara. Jak myślicie, co zrobił? Podniósł go? Każdy by tak zrobił, ale nie Chuck. Chuck to był cwaniak. Poczekał, aż dolara zauważy jakiś facet, a gdy ten schylał się, żeby go podnieść, Chuck obrobił go z całej forsę. Piętnaście dolarów za jednego! Nawet jakiś cholerny Rockefeller nie ma takiego przebicia.

Któregoś dnia Chuck wycwaniał się jednak za bardzo. Pożyczył forsę od Harry'ego Indiańca, kupił za nią towar od Martwego Johna, sprzedał go Billy'emu, a potem prysnął. Tego było za dużo, nawet jak na Mańkuta. Harry się wkurzył, Billy się wkurzył, Martwy John, jak to Martwy John, przyjął to obojętnie, ale właśnie on postanowił go załatwić.

Mówię wam, z Chuckiem było wtedy krucho. Gdyby był psem, z tych, co to zagryzają się w nielegalnych walkach na rogu Piątej i Jedenastej, nikt nie postawiłby na niego nawet złamanego centa. Właśnie wtedy jednak odezwało się to cholerne szczęście, które mają wszyscy mężczyźni w jego rodzinie. Martwy John, kiedy szedł go załatwić, poślizgnął się na porzuconej na ulicy kanapce z masłem i rozwalił sobie łeb. Wkrótce potem Harry Indianiec nadział się na kulkę jakiegoś gliniarza. Billy, widząc, co się święci, chciał mu odpuścić, ale na niewiele się to zdało. Załatwili go naziści, kiedy wyjechał do Hamburga. Chuckowi znów się upiekło. Podobno parę lat później, w czterdziestym ósmym zastrzeliła go jakaś dziewczucha, której zrobił dziecko i chciał potem prysnąć. Okazała się cwańsza od niego. Ale to już zupełnie inna historia.

## MAMA CARTER

Opowiem wam teraz o Mamie Carter. Mama Carter to była twarda sztuka. Prowadziła burdel przy rogu Czterdziestej Ulicy. Nie był to najlepszy burdel, ale, szczerze mówiąc, Mama Carter też nie była dobrą kobietą. Podobno biła klientów, którzy nie spodobali się jej dziewczynkom. Nie wiem, może to tylko plotki.

Mama Carter mówiła, że pochodzi z Warszawy. Moim zdaniem, kitowała. Żyję w Nowym Jorku już ponad czterdzieści lat i jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by pochodził z Warszawy. Gdzie to, u diabła, w ogóle jest? Pewnie w jakichś pieprzonych Kordylierach.

Mama Carter lubiła mówić: „Gdybyście, chłopcy, tak samo często używali swoich fajarek, jak swoich rewolwerów, już dawno byłabym bogatą kobietą”. To powiedzenie narobiło jej sporo wrogów. Zwłaszcza wśród tych, którzy rzadziej strzelają.

Jednak chłopcy i tak lubili do niej chodzić. Prawdę mówiąc, nie mieli innego wyjścia. Mama Carter była tak gruba, że sama by do nikogo nie przyszła. Jej dziewczynki za to były szczupłe i słodkie. Tyle, że słono kazały sobie płacić.

Mama Carter oprócz burdelu, który był nielegalny, prowadziła także zupełnie legalną knajpę, w której nielegalnie sprzedawała alkohol. To był bardzo cwany układ. Legalny lokal z nielegalnym wyszynkiem był przykrywką dla nielegalnego burdelu. Trudno było się w tym wszystkim połapać. Tylko urząd skarbowy znał zawiłości tego systemu. Podobno jedna z dziewczynek była ich wtyczką.

Zdarzało się, że policja, która robiła nalot na legalny lokal Mamy Carter, żeby skonfiskować nielegalnie sprzedawany w nim alkohol, po skończonej robocie szła się zabawić do nielegalnego burdelu, który był na drugim piętrze. Nikogo to specjalnie nie dziwiło, takie były wtedy czasy. Ludzie odnosili się do siebie z szacunkiem, nie to, co teraz.

Jednak Mama musiała się komuś narazić. Nikt nie wie, o co poszło. Może urząd skarbowy odkrył wreszcie, że prowadzi w piwnicy niezarejestrowaną pralnię? Tego nie dowiemy się nigdy. Chcecie wiedzieć, jak zginęła? Przywaliło ją drzewo. Podobno aż sześciu facetów targało je na czwarte piętro, gdzie mieszkała. Komuś najwyraźniej zależało, żeby jej śmierć wyglądała na wypadek. Policja, jak to policja, nic nie wykryła. Może zresztą woleli o niczym nie wiedzieć? Podobno ten, kto to zrobił, miał jeszcze w zapasie kilka takich drzew.



## O'HARA

Opowiem wam teraz o O'Harze. O'Hara nie miał przydomka. W Nowym Jorku wszyscy mają przydomki. Wystarczy się urodzić i już ci jakiś dają. Joe Krótka Morda, Frank Cnoty Na Szwank, Lili Hulajnoga – każdy ma jakąś ksywę. O'Hara nie miał. Było to dość dziwne – O'Hara był mały, rudy i był Irlandczykiem – mógł więc spokojnie nazywać się Mały O'Hara, Rudy O'Hara albo O'Hara Irlandczyk, ale nie. Po prostu O'Hara. Tak go wołali.

O'Hara nie należał do elity w żadnym tego słowa znaczeniu. Był, ale jakby go nie było. Nie obrabiał banków, nie naciągał frajerów, nie zajmował się mokrą robotą. Chłopaki zabierali go czasem na jakiś skok, ale zawsze jakoś tak przy okazji. Gdy był w pobliżu, to go brali. Mówili: „O'Hara, idziesz z nami!”. I O'Hara szedł. Co miał robić?

Nawet na dziwki do Mamy Carter O'Hara nigdy nie chodził sam. Zawsze z kimś, zawsze wlokąc się na szarym końcu. Parę razy zabrakło dla niego dziewczynek. Jak myślicie, co wtedy robił? Siedział w przedpokoju i czekał. Gdy chłopaki wychodzili, wychodził razem z nimi.

Teraz, gdy zacząłem o nim opowiadać, myślę sobie, że nieźle się wpakowałem. O O'Harze nie da się nic opowiedzieć. Przysięgłbym nawet, że nie pamiętam jego twarzy.

Jest jednak coś, o czym warto byłoby wspomnieć. Opowiem wam o tym, jak zginął. To niezła historia i w sam raz, jak na O'Harę.

Kiedyś chłopaki zabrali O'Harę na robotę. Był do skrojenia jakiś magazyn przy Wschodnim Nabrzeżu. Szedł Billy Skubaniec, Martwy John, Chuck Mańkut i jeszcze paru innych. Ktoś wcześniej wyłączył światło w tej części portu, żeby ci, co mieli go pilnować, mogli powiedzieć, że nic nie widzieli. Ciemno było jak w głowie u policjanta. Czarne budynki magazynów portowych, ogromne sylwetki dźwigów, w oddali połyskujące światła Manhattanu.

W pewnym momencie O'Hara potknął się o coś. Pochylił się, pomacał wokół i podniósł długą, lśniąca, metalową rurkę. Ucieszył się, bo czegoś takiego właśnie potrzebował. Już dawno chciał sobie zrobić karnisz w łazience, żeby dzieciaki z naprzeciwka nie zaglądały mu przez okno do wanny. O'Hara stał na środku magazynu, z satysfakcją trzymając w rękach długi, połyskujący przedmiot. W pewnej chwili ktoś włączył latarkę – światło odbiło się od cienkiej, metalowej rurki. Billy Skubaniec, który szedł za O'Harą, dostrzegł błysk na końcu długiej, wymierzonej w siebie rury.

Billy nie namyślał się długo, wiecie, jaki był szybki. Głuchy odgłos jego pukawki zabrzmiał w tej ciemności jak ujadanie psa. Martwy John, który szedł przed nimi, na odgłos strzałów odwrócił się, błyskawicznie wyciągając broń. W błysku strzałów zdołał jeszcze dostrzec drugi koniec rurki wycelowany prosto w swoją pierś. Bang, bang, bang! Martwy John w takich

sytuacjach nigdy się nie wahał. Gdy ktoś żyje w Nowym Jorku, wie, jakie to ważne – mieć pewną rękę.

Ciało O'Hary osunęło się na ziemię. Żył jeszcze, gdy do niego podeszli. Ciemne sylwetki otoczyły leżącą postać w milczeniu.

- Słuchaj, O'Hara – spytał Chuch Mańkut – jak ty masz właściwie na imię?

- James – odpowiedział O'Hara.

## BILLY SKUBANIEC

Pamiętacie Billy'ego Skubańca? Tego, co przez pomyłkę załatwił O'Hare? Pora opowiedzieć i o nim.

Billy pracował w przetwórstwie. Zabierał różnych gości na nabrzeże i przerabiał ich na pokarm dla rybek. Bardzo lubił tę robotę. Mówił: „Ciekawa praca na świeżym powietrzu, poznaje się dużo interesujących ludzi”.

Uważał się za kreatywnego pracownika. Żadnego zlecenia nie załatwiał tak samo. Chciał, żeby jego klienci go zapamiętali. „Nie chcę być jednym z tłumu anonimowych, zawodowych morderców – powtarzał. – W dzisiejszych czasach zabijanie ludzi cechuje daleko posuniętą depersonalizacja”. Depersonalizacja! Skąd on, u diabła, znał takie słowa? Może rzeczywiście, jak twierdził, zabijanie rozwija osobowość?

Billy Skubaniec miał jedno marzenie – chciał pojechać do Hamburga. Podobno jego matka spotkała tam jego ojca. Nie było to zbyt długie spotkanie. Jeśli wiecie, co mam na myśli.

Nie wiem, czego Billy miałby tam szukać. Jego ojciec był marynarzem i pewnie od dawna już gryzł muł na dnie jakiegoś morza. Jego matka mieszkała zaś w Nowym Jorku. Przyjechała tam jeszcze przed pierwszą wojną, jak to mówią, za chlebem. Nie wiem, czy znalazła w Nowym Jorku chleb, w każdym razie podłapała tu pewną chorobę, co zresztą nie przeszkodziło jej pracować w zawodzie, którego nauczyła się jeszcze w Hamburgu.

Największym numerem, jaki zrobił Billy Skubaniec, było zabicie komisarza Connorsa. To był majstersztyk. Billy tak to zakręcił, że nawet sam komisarz nie zorientował się, że został zamordowany. Był przekonany, że porwało go UFO. Policja zatuszowała sprawę, nie chcąc robić sobie obciachu, a Billy spokojnie zgarnął forszę i pojechał do Hamburga. Opowiem wam o tym przy innej okazji.

Z tym wyjazdem do Hamburga to była grubsza historia. Billy dostał zlecenie, podobno bardzo poważne, z terenu Niemiec. Był ogromnie podekscytowany, wiązał z nim plany na swoją dalszą przyszłość. „Gdy uda mi się wejść na teren Europy – mawiał – zostanę bogaczem, to bardzo chłonny rynek”. Biedny Billy! Nawet nie przypuszczał, jak chłonny.

W Niemczech właśnie do władzy doszedł Hitler. Roboty rzeczywiście było dużo, ale i konkurencja spora. Billy był naprawdę dobry, lecz przyjmował tylko indywidualne zlecenia. Zrealizował już parę kontraktów, gdy zorientował się, że konkurencja stosuje ceny dumpingowe. W takich warunkach nawet Billy zwątpił w sens tego, co robi. Można powiedzieć, że wykończyły go wilcze prawa rynku. On, fachowiec na najwyższym poziomie, stanął teraz przed hordą młodych, ambitnych i bezwzględnych morderców amatorów, pracujących częstokroć nawet bez wynagrodzenia. Mówili, co prawda, o jakiejś idei nazistowskiej, o rasie panów i o czystym, aryjskim społeczeństwie, ale Billy weszły w tym

raczej jakiś wredny, makaroniarski spisek. Jak nie wiadomo, o co chodzi, na pewno chodzi o pieniądze. Mówię wam, musiało tam chodzić o wielki, naprawdę wielki szmal.

A, ciekawi was pewnie, co się stało z Billym? Rozstrzelali go w jakiejś łapance. Dacie wiarę? Wzięli go za komucha.

## **PORWANIE KOMISARZA CONNORSA**

Wspomniałem już chyba, jak to Billy Skubaniec załatwił komisarza Connorsa? Nie? Czas więc opowiedzieć i o tym. Posłuchajcie, bo założę się, że dawno nie słyszeliście lepszej historii.

Connors to był straszny matoł. Przenieśli go do Nowego Jorku z Portland. Nie chodzi nawet o to, że brał za wszystko w łapę, tylko o to, że często zapominał od kogo. Takie rzeczy uchodzą może w jakimś pieprzonym Oregonie, ale nie w Nowym Jorku. To nie mogło tak dłużej trwać. Connors obrażał nie tylko nas, ale także wszystkich tych uczciwych policjantów, którzy wiedzą, co to znaczy honor i poszanowanie cudzych interesów. Trzeba go było załatwić. Ale zabić komisarza policji, to jak powiedzieć swojej żonie, że jest gruba – kłopoty ma się murowane. Coś jednak trzeba było zrobić. Martwy John zwołał naradę u Mamy Carter.

Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj. Przyszli prawie wszyscy: Harry Indianiec, Chuck Mańkut, Joe Krótka Morda. Przyszli Makaroniarze i goście od Żydów. Pokazało się nawet paru gliniarzy, z tych, co to nie czepiają się porządnym ludzi o byle głupotę. Każdy złożył się po równo – dziesięć patoli zieleniło się na stole jak wielki, krowi placek. Widok był, trzeba przyznać, ładny, ale jakoś nikomu nie spieszyło się, by po nie sięgać.

– Co jest chłopaki? – odezwał się Martwy John. – Nosicie coś między nogami, czy to tylko łajno wypycha wam gacie, bo narobiliście ze strachu w spodnie?

Billy Skubaniec trzymał się wtedy trochę na uboczu.

– Spokojnie, Johnny – powiedział. – Możesz obrażać tych frajerów, ale nie mnie. Załatwię Connorsa, dajcie mi tydzień.

O tym, co się potem stało, mało kto wie więcej, niż to było opisane w gazetach. Wersje są sprzeczne, a jedyny człowiek, który znał na ten temat całą prawdę – Billy Skubaniec – zawsze odsyłał nas do gazet. Pytacie więc, skąd ja o tym wszystkim wiem? Znałem Billy'ego. Wiem, jak pracował. Zresztą opowiedziała mi o tym jego dziewczyna, Lili Hulajnoga, która potem przez jakiś czas grzała i moje wyro.

Wszystko zaczęło się następnego dnia po narodzie u Mamy Carter. Komisarz Connors otrzymał wtedy pierwszy telefon z pogrózkami. Metaliczny głos, który odezwał się w słuchawce, przysięgał, że należy do Marsjanina.

W owym czasie wiele mówiło się o UFO. Jakiegoś farmera z Kolorado podobno porwali kosmici i przez dziesięć dni wykonywali na nim dziwne eksperymenty seksualne. Policja była wobec tej sprawy zupełnie bezradna. Sytuację zaciemniał dodatkowo fakt, że według kilku wiarygodnych świadków, farmer ów był w tym samym czasie w pewnym przydrożnym motelu, w towarzystwie żony swojego sąsiada.

Na komisarza Connorsa padł blady strach. Wzmocniona policyjna ochrona oraz inne nadzwyczajne środki bezpieczeństwa nie zdały się jednak na nic. Kiedy w przydomowym ogródku komisarza znaleziono dziwne, połyskujące srebrną farbą odchody, zaś na jego płocie pojawiły się niezwykle, jakby nieludzką ręką stworzone napisy: „Już jesteś trupem – kosmici” oraz „Załatwimy cię – UFO”, komisarz Connors załamał się całkowicie.

Sprowadzony specjalnie w tym celu z Waszyngtonu policyjny psycholog bezradnie rozkładał ręce. „Jak mam leczyć kogoś – pytał – kto uważa, że nękają go kosmici, skoro wczoraj przed drzwiami mojego pokoju hotelowego znalazłem martwego kota z żarówkami zamiast oczu?”

Sytuacja zrobiła się naprawdę poważna. Centrala policyjna z Waszyngtonu podejrzewała wielką, kosmiczną inwazję. Policjanci w całym stanie wyruszyli na ulice, by dyskretnie prowadzić poszukiwania niezidentyfikowanych, pozaziemskich form życia. Komisarz Connors zaszył się w domu. Podobno już po trzech dniach zaczął podejrzewać własną lodówkę o ukryte, wrogie względem niego zamiary. Czwartego dnia komisarz Connors zniknął. Szeroko zakrojona akcja poszukiwawcza nie przyniosła żadnego rezultatu. Jedynym śladem po komisarzu była pływająca po falach kanału portowego pomięta, policyjna czapka.

Od tego czasu kosmici nie odezwali się jednak ani razu.

Po trzech tygodniach sprawę zatuszowano. Oficjalny komunikat policji głosił, że komisarz Connors udał się na bezterminowy, bezpłatny urlop na Karaiby. Billy Skubaniec spokojnie zainkasował forszę i wyjechał do Hamburga. Nigdy, ani słowem nie zająknął się, jak zdołał namówić kosmitów, by porwali komisarza Connorsa. Teraz, gdy już nie żyje, nie dowiemy się tego nigdy. Może to zresztą i lepiej – czasami nie warto wiedzieć za dużo.

## JOE KRÓTKA MORDA

Opowiem wam teraz o facecie, którego nazywali Joe Krótka Morda. Ciekawi was pewnie, dlaczego tak na niego mówili? Gdybyście go kiedykolwiek widzieli, nie pytalibyście o to. Joe miał krótką mordę. Trudno to wytłumaczyć, ale tak właśnie było. A skoro tak było, trudno z kolei się dziwić, że tak go nazywali. Mam nadzieję, że wyjaśniłem wam to wystarczająco dokładnie.

Joe miał w życiu pecha. Urodził się z krótką mordą, a w dodatku tak nieszczęśliwie, że gdy skończył osiemnaście lat i wzięli go do wojska, akurat wybuchła wojna. Trzeba mieć naprawdę cholernego pecha, żeby tak trafić.

Joe umiał niezłe strzelać – mówiono nawet, że potrafi jednym strzałem włączyć ulubioną melodię w szafie grającej – jednak z bombami lotniczymi nie miał dużego doświadczenia. Nic zresztą dziwnego – chłopaki wymyślali czasem różne rzeczy, ale żeby zbombardować jakieś miasto, tego jeszcze nie było.

W Europie takie historie zdarzają się bardzo często. Wystarczy, że jakiś kraj ma interes do drugiego kraju – od razu go bombarduje. Ja to nawet rozumiem, tylko po co w to wszystko mieszać naszych chłopaków?

Joe poszedł więc na wojnę. To był bystry facet, od razu załapał, o co w tym całym zamieszaniu chodzi. A chodzi o to, żeby się nie wychylać. Na froncie też da się żyć, trzeba tylko bardzo uważać. Opracował nawet zbiór zasad, którymi należy się kierować na wojnie, żeby nie dać się zabić. Przysłał mi je kiedyś w liście, żebym przekazał je innym chłopakom, których posyłają na front. Podam wam je na wypadek, gdybyście też kiedyś tam trafili. Oto one:

### **Sześć zasad Joego Krótkiej Mordy ułatwiających przeżycie każdej wojny**

- Zasada nr 1: Nigdy nie uciekaj – odsłaniasz wtedy plecy.
- Zasada nr 2: Nigdy nie atakuj – odsłaniasz wtedy całą resztę.
- Zasada nr 3: Gdy zaczną strzelać, znajdź sobie coś twardego i wleź pod to.
- Zasada nr 4: W dalszym ciągu tam siedź.
- Zasada nr 5: Z zasady nie wykonuj rozkazów.
- Zasada nr 6: Przede wszystkim, naucz się czołgać.

Trzeba przyznać, że Joe całkiem nieźle sobie radził na tej wojnie. Przeżył kampanię w Afryce, lądowanie na Sycylii, brał udział w inwazji na Normandię (oczywiście wylądował w drugim rzucie) i w zdobywaniu opuszczonego przez Niemców Paryża. I właśnie wtedy, kiedy już wydawało się, że Joe spokojnie doczeka końca wojny, odezwał się ten jego przeklęty pech.

Było to w jakiejś małej wiosce, gdzieś na południu Francji. Oddział Joego miał za zadanie zająć opuszczony przez Niemców skład materiałów wojskowych. Front przeszedł tamtędy już dość dawno, nie było więc teoretycznie żadnego niebezpieczeństwa. Teoretycznie może i nie było, ale jak ktoś ma pecha, to już go ma. Choćby przez długi czas udawało mu się wymigać, ten pech go w końcu dopadnie. Joego dopadł właśnie tam.

Nikt nie wie dokładnie, co się wtedy wydarzyło. Ktoś zaczął strzelać, nie wiadomo – dla zgrzywu czy też wydawało mu się, że zobaczył jakiegoś Niemca. Kule uszkodziły jedną z beczek stojących rzędem pod ścianą. Z otworów zaczęła wypływać dziwna, szybko parująca ciecz.

W pierwszej chwili nikt nie zwrócił na to uwagi. Żołnierze w dalszym ciągu przeszukiwali zakamarki wielkiej hali. Po chwili jednak w powietrzu rozszedł się specyficzny, ostry zapach. „Gaz musztardowy! – krzyknął ktoś. – Zakładać maski!” Żołnierze rzucili się do swoich plecaków, wyciągając już prawie zapomniane, nieużywane przez cały okres wojny urządzenia.

Akcja przebiegła dość sprawnie – żołnierze w maskach przeciwgazowych na twarzach ruszyli do wyjścia. Tylko Joe miał kłopoty. Jego maska okazała się za duża. Joe najzwyczajniej w świecie miał do niej za krótką twarz! Gumowy balon z wielkimi, szklanymi oczami zwiślał mu pod podbródkiem niczym worek na obrok dla konia. Przez szczeliny zaczął się wsączać śmiertciony gaz. Joe, dusząc się i wymiotując, próbował jeszcze dobiec do wyjścia. Jednak na próżno. Gaz musztardowy zabija bardzo szybko.

Powiedzcie mi teraz, czy wojna nie jest najbardziej kretyńską rzeczą, jaką kiedykolwiek wymyślił człowiek? Biedny Joe! Pomyślcie tylko, mógł umrzeć w Nowym Jorku, otoczony kumplami, z kulą w brzuchu po jakimś skoku, ocierając płynącą krew zrabowanymi studolarówkami, a tak – zdechl jak pies w jakiejś zauszzonej, francuskiej dziurze! Mówię wam, nie ma nic gorszego niż wojna. Tylu fajnych chłopaków zginęło na niej zupełnie bez sensu.



## WIELKA JATKA NA MANHATTANIE

Nie wiem, nie było mnie tam, ale podobno poszło o jakąś dziwkę, którą ktoś komuś, no, wyobrażał. Biorąc pod uwagę, że zginęło wtedy szesnastu chłopaków, a goście ze wszystkich gangów przez miesiąc ganiłi się z wyciągniętymi spluwami po całym mieście, powód nie wydaje się aż tak istotny. Można powiedzieć, że przyczyna zginęła pod przygniatającą wszystko nawałą skutków. Tego typu imprezy zawsze zresztą zaczynają się od byle czego, a potem przebiegają podobnie. Jeden facet załatwia drugiego faceta, potem kumple tego pierwszego załatwiają z kolei jego, potem kumple tego drugiego postanawiają załatwić kumpli tego pierwszego, potem strzelają już do siebie wszyscy.

Tak było i tym razem. Wszystko zaczęło się – jak zresztą większość rzeczy w tym mieście – w lokalu Mamy Carter. Jack wszedł do niego jak zwykle po południu, żeby przepłukać swoje zaschnięte od przekleństw gardło, gdy nagle z ciemności w głębi sali dobiegł go głos:

– Hej, Jack! Co tam było wczoraj między tobą a Sammy?

– A co miało być? – odezwał się Jack. – Co było, to było, a co było, to pewnie nieraz się jeszcze powtórzy.

– Chyba nie, Jack, chyba nie – odrzekł głos spod ściany i na poparcie swych słów przedstawił dwa argumenty z czterdziestki czwórki. Jack, lekko zdziwiony, machając rękami, zaczął cofać się ku wyjściu. Zanim szepcząc „O, w mordę!”, wypadł tyłem przez szklane drzwi na zewnątrz, z przeciwległego końca sali rozległ się głos:

– Ktoś zabił mi kumpla!

Potem sprawy potoczyły się już szybko. Mordercą Jacka okazał się być niejaki Frank, zastrzelony następnie przez Sama, właściciela głosu numer dwa. Kumple Franka dowiedziawszy się, co się stało, załatwili z kolei jego. Nie zdążyli jeszcze opić swej zemsty, gdy kumple Sama dopadli ich w barze przy Drugiej Alei.

Potem kumple kumpli Franka skrzyknęli się i zaczęli strzelać do znajomych Sama. Ci, którzy znali Sama, zaczęli więc strzelać do tych, którzy go nie znali, a ci, którzy go nie znali, zaczęli strzelać do wszystkich, którzy mieli broń.

W całym tym zamieszaniu zachodziły czasami tragiczne pomyłki. Mały Jim zginął na Brooklynie za to, że znał Freda, który podobno znał kogoś, kto załatwił Franka. Tymczasem, jak się potem okazało, Freda nie było wtedy w mieście, więc Mały Jim zginął całkiem niepotrzebnie. Ruda Sammy, która była powodem całej tej awantury, oplakując śmierć Jacka (albo Franka – trudno w tej chwili dociec) załatwiła jakiegoś klienta, który, co wydało się parę dni później, dopiero co przyjechał z Minnesoty. Policja co jakiś czas strzelała do kogoś z

ukrycia, wiedząc, że jego kumple pomyślą, że zrobili to kumple kogoś innego i zaczną do nich strzelać.

Mówię wam, zginęło wtedy wielu fajnych gości. Przeżyli tylko ci, którzy, jak ja, nie mieli za dużo kumpli. Z perspektywy czasu dobrze jednak wspominam tamte chwile. Ci, z którymi o tym rozmawiałem, mówią to samo. Czas, jak powiadają, leczy rany, a pamięć nadaje wszystkim wspomnieniom urok niezapomnianej przygody.

## FRANK CNOTY NA SZWANK

Frank był facetem, któremu nie mogła się oprzeć żadna dziewczyna w mieście. Niektóre próbowały, ale jakoś opornie im to szło. Frank miał coś takiego w oczach i nosie, co powodowało, że robiły wszystko, co tylko chciał. Mówił: „chodźcie”, one szły. Mówił: „kładźcie się”, one się kładły. Szczerze mówiąc, zawsze chciałem być takim facetem jak Frank.

Pewnie dlatego byliśmy przyjaciółmi. Frank pozwalał mi czasem podrywać dziewczyny, które już mu się znudziły. Ja zabierałem go czasem do teatru. Jednak z obu tych rzeczy niewiele zazwyczaj wychodziło.

Mimo wszystko, przeżyliśmy ze sobą wiele niezapomnianych chwil. Pamiętam, jak raz szliśmy razem Czterdziestą Drugą Ulicą. Frank zobaczył nagle sprzedawczynię w budce z hamburgerami. Nie była ładna, ale nie była też brzydka. Nie wiadomo dlaczego, Frank właśnie takie lubił najbardziej. Podszedł do niej i powiedział:

- Poproszę dwa hamburgery z podwójnym majonezem.

Dziewczyna musiała słyszeć takie teksty setki razy dziennie, tym razem jednak zupełnie zgłupiała. Frank popatrzył jej głęboko w oczy i powiedział:

- Kładź się!

Dziewczyna bez słowa zdjęła fartuch i położyła się na podłodze. Frank rzucił do mnie:

- Popilnuj trochę! - i wszedł, schylając się, do budki. Musiałem wyglądać jak kretyń, kiedy tak stałem przed tą z lekka trzęsącą się budą, krzycząc nerwowo do zbliżających się klientów: „zamknięte!”

Trwało to, muszę przyznać, dość długo. Kiedy Frank już wreszcie skończył, wyszedł na zewnątrz, otrząpął z rękawów resztki prażonej cebuli, zapalił papierosa i rzucił w głąb budki:

- Co z tymi hamburgerami?

Takie rzeczy, nie da się ukryć, zapadają w pamięć. Frank pokazał klasę. Wracaliśmy razem tą samą drogą, jedząc w milczeniu hamburgery. Frank co jakiś czas spoglądał na mnie z tryumfem, wreszcie nie wytrzymał i spytał:

- No i co ty na to?

- Moim zdaniem, za dużo majonezu - odpowiedziałem.

Mógłbym wam opowiedzieć jeszcze dziesiątki takich historii. Ciekawe, czy Frank opowiada też historie o mnie? Pewnie nie. Nie wiem tego, bo od jakiegoś czasu nie spotykamy się. Nasza przyjaźń skończyła się pewnego upalnego, sierpniowego popołudnia. Siedzieliśmy u mnie w domu, popijając piwo i leniwie grając w karty. Nuda była tak gęsta, że można byłoby ją kroić i dodawać do pizzy. W pewnym momencie Frank popatrzył na mnie tym swoim świdrującym spojrzeniem i powiedział: „kładź się!”. Trochę mnie to kosztowało, ale nie

położyłem się. Frank wściekł się. Na nic zdały się moje tłumaczenia, że nie jestem kobietą. Nie chciał tego słuchać. Wyszedł i trzasnął drzwiami. Wtedy zrozumiałem, że tak naprawdę, nigdy nie chodziło mu o to, żeby zaliczać kolejne panienki. Chciał w ten sposób zapełnić pustkę, którą miał w sobie. Zrozumiałem też, dlaczego mi nigdy nie wychodziło z kobietami – mam dość bogate wnętrze, nie musiałem więc niczego zapełniać. W pewnym sensie – pomyślałem sobie – jest to nawet sprawiedliwe. Jedni mają bogate wnętrze i nie wiedzie im się z kobietami, drudzy kryją w sobie pustkę i mają pełno dziewczuch na wyciągnięcie ręki.

Chociaż nie – pomyślałem po chwili – to jednak nie jest w porządku.

## TESTAMENT GIOVANNIEGO CALZONE

Stary Giovanni Calzone to był facet, który rządził całą dzielnicą włoską w Nowym Jorku. Wtedy, co prawda, Włosi nie znaczyli jeszcze tyle, co później, ale i tak don Giovanni był niezłą szychą. Kontrolował cały przemysł lodziarski i większość masarni w mieście. Mówiono, że z trzech samochodów chłodni, które jeżdżą po ulicach Nowego Jorku, dwa należą do niego.

Nie wiem, czy to prawda, faktem jest natomiast, że stary Calzone miał niezłego fioła na punkcie mięsa i wędlin. Mówił: „Na Sycylii moi rodzice często jedli szczury, dlatego nie pozwolę, by komukolwiek z moich rodaków w Nowym Jorku zabrakło salcesonu i pepperoni”. Tę swoją wizję często wprowadzał w życie siłą. Gdy któryś z Włochów za rzadko odwiedzał sklepy Calzone, chłopcy don Giovanniego odwiedzali jego. Nie bez powodu niezłymi sprzedawcy jarzyn nadali mu przydomek „rzeźnik”.

Stary Calzone nawet jak na Makaroniarza był dość jurny. Miał trzy żony i szesnaścioro dzieci. Ostatnia żona nie zdążyła, co prawda, dać mu potomka – była bardzo młoda, a Calzone już dość stary i powiadano, że całkiem kto inny spełnia na niej obowiązki małżeńskie.

Może to zresztą i lepiej. Dzieci don Giovanniemu nie bardzo się udawały. Żadne nie podzielało jego miłości do wędlin, większość z nich wstydziła się nawet, że ich ojciec jest zwykłym masarzem. Wykształcone na najlepszych uniwersytetach, brylowały w salonach zdegenerowanych, nowojorskich intelektualistów i żadnemu jakoś nie przyszło do głowy, że gdyby nie kiełbasy ich ojca, byłyby teraz w najlepszym razie roznosicielami pizzy.

Nic więc dziwnego, że już na kilka lat przed śmiercią stary Calzone zdążył pokłócić się ze wszystkimi swoimi dziećmi. Dawał im, co prawda, wysokie, comiesięczne pensje (w końcu był Włochem, a Włosi dbają o swoje rodziny), nie widywał się z nimi jednak od dawna i co jakiś czas straszył wszystkich wydziedziczeniem. Nikt specjalnie nie zawracał sobie głowy tym jego gadaniem, mówiono: „z dużej chmury mały deszcz” i „pies, który szczeka, nie gryzie”, lecz kiedy wreszcie stary umarł, wśród jego spadkobierców zapanowało nerwowe podniecenie.

Odczytanie testamentu miało nastąpić w starej firmie adwokackiej, od lat związanej z rodziną. W niedużej salce zebrało się ponad dwadzieścia osób: szesnaścioro dzieci, trzy żony, adwokat i wykonawca testamentu. Już ten ostatni powinien wzbudzić niepokój zgromadzonych. Wykonawcą testamentu don Giovanniego okazał się bowiem nie kto inny, jak Martwy John, od dłuższego czasu pozostający w nie najlepszych, oględnie mówiąc, stosunkach z rodziną Calzone.

Prawdziwy szok przyszedł jednak dopiero później. Majątek został dosyć sprawiedliwie podzielony między wszystkich członków rodziny, spadkobiercom Calzone postawiono jednak jeden, za to istotny warunek: mają zjeść jego ciało na wspólnej, kanibalskiej uczcie. Don

Giovanni pozostawił swojej rodzinie dużą swobodę, jeśli chodzi o przebieg i przygotowanie tej uroczystości. Wymagał tylko, by zjedzone zostały wszystkie części jego ciała (z wyjątkiem, oczywiście, kości), zaś honorowe miejsce na stole, przy którym zasiądą biesiadnicy, miała zająć jego ugotowana głowa.

Gdy odczytano ostatnie słowa testamentu, na sali zapanowała głucha cisza. Martwy John przysięgał potem, że słyszał skrzywienie opadających ze zdziwienia szczęk. Ciszę przerwał adwokat don Giovanniego:

- Zapewne wielu z państwa myśli w tej chwili o podważeniu testamentu. Z góry uprzedzam, że będzie to bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe. Don Giovanni nie był niepoczytalny, omawiał ze mną wszystkie szczegóły - trzeźwo i rzeczowo. Przewidział wszelkie możliwości. Rok temu sporządził inny testament, w którym zapisał wszystko Instytutowi Popierania Masarnictwa w Massachusetts. Podważenie testamentu, który państwu przed chwilą odczytałem, spowoduje automatyczne wejście w życie tego drugiego, w którym cały majątek przypada Instytutowi. Podważenie tamtego testamentu jest z kolei prawie niemożliwe, gdyż nie zawiera on żadnych niezgodnych z ogólnie przyjętą praktyką treści, poza tym Instytut Masarnictwa będzie na pewno bronił go do upadłego. Jak więc państwo widzicie, jedyną szansą, by otrzymali państwo swoje pieniądze, jest dokładne wykonanie warunków testamentu, który właśnie odczytałem. Nad ich przestrzeganiem czuwać będzie tu obecny pan John Brosky, zwany Martwym Johnem. Jego szczerą nienawiść do waszej rodziny będzie zapewne najlepszą gwarancją dokładnego wykonania warunków testamentu.

Cisza, jaka zapanowała wówczas na sali, stała się, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej głucha niż przedtem. Jedynie Martwy John (wiem, że trudno w to uwierzyć) wyglądał, jakby miał się za chwilę uśmiechnąć.

- Szanowni państwo - powiedział - pozwólcie, że będę w tej sytuacji pełnił honory gospodarza domu. Jeśli nikt nie zgłasza żadnych zastrzeżeń, uczta, o której tu mówimy, odbędzie się za dwa dni, w piątek, czternastego lutego, w samo święto zakochanych. Teraz, niestety, muszę już państwa pożegnać, gdyż, jak państwo sami rozumieją, czeka mnie jeszcze sporo przygotowań.

Umówionego dnia wszyscy punktualnie stawili się w domu, gdzie miała odbyć się uczta. Zachowano, oczywiście, jak najdalej idące środki ostrożności. Cały dom obstawiony był chłopcami Calzone, którzy jednak nie mieli prawa wstępu do środka. Kucharza sprowadzono specjalnie z Francji, wynajętym prywatnym samolotem. Drogę z lotniska przebył z workiem na głowie, w samochodzie z przyciemnionymi szybami, tak że nie tylko nie wiedział, dokąd jedzie, ale nie znał nawet nazwy kraju, w którym się znajduje. Przygotowanie uczy z człowieka potraktował on jako nowe, ekscytujące wyzwanie kulinarne. Tym bardziej ekscytujące, że zaoferowano mu za nie całkiem przyzwoitą sumkę. Zresztą, skoro Francuzi jedzą żaby, nie powinno ich specjalnie brzydzić ludzkie mięso.

Martwy John niezwykle poważnie potraktował swoją rolę mistrza ceremonii. Uwagę przykuwał ustawiony w salonie i ozdobiony płonącymi świeczkami ogromny stół z zastawą na dwadzieścia osób.

- Pozwolą państwo, że zaproponuję im wino - odezwał się do przybyłych gości. - Dodałem do niego specjalny wyciąg z maku, który pozwoli państwu odprężyć się, i może

niewiele mniej poważnie potraktować zaistniałą sytuację.

Gdy goście usiedli, na stole zaczęły pojawiać się potrawy. Martwy John sam przynosił je z kuchni. Chodziło o to – jak mówił – by nie trzeba było potem zabijać kelnera. Potrawy wyglądały dość normalnie, a nawet smakowicie. Pieczenie, pasztety, potrawki, galarety – kucharz postarał się, by serwowane przez niego dania w niczym nie przypominały starego don Giovanniego. Po chwili jednak na stół wjechało danie główne – zastrzeżone specjalną klauzulą w testamencie – gotowana głowa z pieczonym jabłkiem w zębach.

W tym momencie jedna z dam wymiotowała. Wino jednak powoli robiło swoje. Ktoś rzucił głupi żart, rozległy się stłumione śmiechy – na początku ciche, potem coraz głośniejsze. Impreza, jak to mówią, rozkręcała się. Jazzowy big-band, którego stłumione pojękiwania dochodziły z tuby gramofonu, i coraz większe ilości makowego wina, wyraźnie poprawiały humor zebranych przy stole gościom.

– Cóż, zacząć wypada od przystawek – pierwsza sięgnęła do półmiska młoda wdowa. – Przynajmniej w ten sposób będę miała z niego trochę pożytku.

Odpowiedziały jej śmiechy. Pierwsza, porzucona ponad dwadzieścia lat temu żona głośno zastanawiała się, gdzie też znajduje się ta najważniejsza część jej byłego męża, która swego czasu dostarczyła jej tyle przyjemności. Synowie od razu wzięli się za pieczyście. Najstarszy, żartując, że teraz on jest głową rodu, więc pewnie posłuży za posiłek przy następnej okazji, rozpoczął krojenie pieczeni. Potrawy szybko znikwały ze stołu.

To, co nastąpiło później, znane jest tylko z opisów Martwego Johna. Nawet on jednak, mimo że widział w życiu niejedno (z czego większość sam zresztą zrobił) mówił o tym z wyraźną niechęcią.

Podobno w pewnej chwili jednemu z synów Calzone wydało się, że jest wilkiem. Szczerząc zęby, rzucił się na głowę swojego ojca, po czym, przewaliwszy się przez stół, wylądował pod blatem. Jedna z córek z kolei, płacząc, próbowała złożyć z powrotem ciało ojca z resztek pozostawionych na stole. Ktoś dostrzegł nagle Archanioła Gabryjela. Wszyscy co i raz wymiotowali, lecz nie przeszkadzało im to w dalszym jedzeniu.

Jakie były dalsze losy biesiadników, tego nie wiem dokładnie. Jedno jest pewne – rodzina Calzone przestała liczyć się w mieście. Podobno kilku z nich zwariowało, kilku popełniło samobójstwo, jeden został świętym. Interesy powoli przejął Martwy John. Jednak i jemu tamten wieczór nie przyniósł szczęścia. Powiadają, że kanapka, na której poślizgnął się na rogu Drugiej i Jedenastej, pochodziła właśnie z tamtej, kanibalskiej uczty.

## JACK JACK DANIELS

Jack był, powiedzmy sobie szczerze, pijakiem. Tak naprawdę, nosił jakieś głupie, niemieckie nazwisko, z rodzaju tych, których nigdy nie możesz zapamiętać – jakieś Grunewald albo Allenstain – ale ponieważ bardzo dobrze znał się z Panem Danielsem, aż się prosiło, by uczcić to jakoś w jego ksywie.

Jack Jack Daniels prowadził raczej nieskomplikowane życie. Wstawał rano, szedł do sklepu, kupował tam dwie butelki Jacka Daniela, po czym jedną wypijał przed południem, a drugą po południu. Jack nie uważał się za alkoholika. Mówił: „Kontroluję swój nałóg. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żebym rozpoczął drugą butelkę przed dwunastą. Nie mówię, oczywiście, o niedzieli. Niedziela to co innego”.

Myłoby się jednak ten, kto by sądził, że Jack był wypranym z uczuć degeneratem. Jack miał uczucia, a konkretnie jedno. Był głęboko, szalenie zakochany w Statui Wolności.

Dlaczego właśnie ją wybrał na obiekt swojej miłości, nie wiadomo. Może przypominała mu matkę? Dość, że każdą wolną chwilę (a jako pijak, miał ich całkiem sporo) spędzał w jej towarzystwie.

Trzeba przyznać, że było to solidnie zainwestowane uczucie. Jego wybranka była postawna, stateczna, zawsze na niego czekała i można było mieć pewność, że z nikim nie odejdzie.

Każdy dzień wyglądał więc tak samo. Jack brał swoją popołudniową butelkę Jacka Daniela, szedł do portu, tam siadał w swoim ulubionym miejscu, wyciągał lornetkę i patrzył. To były, jak mówił, najszcześniejsze chwile w jego życiu.

Wiem dobrze, że kiedy to czytacie, po waszych twarzach błąka się uśmieszek politowania. „Biedny frajer – myślicie. – Zakochał się w posągu!”. Nie macie racji. Miłość, jeśli tylko jest naprawdę szczerą, wierna i głęboka, potrafi przezwyciężyć najtrudniejsze przeszkody.

Tak więc i nasz Jack otrzymał w końcu swoją nagrodę.

Było to chyba wiosną. Albo jesienią. Coś (Jack twierdzi, że do tej pory nie wie, co to było) kazało mu kupić w sklepie nie dwie, ale trzy butelki Jacka Daniela. Kiedy dotarł do portu, było już dość późno. Jack usiadł tam, gdzie zawsze, wyciągnął z kieszeni płaszczka dwie butelki, potem starannie odwinął ze szmat swoją ulubioną szklaneczkę do whiskey i wyspał do niej garść przezroczystych, szklanych paciorków, żeby grzechotały na dnie jak kostki lodu. Nałóg Daniela i zaczął marzyć.

Marzyło mu się to wszystko, co wy, frajerzy, macie na co dzień, i co, jak mówicie, „zabija waszą spontaniczność”. Marzyła mu się rodzina, żona, dzieci, dom, praca od ósmej do szesnastej, lodówka kupiona na raty. I kiedy tak siedział i marzył, a whiskey ubywało w



butelkach, jak dni w naszym pieprzonym życiu, wtedy właśnie... No właśnie, wtedy nie wiadomo, co się stało.

Dość, że kiedy się obudził, była już głęboka noc. Jack usiadł, niepewną ręką pomacał wokół w poszukiwaniu butelki, gdy wtem dziwny blask oślepił mu oczy. Jack przetarł je, zmrużył, potem znowu przetarł i spojrzał. Przed nim stała kobieta. Trzymała w wyciągniętej ręce coś jakby latarkę, a z jej włosów wychodziły świetliste promienie.

- Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie kochał - powiedziała. - Rozbieraj się!

Kilka miesięcy później na sylwetce Statui Wolności dało się zauważyć dziwne wybrzuszenie. Służby miejskie tłumaczyły to odkształceniem materiału spowodowanym wyjątkowo wysokimi, jak na tę porę roku, temperaturami. Obiecano jak najszybciej przeprowadzić stosowne naprawy, jednak mimo szeregu wysiłków, wybrzuszenie ciągle rosło.

Jack jednak wiedział swoje. Tak jak każdego popołudnia przychodził na nabrzeże i z tryumfującym{f.w.} uśmiechem patrzył na coraz bardziej zaokrąglający się brzuch ukochanej. Przestał pić, znalazł nawet jakąś pracę. Możecie mi wierzyć lub nie, ale zerwał też znajomość ze swoim długoletnim przyjacielem, Jackiem Danielsem.

Którejś nocy Statuę Wolności zakryły rusztowania. Kiedy rozebrano je dwa dni później, wybrzuszenie zniknęło. Prasa, tak zazwyczaj skora do różnego rodzaju plotek, tym razem dziwnie milczała. Jack spakował się i wyjechał z miasta. Tego lata w Memphis urodził się Elvis. Przypadek?

## JAK SIĘ NAPADA NA BANKI

Z pozoru wszystko wydaje się dziecinnie proste. Wystarczy mieć kilku ludzi, mniej więcej tyle samo pistoletów, jakiś furgon i bank. I już w zasadzie można napadać. Z pozoru tak jest, czasem jednak sprawy się komplikują. Zwłaszcza, gdy się jest policjantem.

Jim Krawężnik był zwykłym posterunkowym. Był zwykłym posterunkowym, ale nie był zwykłym gościem. Często powtarzał, że tylko modlitwom swojej mamusi zawdzięcza to, że jest policjantem, a nie ugania się ze spluwą po ulicach, jak reszta jego kumpli. Niestety, mamusia już jakiś czas nie żyła, i za Jima nie miał się kto modlić.

Wszystko zaczęło się mniej więcej tak: Jim wrócił ze służby do domu. Zdjął mundur, usiadł na krześle, popatrzył na niedomykające się drzwi od szafy, popatrzył na przetartą ceratę na stole, popatrzył na przejeżdżający, jak co piętnaście minut, pociąg za oknem i powiedział: „pieprzę to!”

Tak to właśnie jedno słowo może zmienić człowiekowi życie. Nie musi to być oczywiście akurat to słowo, może to być, na przykład: „kocham cię”, albo: „możesz mnie zabić, nic wam nie powiem”, albo: „patrzcie, jestem batmanem!”. Życie Jimmy’ego zmieniło zwykłe: „pieprzę to!”

Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jak się powiedziało: „A”, trzeba powiedzieć: „B”. Jak się powiedziało: „pieprzę to”, trzeba potem powiedzieć: „chłopaki, mam plan”.

Chłopakami byli zaś: Tom zwany Malamutem, Ringo Niedomylec i chyba O’Hara, chociaż nikt, kto pamięta tamte wydarzenia, nie jest w stu procentach pewien, czy O’Hara tam był, czy go nie było.

Tom, Jim i Ringo znali się jeszcze z dzieciństwa. Razem bawili się w podpalanie śmietników, razem podglądali zalewanie zwłok w fundamentach, razem bawili się w przypalanie żelazkiem i przewiercanie kolan. Takie wspólne przeżycia to jak kapitał ulokowany w dobrym banku. Niestety, jak powszechnie wiadomo, pieniądze nie zawsze przynoszą szczęście.

Plan Jima był prosty. Tom wchodzi do banku i mówi, że jest z Federalnej Komisji Sejfów czy coś takiego. Kiedy dyrektor otwiera przed nim skarbiec, Tom daje mu w łeb, po czym wyciąga policyjny gwizdek pożyczony od Jima i gwizdże. Na ten znak Jim ubrany w swój policyjny mundur wbiega do środka i krzyczy, że w banku znaleziono bombę i że trzeba ewakuować pieniądze w bezpieczne miejsce, ale żeby nie wpadać w panikę. Wszyscy oczywiście wpadają w panikę i spieszą, gdzie pieprz rośnie. Wtedy pojawia się Ringo z workami, chłopaki ładują do nich forsy i też spieszą, tylko w drugą stronę.

To naprawdę miało szansę się udać. Ale wiecie, jak to jest: nie można być owczarkiem i wilkiem jednocześnie. Nie można przez całe życie bronić owiec przed wilkami, a potem jednego dnia przestawić się na wspólne przegryzanie im gardel.

Tak też było i z Jimem. Na początku wszystko szło dobrze. Najpierw „dzień dobry, kontrola sejfów”, potem gwizdek, potem, że bomba, potem wszyscy sieprzają i tylko na końcu coś się pochrzańilo.

Ktoś, chyba Ringo, kiedy już wszyscy sieprzyli i wydawało się, że napad udał się jak ta lala, zaczął śmiać się jak kretyn, krzyczeć „hurra!” i strzelać do pustych okienek kasowych.

- Uspokój się, Ringo - powiedział Jim. - Musisz to niszczyć? To czyjaś własność!

- Wyluzuj, koleś - odparł ze śmiechem Ringo. - Przecież napadamy na bank, mamy spluwy, możemy robić wszystko.

- Napadamy na bank, ale nie musimy od razu zostawiać po sobie pieprzonego burdelu. Posprzątaj to!

- Chyba żartujesz, Jim? - Ringo ciągle jeszcze się uśmiechał.

- Ani trochę - Jim wyciągnął spluwę. - Posprzątaj to natychmiast!

- Sam sobie posprzątaj, frajerze! - Ringo pogardliwie wyduł usta.

- Tak? Dobra, cholera, aresztuję cię! - przez zaciśnięte szczęki wysyczał Jim.

- Nie możesz go aresztować, Jim - wtrącił się Tom. - Napadamy właśnie razem na bank.

- Ciebie też, cholera, aresztuję! Rzucić broń, ręce do góry i na ziemię!

I tak, od słowa do słowa, wywiązała się strzelanina. Jim zabił Ringo, Tom zabił Jima, a jego z kolei zastrzeliła przybyła w międzyczasie policja. Któryś z pracowników banku musiał się w końcu zorientować, że nie ma czegoś takiego, jak Federalna Kontrola Sejfów. Jest Federalna Komisja Kontroli Sejfów. I znowu jedno słowo nieodwołalnie zmieniło czyjeś życie...

Najlepsze w tym wszystkim jest to, że Jim pośmiertnie dostał medal. Uznano, że widząc napad, bohatercko wbiegł do środka, próbując powstrzymać bandytów. Poległ, jak to się mówi, na posterunku. Jego mamusia byłaby z niego dumna.

## BUCK NO I CO Z TEGO

Buck był największym łgarzem, jakiego widziałem w życiu. Mówił, że coś zrobi, a nie robił. Mówił, że przyjdzie, a nie przychodził. Kłamał przy każdej okazji, jakby nie mógł inaczej.

Buck nie był przy tym artystą w swoim fachu, był raczej chałupnikiem. Kłamał dużo, ale głupio. I zazwyczaj sam się wsypywał. Mówił:

- Świetny film wczoraj widziałem. No rewelacja!

My na to:

- Jak to: świetny film wczoraj widziałeś? Byłeś w kinie? Buck, wczoraj obrabialiśmy Chińczyka. Mówiłeś, że nie możesz iść, bo twoja matka jest chora! I byłeś w kinie?!

Buck na to:

- No i co z tego?

No i co z tego! Trzeba przyznać, że z tym argumentem wyjątkowo trudno się dyskutuje. Dlatego Buck tak chętnie go używał.

Drugim jego ulubionym powiedzeniem było: „No i co zrobisz?” Mówiłeś:

- Buck, miałeś mi na dzisiaj załatwić tego gnata! Obiecałeś, że załatwisz!

Buck na to:

- Nie załatwiłem. No i co zrobisz?

Gdyby jeszcze Buck kłamał w poważnych sprawach! Gdyby mówił, że nie wzięł tej forsy, a tak naprawdę ją wzięł, albo gdyby mówił, że nie kapuje, a kapował, można by go było załatwić. Ale Buck okłamywał nas w kwestiach jakichś głupot. Był jak ciekący kran w kuchni. Wnerwiał cię, ale nie przeszkadzał jakoś strasznie. W każdym razie nie na tyle, by próbować coś z tym zrobić.

Poza tym, był naszym kumplem. Był sympatyczny, wesoły, i nigdy się nie stawiał. Mogłeś go obsobaczyć jak burą sukę, a on mówił tylko: „Sorry, chłopaki. Przepraszam”. Tylko że, kuźwa, wiedziałeś, że wcale nie jest mu przykro, że ma w nosie to, że się wściekasz, i że przy najbliższej okazji znowu zrobi to samo.

Taki właśnie był Buck. Kiedyś spotykamy się, a Buck mówi:

- Słuchajcie, w Dallas jest zupełnie inaczej niż tutaj. Kiedy tam byłem w zeszłym miesiącu...

My na to:

- Buck, byłeś w Dallas? Nic nam nie mówisz?

Na to Buck:

- Ja? Bo nie byłem.

Mówiliśmy mu:

- Buck, kiedyś się przejedziesz na tych swoich kłamstwach. Zakręcisz coś tak, że nie będziesz mógł już tego odkręcić.

Buck na to:

- Wiem. No i co z tego?

Buck miał jedną żelazną zasadę. Zawsze kłamał aż do końca. Wypierał się w żywe oczy. Choćbyś go przyłapał w wyciągniętym fiutem na jakiejś dziwce, Buck twierdziłby, że upadł na nią przypadkiem, kiedy poślizgnął się, wychodząc z wanny. I dopiero kiedy byś mu pokazał, że w tym mieszkaniu nie ma żadnej wanny, powiedziałby: „Nie ma? No to nie ma. No i co z tego?”.

Trzeba przyznać, że ta strategia była wyjątkowo skuteczna. Nigdy nie byłeś na sto procent pewien, czy Buck rzeczywiście kłamie. Choćbyś go złapał na gorącym uczynku, choćby dziesięciu ludzi to potwierdziło, choćby cały twój rozsądek, całe doświadczenie i wieloletnia znajomość Bucka mówiły ci, że kłamie, Buck wypierał się tak uparcie i konsekwentnie, że mimowolnie myślałeś: „Kurczę, może rzeczywiście mówi prawdę?”.

Buck zresztą sprawiał wrażenie, jakby po jakimś czasie sam zaczynał wierzyć w swoje kłamstwa. O ile dzień po, jeszcze ewidentnie kłamał, o tyle po upływie miesiąca już w zasadzie nie, bo w międzyczasie zdążył już uwierzyć w to, co mówi.

Czasami miałeś wrażenie, jakby w Bucku kłamał nie tylko Buck, ale jakby kłamało w nim samo kłamstwo. Jakby przemawiał przez niego jakiś bożek robienia ludzi w konia. Kłamało w nim wszystko i przy każdej okazji. Buck, na przykład, notorycznie przekręcał imiona i różne nazwy. Nie mówił Chuck Mańkut, tylko Chuck Kulas. Nie mówił Piąta Aleja, tylko Szósta. Albo Czwarta. Wydawałoby się, że zwyczajnie się pomylił, ale ja sądzę, że po prostu już nie mógł przestać. Był jak pijak, który musi być cały czas pijany, bo nie potrafi już żyć na trzeźwo.

Kiedy tak o nim opowiadam, zaczyna mi być go trochę żal. Żal mi tego małego, nałogowego, hurtowego łgarza, który tylu ludzi zrobił w konia, że aż dziw, że cały Nowy Jork nie biega dziś na czterech kopytach. Jest mi go żal tym bardziej, że wiem, jak skończył.

Jak myślicie, co załatwiło Bucka? Prawda. Zginął, kiedy pierwszy raz w życiu ją powiedział.

Było to jakoś na początku zimy. Ulicami Nowego Jorku przelatywały pierwsze śnieżne zadymki. Buck wracał właśnie do domu. Kapelusz mocno wciśnięty na głowę, wysoko postawiony kołnierz płaszcza, ręce głęboko schowane w kieszenie. Nagle drogę zastawiło mu dwóch dryblasów.

- Ty jesteś kumplem Sama? - spytał jeden z nich.

- Nie znam żadnego Sama - odpowiedział Buck i była to najświętsza prawda, bowiem rzeczywiście nie znał żadnego pieprzonego Sama.

- Ta, nie znasz! - Słowem pełnym powątpiewania towarzyszył metaliczny dźwięk odciąganego kurka.

- Chłopaki, przysięgam, ja naprawdę nie znam żadnego Sama!

- A to nie ty piłeś z nim wczoraj w barze przy Dwunastej Przeczniczy? - odezwał się drugi.

- Nigdy nie byłem w tym barze, nie wiem nawet, gdzie to jest! - zarzekał się Buck.

Cóż, lata kłamania zrobiły jednak swoje... Prawda, w nienawykłych do niej ustach Bucka, zabrzmiała wyjątkowo nieprzekonująco.

- Oj, wydaje mi się, że to jednak byłeś ty...

Dwa głuche wystrzały ledwie przebiły się przez świst zadymki. Ciało Bucka powoli osunęło się na świeży śnieg. Ten, który strzelał, dymiącą lufą rozchylił kołnierz płaszcza Bucka.

- Ej, to chyba rzeczywiście nie był on. Zabiliśmy nie tego faceta! - powiedział.

- No i co zrobisz? - filozoficznie zauważył drugi.

## DICK SZAJBUS

Opowiadałem wam już o Dicku? Nie? No to opowiem teraz. Zabawnie koleś zginął. Nie wiem, może niektórych to nie śmieszy, ale ja rechotałem przez pół dnia, kiedy się dowiedziałem, że umarł ze starości.

Z Dickiem nigdy nic nie było wiadomo. To był szajbus. Kiedyś przywiązał pijanego policjanta do polewaczki i... No i w zasadzie już nic. Dowcipy Dicka nigdy nie były zbyt skomplikowane.

Dick był jak źle ułożony pies myśliwski. Idziesz z takim na polowanie, oczekujesz, że wytropi ci jakiegoś, powiedzmy, jelenia, a ten od razu zaczyna szczekać i płoszy całą zwierzynę w lesie.

Taki też był Dick. Szajbus. Dlatego nikt nie chciał brać go na skoki. Dick mówił:

- Chłopaki, weźcie mnie ze sobą!

My na to:

- Po co? Żebyś znowu zaczął do wszystkiego strzelać, potem rozkręcił hydrant, a potem biegał nago po banku?

- Tym razem wszystko będzie okay, obiecuję!

My na to:

- Akurat! Poprzednim razem też tak mówiłeś.

Dick strasznie się z tego powodu frustrował. A kiedy był sfrustrowany, świrował jeszcze bardziej. A kiedy świrował jeszcze bardziej, my tym bardziej nie chcieliśmy go brać. I koło się zamykało.

Kiedyś Dick postanowił jednak przerwać ten zaklęty krąg. Pomyślał: „Skoro nikt nie chce mnie brać na robotę, zorganizuję sobie swój własny skok!”. Niby dobrze pomyślane. Skoro żadna lala cię nie chce, zamknij się w łazience i załatw sprawę sam. Brzmi rozsądnie. Plan Dicka miał jednak jeden słaby punkt. Tym punktem był sam Dick.

Zaczęło się od tego, że nikt nie chciał z nim iść. Każdy, komu to proponował, śmiał się tylko i mówił: „Organizujesz skok, Dick? Co to będzie? Chcesz obrobić gołębie z ziarna?”. Albo coś w tym stylu. Powiadają, że nawet O'Hara nie chciał się zgodzić.

Dick się jednak nie poddawał. W końcu znalazł jednego gościa. Podobno świeżo przyjechał z Polski, nie znał angielskiego i był pewien, że idzie pomalować komuś mieszkanie.

Jeśli to prawda, to niewiele się pomylił. Plan Dicka był wypisz, wymaluj, właśnie jak malowanie mieszkania. Kiedy zaczynasz, wydaje ci się to doskonałym pomysłem. Pod koniec wszystko jest upieprzone farbą, włosy masz posklejane, coś skapnęło ci do oka, a ty stoisz na środku tego burdelu i myślisz: „po cholere się w ogóle za to brałem?”.

Ale poczekajcie, opowiem wszystko po kolei. Dick postanowił, że na początek, żeby się wprawić, obrobi coś niewielkiego. Bardzo rozsądnie, należałoby jednak uściślić, co dla Dicka znaczyło „coś niewielkiego”. „Coś niewielkiego” nie oznaczało kiosku z gazetami ani nawet delikatesów na rogu. „Coś niewielkiego” znaczyło, że nie idziemy od razu do Fort Knox, albo dobra, idziemy, ale nie bierzemy wszystkiego.

OK, pomyślcie, to co sobie upatrzył? Bank? No i zgadliście. Bingo.

Plan Dicka był prosty. Kradniemy wóz strażacki, włączamy syrenę, przez szklane drzwi wjeżdżamy do środka, zgarniamy forszę i na sygnale odjeżdżamy. Znowu – brzmi rozsądnie. Ale pamiętajcie, kto miał tym wozem kierować. Dick.

Na początku wszystko szło dobrze. Wóz strażacki został ukradziony, syrena włączona i jedziemy. Tylko koleś z Polski, który siedział obok Dicka, robił coraz większe oczy. Póki co, jednak postanowił się nie odzywać. W końcu przyjechał do Ameryki niedawno, nie znał miejscowych zwyczajów. Skąd mógł wiedzieć – może właśnie tak tu maluje się mieszkania?

Niepokoić zaczął się dopiero potem. Dick, jako kierujący pojazdem uprzywilejowanym, miał niewątpliwie pierwszeństwo, wszystkie auta zjeżdżały mu więc z drogi. I chyba właśnie wtedy coś przeskoczyło w jego mózgu. Odezwała się ta jego słynna szajba. Dickowi spodobało się to. Spodobało mu się, że samochody spieszą przed nim na chodnik, spodobali mu się uciekający przed nim przechodnie, spodobała mu się wyjąca na dachu syrena. Wszystko to naprawdę było bardzo fajne. Dick zapomniał o swoim skoku, zapomniał o banku, zamiast tego, śmiejąc się jak szalony, gnał przez miasto, kasował samochody, wjeżdżał na chodniki, przewracał stoiska z owocami i ścinał hydranty.

Podobno rozbił cztery policyjne blokady. Podobno dopiero w New Jersey załatwili go, zagradzając mu drogę śmieciarką. Podobno, gdy wyciągali ich spomiędzy śmieci, facet z Polski śmiał się i krzyczał „I love America!”.

Dick, niestety, nie przeżył. Jego pusty łeb pękł jak marzenia o wielkim skoku. Kiedy o nim myślę, dochodzę jednak do wniosku, że miał piękną śmierć. No powiedzcie sami, czy choć jeden z was nie marzył nigdy o takiej jeździe? Warto było! Warto było zginąć, żeby choć raz w życiu tak się przejechać.

Ale jak to – spytacie – chwileczkę! Mówiłeś przecież na początku, że Dick umarł ze starości? Faktycznie, tak mówiłem. Pomyliłem się. Zresztą nie wiem, może i umarł. Z Dickiem nigdy nic nie było wiadomo.



## ŻÓŁTY JOE

Trzeba przyznać, że problem narodowościowy był w Nowym Jorku wyjątkowo nabrzmiały. Wszędzie kręcili się jacyś brudni Makaroniarze, parszywi Irlandczycy, jełopowaci Polacy czy parchaci Żydzi. Co było robić? Każdy z nas należał do którejś z tych kategorii, a niektórzy, dzięki tradycyjnej w Nowym Jorku łatwości kontaktów seksualnych, nawet do kilku z nich jednocześnie.

I tak, na przykład: jeśli jakiś jełopowaty Polak przeleciał parszywą Irlandkę, rodził się z tego jełopowato-parszywy mieszaniec, a jeśli dodatkowo jeszcze wyobrażał on jakąś parchatą Żydówkę, która urodziła mu następnie bachora – to macie już pełny obraz statystycznego mieszkańca Nowego Jorku.

Co ciekawe, wszyscy oni nienawidzili się jak wściekłe psy. Każdy przy tym uważał siebie i swoich ziomków za bóg wie co. Niezależnie od tego, ile małych, żalonych, europejskich kraików złożyło się na jego szacowny tyłek, zawsze uważał siebie za jedynego prawdziwego nowojorczyka, a całą resztę za zbieraninę złodziei, brudasów i bękartów.

Wszystko to nie odnosiło się jednak do Chinoli. Ci byli jak odrębny gatunek, jakby przylecieli do nas z kosmosu. Nie wiadomo było, lubią nas, czy nie lubią? Uważają za śmieci czy nie uważają? Siedzieli tylko w tych swoich sklepikach, pralniach i restauracyjkach, ledwo mówili po angielsku, a kiedy patrzyli na ciebie, to jakby patrzyli na ścianę.

W przypadku innych, wiadomo było mniej więcej, kto kogo lubi, a kogo nie. Irlandczycy nienawidzili Makaroniarzy, ale dogadywali się z Polakami. Żydzi nie cierpieli Irlandczyków i Polaków, ale Makaroniarzy już tolerowali. Wszyscy oczywiście robili z sobą interesy, obrabiali się wzajemnie, co jakiś czas do siebie strzelali, ale to było co innego. Chińczycy nie mieli ani przyjaciół, ani wrogów. Po prostu byli. Jak szedłeś coś kupić u Chińczyka, to jakbyś kupował colę w automacie. Płacisz, zabierasz i tyle.

Chińczyków też się oczywiście obrabiało, ale jakby mniej. Było to z jednej strony łatwiejsze, ale z drugiej – jakby mniej ekscytujące. Kiedy obrobiłeś Irlandczyka, wiedziałeś, że jeszcze jego dzieci i wnuki będą cię za to nienawidzić, i że zyskasz dzięki temu porządnego wroga, z którym to i postrzelać się można, i powyzywać w knajpie. Kiedy obrabiałeś Chińczyka, zyskiwałeś, co prawda, parę dolców, ale przyjemności z tego nie miałeś żadnej. Kiedy wyobraçałeś żonę Makaroniarzowi, wiedziałeś, że dopiero teraz zaczyna się prawdziwa zabawa, i że przez najbliższy rok czas wolny masz już zorganizowany. Jeśli zaś chodzi o Chinoli, to nie wiadomo było nawet, czy oni w ogóle mają żony. Zobaczyć Chinkę, to jak spotkać trzeźwego Polaka – trzeba było mieć naprawdę sporego farta.

Wiadomo jednak, że od każdej reguły są jakieś wyjątki, i że nawet policjanci potrafią być uczciwi. Takim właśnie wyjątkiem był Żółty Joe, Chińczyk jak się patrzy.

Podobno już jako dziecko był dziwny. Nie lubił ryżu, wołał hamburgery. Kiedy dorósł, jeszcze mu się to pogłębiło, bo zamiast rodzinną pralnią, zajął się wymuszeniami rozbójniczymi.

Jego metoda zyskała potem specjalną nazwę – „na Chińczyka”. Joe przychodził do knajpy albo sklepu, witał się, pytał o zdrowie, po czym bardzo grzecznie prosił właściciela o jakiś stały, comiesięczny datek. Oczywiście odmawiano mu, ale Joe się nie zrażał. Przychodził następnego dnia i prosił jeszcze grzeczniej. Przedstawiał zalety takiego rozwiązania, którymi były a to jego dozgonna wdzięczność, a to możliwość zwrócenia się do niego w każdej chwili z prośbą o pomoc. Wyliczał bardzo skrupulatnie, że tych kilka dolarów to zaledwie ułamek zysków przedsiębiorstwa, i że to naprawdę bardzo niska cena za poczucie bezpieczeństwa. Kiedy okazywało się, że z danego lokalu haracz ściąga już ktoś inny, Joe również się nie zniechęcał. Mówił: „Zawsze lepiej jest przecież mieć dwóch przyjaciół niż jednego”. Miał nawet na to specjalną nazwę – „drugi filar”.

Po kilkunastu takich wizytach każdy wymiękał. Podobno kilka firm ubezpieczeniowych proponowało Joemu pracę. Joe jednak zawsze odmawiał. Mówił: „Nie będę pracował dla tych złodziei. Wolę uczciwą robotę.”

Kiedys jednak i Joe się przejechał. Jak to się mówi: „trafiła kosa na kamień”. Było to wtedy, kiedy Buck No I Co Z Tego postanowił założyć zakład bukmacherski. Opierał się on na bardzo prostej zasadzie. Buck przyjmował zakłady na różne mecze czy wyścigi, po czym kłamał w kwestii wyników. Mówił, że nikt nie wygrał, albo że mecz odwołano, albo że zdyskwalifikowano obie drużyny, ewentualnie że w ogóle nie pamięta, żebyś u niego kupował jakiś zakład.

Przedsiębiorstwo to przynosiło gigantyczne zyski. Kiedy Joe się o tym dowiedział, postanowił uszczknąć coś dla siebie. Przyszedł do Bucka, jak zwykle bardzo elegancko ubrany, z nieodłączną, skórzaną teczką, spryskany średnio drogimi perfumami i bardzo grzecznie poprosił o niewielki, comiesięczny datek. Buck oczywiście od razu się zgodził, ale powiedział, że dziś nie ma pieniędzy, więc żeby przyjść jutro. Kiedy Joe przyszedł następnego dnia, Buck przez długi czas upierał się, że nic nie pamięta, w końcu jednak przypomniał sobie, zgodził się na wszystko jeszcze raz, ale powiedział, że niestety musi właśnie wyjść odebrać matkę z dworca, ale jutro na pewno uda się wszystko załatwić. Kiedy Joe przyszedł kolejnego dnia, Buck powiedział, że to nie on rozmawiał z nim wczoraj, ale jego brat bliźniak, a on o niczym nie wie. Więc Joe jeszcze raz zaczął mu wszystko bardzo grzecznie tłumaczyć, Buck jeszcze raz na wszystko bardzo chętnie się zgodził, ale powiedział, że kasę trzyma jego brat, który musiał pilnie wyjechać na tydzień do Ohio, więc żeby przyjść za tydzień.

Kiedy Joe przyszedł za tydzień, Buck przywitał go z obandażowaną głową i wyjaśnił, że miał straszny wypadek w Ohio, że stracił w jego wyniku pamięć, więc żeby mu wszystko wytłumaczyć jeszcze raz. Kiedy Joe, ciągle bardzo grzecznie, wszystko mu ponownie wytłumaczył, Buck oczywiście zgodził się jeszcze raz, ale powiedział, że teraz w związku z amnezją jest niepoczytalny, bank zablokował mu dostęp do konta, ale żeby przyjść za miesiąc, wtedy już na pewno wszystko będzie dobrze.

Ten pojedynek trwał prawie pół roku. Joe przez ten czas wychudł, poóółłkł jeszcze bardziej na twarzy, podobno nawet przestawał już być taki cholernie grzeczny. Mówiliśmy mu:

- Joe, weź po prostu kija i mu przywal. Buck to żaden chojrak, znamy go, na pewno zmięknie.

Joe się jednak zawziął. Powtarzał:

- Urobię go, dajcie mi jeszcze kilka dni. Albo on mnie, albo ja jego!

W końcu chyba Buckowi się znudziło. A może zrobiło mu się żal Joego? Ostatecznie Buck to był w sumie porządny gość. Któregoś dnia powiedział:

- Dobra Joe, wygrałeś. Masz tu dziesięć dolców, po następne przyjdź za miesiąc.

Joe zbladł.

- Nie jestem żebrakiem, Buck. Nie musisz mi tego dawać z litości.

Potem odwrócił się i wyszedł. Nigdy więcej już go nie widzieliśmy.

No i powiedzcie sami, czy ci Chińczycy to nie dziwni ludzie? Gdyby na jego miejscu był jakiś parszywy Irlandczyk, brudny Makaroniarz albo nawet jełopowaty Polak, Buck już po tygodniu miałby rozpirzony ten swój kramik i błagałby o litość ciągnięty na linie za samochodem. Wszyscy byliby zadowoleni, nawet Buck. Bo nic nie daje takiego poczucia bezpieczeństwa w życiu, jak jasne, proste i niezmiennie reguły gry. To w końcu na nich opiera się Nowy Jork, a nie na jakichś pieprzonych, azjatyckich sztuczkach.

Spytacie się pewnie, co się stało z Żółtym Joem? Nie wiem, nie mam pojęcia. Zresztą kogo obchodzi jakiś głupi Chińczyk?

## CHICAGO

Myślicie pewnie, że znudził mi się już ten cały Nowy Jork, że skończyły mi się tematy i muszę, jak to się mówi, zmienić lokal? Nic z tych rzeczy. Chicago, o którym wam opowiem, nie ma nic wspólnego z miastem nad jeziorem Michigan. Chicago w Nowym Jorku było synonimem syfu. Mówiło się: „Patrzcie, jaki tu burdel, istne Chicago!”. Albo: „Urządziliśmy im tam wczoraj niezłe Chicago...”

Nigdy nie byłem w Chicago, więc nie wiem, jak tam jest. Podobno strasznie wieje. W Nowym Jorku mówi się, że to pewnie dlatego, że wszyscy jego mieszkańcy ciągle jedzą fasolę. Rozumiecie, co mam na myśli.

Takie niewinne żarciki były solą Nowego Jorku. Chłopaki lubili pożartować. Życie było niebezpieczne, to i trzeba się było czasami pośmiać. Pamiętam, jak kiedyś Chuck Mańkut założył policyjną czapkę, a potem zaczął biegać po ulicy i krzyczyć: „Patrzcie, jestem frajerem!”. Mówię wam, w życiu się tak nie uśmiełem.

Tak, to były czasy! Teraz nie jest tak wesoło. Życie schodzi na psy. Wokoło pełno kretynów z teczkami, polityków i feministek. Istne Chicago!

A właśnie, Chicago. Chicago to było wszystko to, co znajdowało się poza Nowym Jorkiem. Nieważne, czy chodziło o Paryż, Rzym, czy Los Angeles, wiadomo było, że nie ma tam nic dobrego. Wszędzie tam było Chicago.

Najlepsze precele są w Nowym Jorku. A gdzie indziej? Chicago. Jakbyś jadł gumę. Najlepsze dziwki? Nowy Jork! Poza nim Chicago. Stare, drogie i brzydkie. Powiedzieć komuś, że ma Chicago we łbie, to gorzej niż obrazić jego matkę.

Po tym wszystkim, co tu powiedziałem, jest już chyba jasne, że ktoś, kogo nazywaliśmy Chicago, nie zajmował zbyt wysokiej pozycji w społeczeństwie. A taką właśnie ksywę miał Rick. Chicago Rick.

Rick podobno nawet urodził się nieporządnie. Wiadomo, wszyscy rodzimy się umazani w łajnie i jest to, w jakimś sensie, wróżba na resztę naszego zafajdanego życia. U Ricka wróżba ta była jednak szczególnie parszywa. Powiadają, że jego matka urodziła go w publicznym szalecie, a jego pierwszą pieluszką był papier toaletowy. Mówią też, że przez dłuższą chwilę zastanawiała się, co zabrać z tej toalety – jego, czy raczej szczotkę do kibla.

Wiem, wiem! Myślicie sobie, że to zbyt okrutny żart. I zbyt niesprawiedliwy. Myślicie tak, bo nie znaliście Ricka.

Rick, powiedzmy to sobie szczerze, śmierdział. Chłopaki w ogóle raczej nie przesadzali z myciem, Rick jednak przesadzał z niemyciem. Mówiło się, że tłuszcz z pizzy, którą Rick zjadł na Wielkanoc, zostawał mu na palcach aż do Bożego Narodzenia. Sam Rick uważał się przy

tym za eleganta. Zawsze odstawiony był w najmodniejszy, prążkowany gajer, modne, skórkowe pantofle, kapelusz Borsalino. Co z tego, skoro to wszystko było wymięte, poplamione i kiepsko zalatywało?

Kiedyś Rick przez tydzień chodził z rozwiązaną sznurówką. Wyciągała mu się z buta coraz dalej i dalej, aż w końcu została gdzieś na którejś ulicy. Mówiliśmy mu: „Hej, Rick! Pies ci się zerwał! Ciągniesz za sobą samą smycz!“. Rick jednak nie zwracał na to uwagi. Czasami tylko odburkiwał: „Odpieprzcie się!“.

No to co było robić? Odpieprzaliśmy się.

Zastanawiam się czasami, jak to jest? Przecież wszystkim nam w dzieciństwie matka kładła do głowy, że trzeba myć ręce przed jedzeniem, a zęby przed snem. Dlaczego więc tylko niektórzy w to wierzą, a inni nie? Nasze matki przecież zazwyczaj mają rację i brzydko robi ten, kto ich nie słucha. Rick miał się o tym przekonać aż nadto dotkliwie.

Było to chyba tuż przed wybuchem wojny. Rick i Harry Indianiec pojechali do Nevady po jakiegoś gościa, który myślał, że tam przed nimi ucieknie. Kolesz nieźle kluczył. Zawsze, kiedy gdzieś przyjeżdżali, okazywało się, że właśnie stamtąd wyjechał. W końcu jednak namierzili go w jakiejś mieścinie.

Była to jedna z tych zapyziałych dziur, które wyglądają jak rozlatująca się dekoracja do dawno zapomnianego westernu. Miało się wrażenie, że za frontami domów nie ma nic, z wyjątkiem ukośnych belek powstrzymujących to wszystko przed przewróceniem.

- Okay. Musi tu być. Dalej jest już tylko pustynia - powiedział Harry.

Wysiedli ze swojego mocno już przykurzonego, czarnego forda. Harry fachowym wzrokiem rozejrzał się po mieście. Między domami rosły kaktusy, agawy i inne tego typu działowstwa. Gorąco było jak w chińskiej knajpie. Harry zdjął marynarkę, rozpiął kamizelkę i poluzował krawat. Kapelusz przesunął na tył głowy, lecz mimo to, pot ciągle spływał mu po twarzy. Rick nigdy, nawet w największe upały, niczego nie zdejmował. Może to zresztą i dobrze. Lepiej było nie wiedzieć, co tam hodzi pod spodem.

- Ależ ty cuchniesz, Rick! - Harry próbował zatkać sobie nos szmatką do czyszczenia spluwy. - Mógłbyś się czasem umyć!

- To nie ja, to te agawy - ze stoickim spokojem odparł Rick.

Ruszyli przed siebie, niczym dwaj rewolwerowcy. Miasteczko wydawało się wymarłe. Nie zaszczekał nawet pies, nie zaskrzypiała okiennica. Słońce prażyło, jakby ktoś walił im w głowy stukilowym młotem.

- Dobra, zrobimy tak - z trudem wysapał Harry. - Ty idź środkiem i miej na wszystko oko, a ja spróbuję zająć go od tyłu. Wykurzę go jak lisa z nory.

- Okay - powiedział Rick, przeganiając dzięki temu kilka much ze swojej twarzy. „Nic dziwnego, że się pomyliły! - pomyślał Harry - Co za smród!“.

Skreślił w którąś z bocznych uliczek. Z gnatem w jednej ręce i marynarką przewieszoną przez drugą, zaczął ostrożnie skradać się między drewnianymi domami. Uliczki, zaułki i podwórka między nimi przypominały labirynt zбитy ze starych desek. Chyba widział taką scenę w jakimś westernie. Tamci kowboje jednak tak się nie pocili. I to pomimo tych wszystkich czarnych, skórzanych strojów i długich płaszczy.

„Co za Chicago!“ - pomyślał i skreślił w którąś z kolejnych, zapyziałych uliczek. Potem w następną i jeszcze następną. Zaczynało go to wszystko ostro wkurzać. Gdzie nie spojrzeć,

wszędzie dechy. I ani żywego ducha.

Nagle poczuł coś. Coś za swoimi plecami. Nie był to dźwięk, ani nawet ruch, raczej...

Bang, Bang, Bang! – Harry odwrócił się błyskawicznie, strzelając jak oszalały. I wtedy zrozumiał. Zrozumiał, co to było. Smród. Poczul za plecami smród.

Rick leżał przed nim w kałuży krwi, mrugając ze zdziwieniem oczami.

– Co jest, do cholery?! – spytał, a z ust buchnęła mu krew.

– Miałeś iść środkiem, kretynie! – powiedział bezradnie Harry.

– Chciałem zejść do cienia. Straszny upał. I jeszcze te agawy tak śmierdzą – z trudem wyszeptał Rick i zdaje się, że były to jego ostatnie słowa. Harry przyklęknął przy nim, ocierając pot z czoła. „Trzeba go będzie jakoś pochować – pomyślał. – Teraz dopiero zaczniesz cuchnąć”.

Ciekawi was pewnie, co stało się z tym gościem, którego tam wtedy szukali? Harry dorwał go w końcu czy nie? No więc, nie bardzo. Okazało się, że przez cały ten czas nie wyjeżdżał z Nowego Jorku. Był w swoim własnym mieszkaniu, tylko udawał, że go tam nie było. Nie otwierał drzwi, cwaniaczek.

## SKRZYNIA

Nowy Jork był miejscem, w którym prędzej czy później, wszystko musiało się wydarzyć. Największa głupota, najgorsze świństwo czy najbardziej nieprawdopodobna historia – wszystko to kiedyś musiało tu się zdarzyć. Wystarczyło tylko odpowiednio długo poczekać. Nie ma więc co się specjalnie dziwić, że kiedyś przytrafiło się i to.

Było to jednego z tych wrześnieowych dni, w które nie bardzo wiadomo, co ze sobą zrobić. Łało – jak zwykle o tej porze roku. Był chyba wtorek albo środa – w każdym razie jeden z tych głupich dni w środku tygodnia, kiedy zazwyczaj nic się nie dzieje. Gdyby był piątek albo sobota, albo nawet w ostateczności czwartek, można by było pójść się zabawić. Gdyby to była niedziela, to wiadomo – obiad z mamuszką, a wieczorkiem znowu impreza. W poniedziałek po prostu lizałoby się rany. Ale co robić w taki wtorek? Nuda. A nuda to cholernie niebezpieczna rzecz.

Moim zdaniem, przez nudę dzieją się najgorsze rzeczy na tym świecie. Zbrodnie, zdrady małżeńskie, wojny – wszystko to przez nudę. Siedzi człowiek w swoim mieszkaniu, patrzy na swoją grubą żonę, patrzy na swoje przygłupie bachory, patrzy na swoje rozdeptane łapcie i wtedy przychodzą mu do głowy różne głupie rzeczy. A gdy nudzi się tylko jeden, konkretny gość – wtedy jeszcze nie dzieje się nic wielkiego. Ale gdy nudzi się cały naród lub, co gorsza, kilka narodów naraz – o, wtedy szykują się kłopoty! Zaraz któryś wpadnie na pomysł, że to miasto tuż przy granicy, to w zasadzie powinno być jego. Albo, że ten drugi naród, ten co mieszka obok, to coś się za bardzo stawia. A wtedy to już wojna gotowa. I przez parę ładnych lat już nie jest nudno. Tylko czy nie lepiej czasami trochę się ponudzić?

A my właśnie się nudziliśmy tamtego dnia. Łaziliśmy po ulicach z rękami w kieszeniach i wykałaczkami w ustach, kopiąc leżące na chodnikach śmieci i nudząc się potwornie. Ja, Chuck Mańkut, Harry Indianiec i chyba O'Hara. Chociaż jeśli chodzi o O'Harę, to nie jestem pewien. Chodziliśmy i patrzyliśmy, w co by tu się głupiego władować.

A jak człowiek dobrze szuka, to nie ma siły, żeby nie znalazł. Chciałeś, chłopie, to masz. Tylko żebyś potem nie żałował.

Było to gdzieś między Szesnastą a Dwudziestą Pierwszą Ulicą. Przy jednym z domów stała zaparkowana ciężarówka. Taka czarna, duża, bez tablic ani żadnych napisów. Z jej środka dwóch gości wynosiło jakieś skrzynie.

– Patrzenie – powiedział Chuck Mańkut – nikt tego nie pilnuje. Kiedy ci dwaj idą ze skrzynią na górę, ciężarówka zostaje otwarta. Zdaje się, że widzę nawet kartkę z napisem: „chodźcie i bierzcie, co chcecie”.

Na pace została już tylko jedna skrzynia. Generalnie należało więc się spieszyć. W takich sytuacjach rozumieliśmy się z chłopakami bez słów. Ja stanąłem na czatach, Chuck podleciał

do drzwi kamienicy, żeby pilnować, czy tamci dwaj nie wracają, a Harry władował się do szoferki.

Wszystko poszło nadzwyczaj sprawnie. Już po chwili dał się słyszeć warkot odpalanego motoru, a zaraz potem gwizd Harry'ego. Ja i Chuck wskoczyliśmy na pakę i już za moment gnaliśmy w dół ulicy, śmiejąc się jak idioci.

- Ty, zostawiliśmy chyba O'Hare - stwierdził Chuck.

- Nie szkodzi - odpowiedziałem - wróci, jak zwykle, piechotą.

Powiedziałem to, lecz myślałem o czymś zupełnie innym. Kiedy odjeżdżaliśmy, wydawało mi się, że widziałem w jednym z okien kamienicy twarze tych dwóch gości. I wiecie co? Dałbym głowę, że się uśmiechali.

Póki co, jednak cieszyliśmy się. Tylko od razu pojawił się problem: co zrobić z ciężarówką? To nie zegarek czy portfel, nie da się tego schować w kieszeni. Gdzieś ją trzeba zamelinować, żeby się dostać do towaru. Nie postawimy jej przecież przy którymś z naszych domów, bo wobec tak ewidentnych dowodów popełnienia przestępstwa, nawet policja, zwykle nieskora do mieszania się w cudze sprawy, będzie musiała zareagować. Przydałby się jakiś garaż, ale skąd go wziąć? Dysponowaliśmy tylko szopą na motor, w której Harry Indianiec sypiał, gdy mamuśka nie chciała go pijanego wpuścić do domu. Z takiej szopy jednak nasza ciężarówka wystawałaby we wszystkich możliwych kierunkach.

- Las! Jedźmy do lasu! - Chuck Mańkut jak zwykle miał dobre pomysły. No to jedziemy. Trochę to trwało, w końcu Nowy Jork to nie jakieś Cincinnati, do najbliższego lasu jest tu kawałek, ale w końcu dojechaliśmy. Chuck znał fajne miejsce, gdzie zazwyczaj ganiało się nago po lesie różnych zbyt cwanych frajerów. Zmierzchało już, kiedy tam dotarliśmy.

- Dobra, czas sprawdzić, co jest w tej skrzyni - powiedział Harry.

Chwyciliśmy za obydwie końce i wytaszczyliśmy ją z ciężarówki. Skrzynia była dziwnie lekka.

- Może jest tam forsa. Forsa to papier, a papier nie waży dużo - z nadzieją w głosie powiedział Chuck.

- Rany! Musi być tego kilkaset tysięcy! - nabożnie wyszeptał Harry.

Skoczyłem po łyżkę do opon. Skrzynia była porządnie zbita, ale jakoś daliśmy radę. Wieko skrzypnęło i otworzyło się.

- Co to jest? - spytał Harry. - Cholera, nic nie widzę w tej ciemności!

W skrzyni był jakiś okrągły kształt. Nie wyglądał na forszę.

- Może zapakowali ją w worek? - nie poddawał się jeszcze Chuck.

- Czekaj, poświęcę zapałkę - zaoferował się Harry.

Po chwili ciemność rozjaśnił migotliwy błysk. Harry wyciągnął rękę i przybliżył ją do skrzyni. Wytężyliśmy z nadzieją wzrok.

- Cholera jasna! Trup! Mamy tu trupa! - zaczął nagle krzyzczeć Chuck.

Rzeczywiście. W skrzyni leżał ubrany w garnitur, sztywny koleś. Jego twarz była spokojna i pozbawiona wyrazu. Harry dotknął jego dłoni.

- Już zupełnie zimny. I sztywny, jakby był z drewna - powiedział.

- To żeśmy się obłowili! - stwierdził Chuck - Nie ma co!



- Trzeba go zakopać - powiedział Harry. - I nikomu ani słowa. Jak się chłopaki dowiedzą, mamy przechlapane. Już do końca życia będziemy frajerami, którzy ukradli trupa.

Powrót do Nowego Jorku nie był już taki wesoły. Zostawiliśmy ciężarówkę w którejś z bocznych uliczek i milcząc, rozeszliśmy się do domów. Nie był to jednak koniec tej historii. Niestety, był to dopiero jej początek.

Następnego dnia zaczęły mi się przydarzać dziwne rzeczy. Kiedy się obudziłem, zauważyłem, że szafka w kuchni jest otwarta na oścież. I chociaż nie byłem pewien, czy przypadkiem sam jej nie otworzyłem (bo zdaje się, że wczoraj szukałem czegoś w kuchni) wydało mi się to nadzwyczaj dziwne. Potem, kiedy ścieliłem łóżko (bo ja zawsze ścielę łóżko), zauważyłem, że guzik od poszewki na kołdrę leży na szafce nocnej, jakby ktoś go tam specjalnie położył. Mieszkam sam, a przysięgam, że go tam nie kładłem. Co prawda, mógł się oderwać i upaść na szafkę, kiedy strzepywałem przed snem kołdrę (bo ja zawsze strzepuję przed snem kołdrę), ale pewności nie miałem. Włosy zjeżyły mi się na głowie.

Tego ranka, myjąc się w łazience, ukradkiem patrzyłem w lustro, sprawdzając, czy nikt za mną nie stoi. Nikt nie stał, chociaż tak naprawdę nie wiadomo, bo lustro mam małe i niewiele w nim widać. Zresztą nawet gdyby ktoś za mną stał, to przecież spokojnie mógłby się schować albo nawet zniknąć, widząc, że spoglądam, a potem znów się pojawiać, kiedy patrzyłem na coś innego.

Zacząłem też przypominać sobie wszystkie historie, które słyszałem kiedyś od znajomych, albo przeczytałem w prasie. W szczególności tę o tym lotniku, który zginął w katastrofie, a potem co jakiś czas przechadzał się po lotnisku. Włosy znowu zjeżyły mi się na głowie, a dodatkowo zrobiło mi się zimno.

Kiedy tego wieczora spotkaliśmy się ponownie, wszyscy mieliśmy niewesołe miny. Okazało się, że Chuck Mańkut, gdy wchodził wczoraj do domu, dostrzegł dziwny, szary cień przemykający mu za plecami. I choć miauczenie sugerowało, że mógł być to kot, Chuck przestraszył się nie na żarty. Harry Indianiec przebił nawet i tę opowieść, mówiąc:

- To jeszcze nic. Mi dzisiaj rano owsianka na talerzu ułożyła się w kształt trupiej czaszki. I co wy na to?

Owsianka w kształcie trupiej czaszki?! Oslupieliliśmy. Tego już było stanowczo za wiele.

- Jak myślicie, co zrobić? - odezwał się Chuck.

- Musimy go odkopać, odciąć mu głowę i przebić serce kołkiem - zawyrokował Harry. - Czytałem o tym w komiksie, to zawsze działa.

Nie było czasu do stracenia. Kto wie, co mogłoby się wydarzyć dzisiejszej nocy? Może żarówka w łazience zaczęłaby nagle migotać? Nikt z nas nie chciał przeżyć czegoś podobnego.

Czarna ciężarówka stała ciągle przy tej samej ulicy, gdzie ją zostawiliśmy, tylko ktoś ukradł z niej lusterka i wycieraczki. Harry odpalił motor i ruszyliśmy. Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, było już zupełnie ciemno. Chuck ścisnął w rękę szpadel aż w ciemnościach bieliły mu się knykcie. Zamiast kołka, postanowiliśmy użyć kuli z czterdziestki piątki. „Powinna być nawet lepsza” - powiedział Harry.

Nie mieliśmy problemu z odnalezieniem skrzyni. Miejsce, gdzie ją zakopaliśmy, wskazywała pusta butelka po whisky i zgubiony przeze mnie kapelus. Odkopanie jej też nie

było zbyt trudne. Okazało się, że powodowani strachem i pośpiechem, ledwo przysypaliśmy wieko ziemią.

- Dobra, otwieramy! Raz kozie śmierć! - powiedział Chuck i podważył wieko szpadlem. Wstrzymaliśmy oddech. W blasku reflektorów ukazała się blada twarz nieboszczyka.

- Cholera jasna! - zaklął Chuck. Truposz nic się nie zmienił.

- To pewnie wampir - stwierdził Harry. - Nie widać w ogóle znamion rozkładu.

Chuck mocno chwycił szpadel i przyłożył jego krawędź do szyi umarłaka. Podniósł narzędzie, a potem z całej siły uderzył. Coś zaskrzypiało, ale nic się nie wydarzyło.

- Twardą ma szyję, cholernik! - powiedział ze zdziwieniem.

- Walnij jeszcze raz - poradził Harry.

Chuck podniósł szpadel ponownie i jeszcze raz uderzył. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. I nic. Ciarki przeszły nam po plecach.

- Załatwię cię, sukisyniu! - Harry wyciągnął spluwę. - Guzik mnie obchodzi, czy jesteś z tego, czy z tamtego świata!

To, co mnie najbardziej zdziwiło, to odgłos. Żyjąc w Nowym Jorku, dosyć dobrze wie się, jaki dźwięk wydaje kula przeszywająca ludzkie ciało. To, kurczę, nie był ten odgłos. Raczej przypominał...

- Słuchajcie, to manekin - usłyszałem nagle sam siebie. - Jest cały z drewna.

Harry przestał strzelać. Nachyliliśmy się nad skrzynią. Leżące wszędzie drzazgi nie pozostawiały wątpliwości.

- Cholera jasna! - już po raz drugi zaklął Chuck. Dopiero teraz na wieku skrzyni dostrzegliśmy napis: „Dom mody Sanders. Kolekcja jesienna”.

Jeszcze nigdy nie widziałem naraz tylu głupich min. Gdybym miał przy sobie lusterko, zobaczyłbym pewnie jeszcze jedną.

Wróciliśmy do Nowego Jorku, nie odzywając się do siebie. Rozstaliśmy się także w milczeniu i już nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. Dopiero po jakimś czasie wszystko się wyjaśniło. Okazało się, że straszył nas zupełnie inny nieboszczyk. Ten, który zarobił kulkę w barze przy Siódmej Ulicy. Z tym, że on też się pomylił, bo to nie my go załatwiliśmy, tylko Martwy John. Takie pomyłki zdarzały się w Nowym Jorku. Kule latały gęsto, więc czasem trudno było w tym wszystkim połapać.

## MLECZNY BOB

Opowiadałem wam już o Mlecznym Bobie? Nie? Nic dziwnego, bo to nie za wesoła historia.

Mleczny Bob swoją ksywkę zawdzięczał kolorowi skóry. Była blada, prawie biała, co w połączeniu z czarnymi włosami, które odziedziczył po swoich makaroniarskich przodkach, sprawiało dość dziwne wrażenie. Kiedy patrzyłeś na jego twarz, wydawało ci się, jakbyś spoglądał w tunel, na którego końcu pali się światło. Wielu zresztą, dzięki Bobowi, naprawdę dostrzegło takie światło na końcu tunelu.

Bob nie należał do zbyt wesołych gości. Ubierał się na czarno i cały czas wyglądał, jakby przed chwilą umarł mu ktoś bliski. Może coś w tym zresztą było, może Bob rzeczywiście czuł emocjonalną więź z gośćmi, których załatwiał? Jakiś psycholog podobno wykombinował, że tak to właśnie działa.

To pewnie dlatego Bob był taki smutny. Trzeba zresztą przyznać uczciwie, że profesja zawodowego mordercy nie należy do najweselszych na świecie. Co prawda, poznaje się mnóstwo ciekawych ludzi, ale co z tego, skoro trzeba ich zaraz potem załatwić? Trudno w takiej sytuacji nawiązać jakieś trwałe więzi międzyludzkie.

Bob był zatem samotny. Ludzie odwracali się od niego. Choć na wszelki wypadek bokiem, nie plecami.

Bob, jak sam mówił, miał już dość takiego życia. Miał dość tego całego zabijania, ćwiartowania zwłok, wrzucania ich do kwasu solnego, topienia ludzi w porcie, zalewania ich betonem. Marzył o prawdziwej, ludzkiej przyjaźni. Co z tego, skoro jedyni ludzie, których poznawał, to byli ci, na których miał zlecenie?

Dlatego Bob skrycie marzył, aby to jego ktoś kiedyś załatwił. Co w tym trudnego, spytacie, dać się ukatrupić – to chyba najłatwiejsza rzecz na świecie. Nie w przypadku Boba. Przeszkadzał mu w tym bowiem cholerny odruch bezwarunkowy. Bob zawsze, kiedy widział wycelowaną w siebie spluwę, odruchowo sięgał po własną i strzelał. I zawsze był szybszy. Mógł sobie chcieć umrzeć do woli, co z tego, skoro jego odruch bezwarunkowy miał to w nosie.

Bob często wyobrażał sobie, jak to by było pięknie, gdyby kiedyś się spóźnił. Przychodzi do jakiegoś gościa i mówi: „Muszę cię zabić, przyjacielu. Wybacz, ale jest na ciebie zlecenie.”. Tamten sięga po spluwę, a Bob nic. Tamten odwodzi kurek, a Bob nic. Tamten strzela, a Bob upada na ziemię z uśmiechem na ustach. Tamten podchodzi i pyta: „Bracie, mogłeś mnie zabić, dlaczego tego nie zrobiłeś?”. A Bob na to: „Mogłem zginać ja albo ty. Wybrałem siebie. Pięknie jest oddać życie za drugiego człowieka!”. Potem Bob umiera, a tamten płacze, mimo iż nigdy do tej pory tego nie robił.

To były jednak tylko marzenia. Rzeczywistość wyglądała zgoła inaczej. Piekielny odruch bezwarunkowy był szybszy. Bob po takiej akcji zawsze szedł do baru, zamawiał butelkę whiskey, po czym mówił: „Zmarnowałem dziś piękną okazję, żeby umrzeć.”. Potem upijał się do nieprzytomności.

Taki stan rzeczy trwał całymi latami. Bob załatwił już tylu gości, że gdyby ich zwłoki wrzucić do East River, Manhattan dawno przestałby być wyspą. Bob coraz bardziej bladł na twarzy, chudł i zamykał się w sobie. Kiedyś kupił sobie psa, żeby nie być takim samotnym, ale i jego załatwił. Zobaczył wycelowany w siebie nos, a jego odruch bezwarunkowy zinterpretował to po swojemu. Może zresztą nie był to nos, tylko wręcz odwrotnie? W każdym razie Bob stracił kolejnego potencjalnego przyjaciela.

To załamało go już kompletnie. Zaczął łązić po ulicach, zapuszczać się w najbardziej zaplute zaułki, chodzić do najbardziej szemranych barów. Zupełnie, jakby szukał śmierci. Ze śmiercią jest jednak jak z zapałkami – właśnie wtedy, gdy ich szukasz, za nic nie możesz ich znaleźć.

Ale z kolei, gdy nie są ci potrzebne, wtedy okazuje się, że przez cały czas leżały na stole.

Tak też było i z Bobem. Ktoś, chyba Martwy John, polecił mu kursy jogi. Bob zaczął na nie chodzić i to odmieniło jego życie. Uspokoił się, zaczął siadać w dziwnych pozycjach i pleść różne głupoty. Mówił: „Zabijam ludzi i cóż? Taka karma.”. Albo: „Zabijając ludzi, wrywam ich z odwiecznego koła cierpienia i śmierci.”. Bardzo możliwe, ja się tam na tym nie znam. Choć gdyby mnie kto pytał, to wolałbym jeszcze przez jakiś czas pozostać w tym kole.

W każdym razie, Bob pogodził się sam ze sobą. Joga uświadomiła mu, że aby osiągnąć szczęście, nie potrzebujemy innych ludzi. Że najważniejsza rzeczywistość, z jaką obcujemy, to ta w naszym własnym wnętrzu. Że samotność jest, tak naprawdę, boskim darem stanowiącym drogę prowadzącą do absolutu. Przestał też szukać śmierci. Mówił: „Czymże jest śmierć?”. Czymże jest śmierć?! Biedny Bob! Już wkrótce miał się o tym przekonać aż za dobrze.

Było to, zdaje się, na wiosnę. Bob kontemplował właśnie odwieczną zmianę pór roku. Dostał zlecenie na jakiegoś gościa mieszkającego w Bronxie. Bob poszedł do niego z głową pełną kosmicznych wibracji. Odnalazł adres, wszedł na drugie piętro, znalazł właściwe drzwi i wszedł.

– Przyszedłem cię zabić, przyjacielu. Wybacz, ale mam na ciebie zlecenie – powiedział.

Gość, który siedział na kanapie, wybałuszył oczy i rzucił się po swoją spluwę. Bob był wyciszony i zrelaksowany. Cały czas stosował specjalne techniki oddechowe, co pozwalało mu zachować spokój i jasność umysłu. Pamiętał, że szczęście może człowiekowi zapewnić tylko wyrzeczenie się owoców swoich czynów. Gość znalazł wreszcie swoją spluwę i drżącymi rękami starał się wycelować ją w Boba.

Bob uśmiechnął się w duchu. Przez cały czas kontrolował sytuację. Patrzył na to wszystko jakby z boku, jakby to, co się dzieje, wcale go nie dotyczyło. Wiedział dokładnie, w którym momencie tamten zdoła wreszcie wycelować, wiedział, kiedy nieporadnie odwiedzie kurek, wiedział, w którym momencie sam powinien wyciągnąć spluwę i strzelić. Tak mniej więcej, pół sekundy przed tamtym. No, może ćwierć. Czas, jak wszystko na tym świecie, jest złudzeniem. Jeśli znamy jego prawdziwą naturę, możemy go z łatwością kontrolować. Możemy go rozciągać, ścieśniać, być jego panami.

W tej chwili Bob usłyszał gdzieś daleko odgłos wystrzału. Zdziwił się. „Czyżby ktoś jeszcze załatwiał tu frajerów?” – pomyślał. Potem zobaczył siebie lecącego w tył pokoju, przewracającego stojące na drodze krzesło i osuwającego się w dół po ścianie. Najważniejsza dostępna nam rzeczywistość, czyli ta, którą mamy we własnym wnętrzu, wyciekła mu z rozwalonego brzucha na spodnie.

- Bracie, mogłeś mnie zabić, dlaczego tego nie zrobiłeś? – usłyszał jeszcze głos stojącego nad sobą faceta.

„Zagapiłem się” – pomyślał i już po chwili kroczył tunelem w kierunku światła. Jego twarz stawała się powoli jeszcze bledsza.

## HARRY INDIANIEC

Nowy Jork, jeśli spojrzeć na mapę, przypomina... no właśnie, w zasadzie nie wiadomo, co przypomina. I jest to, w jakimś sensie, symptomatyczne, bowiem wiele rzeczy w naszym mieście nie wiadomo, co przypomina. Czy też, mówiąc dokładniej, przypomina nie wiadomo co.

Weźmy na przykład taką Statuę Wolności. Stoi baba w koszuli nocnej, z wiankiem na głowie, w wyciągniętej ręce trzyma coś, co wygląda jak pędzel. Tylko patrzeć, jak zacznie odmalowywać sufit! Gdybyś spotkał na ulicy kogoś tak ubranego, pomyślałbyś, że mu kompletnie odbiło.

Tak... Widzę, że nadszedł czas, aby opowiedzieć wam o Harrym Indiancu. Harry był właśnie czymś takim. Czymś nie wiadomo jakim.

Nazwali go Indianiec, bo lubił się pstrokato ubierać. Poza tym, był wredny, a jakoś tak się utarło, że Indiancy są wredni. Nie wiem, czy to prawda, nigdy nie poznałem żadnego prawdziwego Indianca, ale jak człowiek sobie przypomni, co zrobili z generałem Custerem, to mimowolnie sobie myśli: „ci wredni, mali, czerwoni Indiancy!”. Chociaż, z drugiej strony, wcale nie wiadomo, czy Indiancy są mali.

Harry mały nie był. Nie był też wysoki. Nie był ani przystojny, ani jakiś specjalnie brzydki. Nie był za bardzo kumaty, ale i niekumaty też nie był. Był właściwie taki nie wiadomo jaki. Pewnie dlatego tak się pstrokato ubierał. Żeby choć strój mieć wyraźny.

Ale i to nie za bardzo mu się udawało. No bo jak się założy na siebie tyle pstrokatych rzeczy, to te ubranie się robi... takie nie wiadomo jakie. Tu trochę czerwonego, tam czarnego, tu białe buty, tam żółty krawat. Kapelusz, kuźwa, kremowy, garnitur taki jakby niebieskawy, ale tak naprawdę, diabli wiedzą, jaki. Patrzysz na to wszystko i czujesz się, jakbyś stał na przejściu dla pieszych, a sygnalizator pokazywał ci „walk” i „don't walk” jednocześnie.

Generalnie jednak „don't walk”. Harry był, jak to się już powiedziało, wredny i dość czepiański. Miał też nieprzyjemny zwyczaj wynajdowania problemów tam, gdzie na pierwszy rzut oka wcale ich nie było. Mówił mi, na przykład:

- Chodź, Harry, pojedziemy na Brooklyn, porzucamy Makaroniarzom kamieniami w szyby!

A on na to:

- Na Brooklyn? Nie da rady. Rozpoznają mnie.
- A kto cię, Harry, do cholery, zna na Brooklynie?
- No wiesz, jestem dość charakterystyczny.

Harry, jak na człowieka bez właściwości przystało, starał się mieć bardzo wyraźne poglądy na każdy temat. Nie dlatego, żeby tak rzeczywiście myślał, po prostu podświadomie starał się za wszelką cenę przypisać czymś swoją nijakość. Ponieważ jednak z natury nie miał własnego zdania, nie było to takie łatwe. Harry wybrnął z tej pułapki w bardzo prosty sposób – po prostu nie zgadzał się z innymi. Na pierwszy rzut oka wydawało się więc, że Harry ma własne zdanie, a on tylko wypowiadał pogląd odmienny niż ten, który ostatnio usłyszał.

Ktoś mówił na przykład:

– Chodźcie, połączmy się po Piątej Alei! Może jakiś frajer zapomniał zamknąć swój samochód.

A Harry na to:

– Nie, nie! Chodźmy do portu. Może znajdziemy jakiś otwarty magazyn.

Albo mówił:

– Najlepsze spluwy to colty.

A on na to:

– Nie znasz się. Najlepsze są smith&wesson.

Ty na to:

– To dlaczego, Harry, nosisz colta?

I tu rozmowa się, niestety, urywała.

Kiedyś, gdy Harry był jeszcze młody, wtedy z kolei zgadzał się ze wszystkimi. Żartowaliśmy nawet, że jest jak kameleon, bo przyjmuje natychmiast poglądy swojego rozmówcy. Harry jednak po jakimś czasie zorientował się, że stroimy sobie z niego żarty, i zamiast zgadzać się ze wszystkimi, zaczął, dla odmiany, ze wszystkimi się nie zgadzać. W sumie, i tak na jedno wychodziło, bo tak jak do tej pory nie miał swoich poglądów, tak nie miał ich i teraz, i tak jak do tej pory nikt nie zwracał uwagi na to, co Harry mówi, tak i teraz nie zwracał.

Harry gdzieś w głębi duszy czuł jednak, że jest nijaki, i dlatego bardzo starał się być jakiś. To, można powiedzieć, był główny cel i główna ambicja jego życia. Bardzo imponowali mu też goście, którzy, tak jak Martwy John, mieli w sobie siłę i charyzmę. Martwy John był w ogóle jego idolem. Harry starał się mówić jak on, ruszać jak on, generalnie być takim samym twardzielem jak on. Harry jednak twardzielem nie był. W sytuacji, w której Martwy John przesunąłby tylko językiem wykałaczkę z jednego kącika ust do drugiego, Harry natychmiast tracił głowę. Wszyscy o tym wiedzieli i podśmiewali się trochę, kiedy pozował na silnego gościa. Nadszedł jednak dzień, kiedy przestali się z niego śmiać.

Było to, zdaje się, w pierwszym roku wojny. Niemieckie u-boty podpływały wtedy aż pod samo nasze wybrzeże. Kilka razy ostrzelały nawet ze swoich działek pokładowych jakies instalacje portowe. Wielkiej szkody nie zrobiły, chodziło raczej o efekt propagandowy. Jeśli chodzi o nas, efekt ten został osiągnięty. Chłopaki co i raz odgrażali się, co też nie robią, jak te Szkopy się u nas pojawiają. „Przyplływajcie – mówili – zapraszamy! Tutaj każdy ma gnata, starczy nam kul na całą niemiecką armię!”.

Harry Indianiec oczywiście darł się najgłośniej. Wizje bohaterkiej obrony Nowego Jorku kierowanej, jakże by inaczej, przez niego osobiście ze szczytu Statui Wolności robiły, trzeba to przyznać, wrażenie. Miasto się pali, na niebie bucza eskadry niemieckich bombowców, z tysięcy u-botów wynurzających się stadami u wybrzeży Manhattanu wypelzają jak

szańcucha kolejne szwabskie dywizje, a Harry z czterdziestką piątką w dłoni swoim przykładem zagrzewa naród do obrony. Szkoda, że nie słyszeli tego w Hollywood. Można by zrobić z tego film lepszy od King Konga.

Słusznie jednak powiadają, że najlepsze scenariusze pisze samo życie. Harry, choćby nie wiem jak główkował, nie wymyśliłby sobie takiej śmierci. Chcecie wiedzieć, jak to było? Proszę bardzo.

Któregoś razu, po kolejnym wieczorze spędzonym w knajpie, gdzie chłopaki po raz kolejny roztrząsali, co by zrobili ze Szkopami, gdyby ci tylko się u nas pojawili, Harry wracał lekko zawiany do domu. Szedł nabrzeżem. Od jakiegoś czasu chodził właśnie tamtędy. Tak na wszelki wypadek, żeby sprawdzić, czy przypadkiem w porcie nie wynurzają się jakieś łodzie podwodne. Nadkładał przez to trochę drogi, ale czego się nie robi dla ojczyzny. Nagle zobaczył na nabrzeżu światła. Podeszedł bliżej i wtem jego oczom ukazał się straszny, lecz w sumie od dłuższego już czasu oczekiwany widok: nabrzeże roilo się od ludzi w niemieckich mundurach. Niektórzy z nich stali i palili, inni rozmawiali, jeszcze inni pili kawę wydawaną przy stole przez jakichś cywilów. Wszystkie to oświetlały bardzo silne reflektory, pełno też było dziwnych urządzeń o najwyraźniej militarnym charakterze.

Serce zamarło Harry'emu w piersi. „Inwazja!” – pomyślał i słowo to zajarzyło się w jego głowie niczym drogowskaz w dwóch kierunkach, bowiem z jednej strony namawiało go do ucieczki, z drugiej, wprost przeciwnie, do ataku.

W takich sytuacjach o życiu lub śmierci decyduje czasami nie wiadomo co. W przypadku Harrego mógł to być wypity dzisiaj alkohol, mogła to być świeżo odbyta rozmowa o bohaterkiej obronie miasta, mogło też to być podświadome przeczucie, że ma oto jedyną i niepowtarzalną okazję, by nie zachować się nijako, by stać się wreszcie kimś takim, jakim zawsze chciał być.

Nagle na nabrzeżu ktoś powiedział coś przez megafon. Harry nie zrozumiał słów, lecz chwilę potem żołnierze zaczęli gasić papierosy, odstawiać kubki z kawą i sięgać po karabiny. W głowie Harry'ego coś przeskoczyło. Decyzja, jak to zwykle bywa, podjęła się sama. Harry sięgnął po swoją czterdziestkę piątkę i po drugą, którą kupił niedawno na wypadek inwazji. Odciągnął kurki i z wyciągniętymi przed siebie soplami ruszył w kierunku Niemców. Nie spieszył się, bohaterowie nigdy się nie spieszą. Z początku nikt go nie zauważył. Żołnierze ustawiali się na swoich pozycjach, jacyś goście poprawiali reflektory, a człowiek w kracastej koszuli biegał między tym wszystkim i krzyczał coś przez megafon.

Harry zacisnął mocniej palce na kolbach rewolwerów. Wchodził powoli w krąg światła. Jego mocno wciśnięty na oczy kapelusz borsalino rzucał głęboki cień na niebieskawy garnitur, buraczkową koszulę i żółte buty. Dopiero teraz go zauważyli. Niemieccy żołnierze zerkali na niego niepewnie spod hełmów, lecz żaden nie zmienił pozycji. Człowiek w kracastej koszuli krzyczał coś do niego przez megafon, lecz Harry nie zwracał na to wszystkiej uwagi.

Bang! Bang! Bang! – jego spluwy plunęły nareszcie ogniem. Szedł powoli i strzelał raz za razem. Jak generał Custer, którego widział kiedyś w filmie, gdy atakowali go dzicy Siuxowie. Na nabrzeżu wybuchła panika. Niemcy rzucili swoje karabiny i krzyżąc z przerażenia, rozpieprzili się na wszystkie strony. Człowiek z megafonem leżał na ziemi, trzymając się za



łydkę. Mimo to, ciągle coś krzyczał. Harry usłyszał tylko: „Akcja! Akcja! Sfilmować mi to do cholery!”, lecz musiało mu się wydawać. W końcu nie znał niemieckiego.

W tym momencie poczuł mocne uderzenie, jakby ktoś z całej siły walnął go pięścią w mostek. Stracił oddech i osunął się na kolana. Poczul w ustach słodki smak i zrozumiał, że to jego krew. „A więc tak się umiera za ojczyznę!” – pomyślał. Było całkiem OK. Jedyne, czego żałował, to że nie założył dziś białej koszuli. Na tej buraczkowej krew pewnie nie odznaczała się dostatecznie wyraźnie. „Może następnym razem” – pomyślał i była to ostatnia myśl, jaka pojawiła się w jego głowie.

Jak wykazało śledztwo, Harry zginął od rykoszetu z własnej broni. Niemieccy żołnierze nie mieli szans go zastrzelić, gdyż ich karabiny były atrapami wykonanymi specjalnie dla potrzeb propagandowego filmu, kręconego na polecenie Departamentu Obrony. Całe szczęście Harry pod wpływem alkoholu i emocji nie strzelał zbyt celnie. Jediną jego ofiarą była przestrelona łydka głównego reżysera, który zresztą nie miał o to specjalnych pretensji, jako że dzięki Harry’emu nakręcił parę bardzo realistycznych ujęć. Pokazywano to potem w kinach całego kraju. Wszyscy byliśmy dumni z Harry’ego. W końcu jako jedyny z nas trafił do filmu. Został, można powiedzieć, gwiazdą. I, dziwna sprawa, z biegiem czasu zapomnieliśmy powoli, jaki był naprawdę. Zapomnieliśmy, że był wredny, nijaki i dziwacznie się ubierał. Zapamiętaliśmy go takim, jakim był tamtego wieczora na nabrzeżu. Z kapeluszem zsuniętym na oczy, z wyciągniętymi przed siebie spluwami, z których raz za razem bucha ogień, kroczącego powoli wśród porzucających karabiny przerażonych Niemców. Jedyne go z nas, który został prawdziwym bohaterem. Zdaje się, że nawet jakaś szkoła w Bronxie nosi jego imię.

## GANG LAWENDOWY

Opowiem wam teraz o Gangu Lawendowym. Przez jakiś czas chłopaki z niego trzęśli całym miastem. Było to po ich słynnym skoku na sklep starego Cartera. Mówię wam, całe miasto trzęsło się wtedy ze śmiechu.

Gang Lawendowy założył aptekarz, pan Bowl, któremu znudziło się sprzedawanie maści z sadła świstaka, i który na stare lata postanowił zakosztować niebezpiecznego życia. Do tego przedsięwzięcia wciągnął swojego kuzyna George'a, listonosza – pana Eddiego, którego od jakiegoś czasu bolały nogi, i który w ten niekonwencjonalny sposób postanowił przejść na emeryturę, oraz żonę pana Eddiego, Jamie.

Nazwa gangu wzięła się stąd, że pan Bowl ze wszystkich kwiatów na świecie najwyżej cenił lawendę. Mówił: „Z większości kwiatów nie ma żadnego pożytku. Stoją w wazonie i tylko woda pod nimi coraz bardziej śmierdzi. Lawenda to co innego. Lawenda odgania mole”. Co by o tym nie mówić, pan Bowl miał rację. Lawenda rzeczywiście odgania mole. Są jednak rzeczy, o których nie warto wspominać, nawet jeżeli są prawdziwe.

Pierwsze spotkanie Gangu Lawendowego odbyło się na zapleczu apteki pana Bowla. Zaczęło się od tego, że listonosz, pan Eddie, przeproszając wszystkich, zdjął buty tłumacząc, iż bolą go nogi. Pan Bowl natychmiast popsikał pokój lawendową wodą, na co Jamie, żona pana Eddiego odpowiedziała kichnięciem. Pan Bowl spojrzął na nią z dezaprobatą, po czym rozpoznał przemowę.

- Moi drodzy – powiedział – spotkaliśmy się tu, bowiem konwenanse społeczne i tradycyjnie pojmowana praworządność nie pozwalają w pełni rozwinąć się naszym wolnym i dzikim osobowościom. Czas zerwać ze sztywnym gorsetem norm i zakazów. Tylko silni ludzie są w stanie sięgnąć po prawdziwe szczęście.

- W twojej wypowiedzi pobrzmiewają echa filozofii Nietzschego – zauważył kuzyn George.

- Bardzo możliwe – zgodził się pan Bowl. – Dziękuję ci, George.

Pan Eddie, który przez cały czas masował obolałe stopy, podniósł na te słowa wzrok.

- No właśnie – powiedział – całe życie ciężko pracowałem i co z tego mam?

Było to odrobinę bez związku, lecz mimo to, wszyscy pokiwali głowami.

- W tym celu – kontynuował pan Bowl – wkroczyliśmy wszyscy na drogę przestępstwa.

Mówiąc to, teatralnym gestem położył na stole trzy rewolwery kaliber 38.

- Dlaczego tylko trzy? – zdziwiła się Jamie.

- Po co ci pistolet, Jamie? – spytał Eddie, jej mąż. – Przecież boisz się nawet tostera.

- Nie boję się tostera, nie jestem głupia – z godnością odpowiedziała Jamie.

- To dlaczego za każdym razem, gdy wyskakują z niego grzanki, mówisz: „O matko, ale się przestraszyłam!”?

- Bo robią to bardzo gwałtownie. Ty za to nigdy nie gasisz światła w łazience!

- Proszę o spokój! - przerwał im pan Bowl.

Jamie fuknęła, po czym wyjęła robótkę i ostentacyjnie zajęła się szydełkowaniem, obwieszczając w ten sposób wszem i wobec, że właśnie się obraziła, i że wszystko, o czym dalej będzie mowa, nic a nic ją nie obchodzi. Eddie z zacisniętymi ustami zaczął wpatrywać się w półkę, a pan Bowl westchnął i mówił dalej.

- Nie ma co ukrywać, moi drodzy, iż pieniądze, mimo że, jak wszystko na tym świecie, są marnością, pozwalają nam jednak wyzwolić się w jakiś sposób z okowów społeczeństwa. Ludzie bogaci są wolni w o wiele większym stopniu, niż biedni, to oczywiste.

- Lecz jednocześnie są niewolnikami własnych pieniędzy - zauważył kuzyn George.

- Być może - odpowiedział pan Bowl - lecz z dwóch tyranów, bogactwo jest znacznie łagodniejszym panem, niż nędza.

Kuzyn George chciał coś na to odpowiedzieć, ale widocznie nie miał za bardzo co, bo nic nie odpowiedział.

- Poza tym, nie zapominajmy, że nie chodzi nam wyłącznie o pieniądze. - Pan Bowl skarcił go wzrokiem. - Chodzi nam o to, by wznieść swe dusze na wyższy poziom jestestwa, poza dobro i zło, że się tak wyrażę.

- Chyba, że tak - zgodził się George.

- Musimy udowodnić sami sobie - ciągnął pan Bowl - że jesteśmy duchami prawdziwie wolnymi, których nie obowiązują głupie normy wymyślone przez ludzi małych i tchórzliwych.

- Ja zadowolę się pieniędzmi - odezwał się nagle Eddie.

- A jeszcze chętniej butelką whiskey - zjadliwie dorzuciła jego żona.

- Butelka przynajmniej tyle nie gada - odparował Eddie.

- Proszę o spokój! - Pan Bowl wykonał gest, jakby chciał walnąć pięścią w stół, ale widocznie zabrakło mu śmiałości.

- Najlepszym sposobem, by uwolnić się od tyranii społeczeństwa, jest złamać jego normy - słusznie zauważył kuzyn George.

- Otóż to! Przystępstwo jest do tego wprost idealne!

Mówiąc to, pan Bowl zaczerwienił się lekko na twarzy. Czując to, speszył się i poczerwieniał jeszcze bardziej.

- No dobrze, ale konkretnie, o jakie przestępstwo chodzi? - znad robótki spytała Jamie.

- Właśnie - pan Bowl dla uspokojenia wziął głęboki oddech - opracowałem plan napadu na sklep Cartera.

Na zapleczu apteki zapadła cisza. Nawet Jamie przestała szydełkować. Znad zsuniętych na nos okularów spojrzała na pana Bowla i wypaliła:

- Przecież Carter to stary piernik. Ledwo widzi. Pewnie nawet nie zauważy, że go obrabiamy. Wielkie mi przestępstwo!

- Nie ma pani racji, droga Jamie - odpowiedział pan Bowl. - Jest to przestępstwo i to szczególnie ohydne. Dokonując napadu na zniedołężniałego staruszka, łamiemy od razu dwie

normy społeczne – tę, która zabrania kraść, i tę, która nakazuje szczególnie chronić osoby bezbronne. Można więc powiedzieć, że plujemy społeczeństwu w twarz dwukrotnie.

– Chodzi o to, że Carter nie będzie w stanie się bronić, prawda? – wznawiając szydełkowanie, powiedziała Jamie.

– A jeśli nawet, to co w tym złego? – zaczętnie rzucił jej mąż. – Pogonimy staremu kota! Będzie niezła zabawa.

– Żebyś ty w łóżku był taki wyrywny... – powiedziała niby to do siebie Jamie.

– Gdybym nie musiał spać z tobą, może byłbym – odciął się Eddie.

– Kochani, proszę o spokój! – po raz kolejny zaapelował pan Bowl, ocierając chustką pot z czoła. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej równo złożoną kartkę papieru. Starannie ją rozprostował i położył na stole.

– Oto nasz plan.

Wszyscy pochylili się nad blatem.

– Co to jest? – spytał Eddie.

– Przerysowałem ręcznie fragment mapy – z dumą odpowiedział pan Bowl – powiększając jednocześnie pięciokrotnie skalę. Zajęło mi to prawie tydzień. Tu jest ulica, a tu sklep Cartera – pokazał ostrożnie tępy końcem ołówka.

– No dobrze, ale gdzie jest plan napadu? – spytał kuzyn George. – Te wszystkie strzałki, nasze pozycje, gdzie kto stoi i tak dalej...

– Ach tak... Nie chciałem tu mazać – pan Bowl chrząknął niepewnie. – Tyle się nad tym napracowałem... Poza tym, plan jest bardzo prosty. Na pewno zapamiętacie. Najpierw wchodzi Jamie i udaje, że chce coś kupić. W ten sposób odwraca uwagę Cartera. Potem wchodzimy my, ja z George'em od przodu, a Eddie od tyłu. Wyciągamy broń, zabieramy pieniądze i wychodzimy.

– Rzeczywiście brzmi prosto – powiedział Eddie.

– A co, jeśli w sklepie będą ludzie? – spytała Jamie.

– Rozpoczniemy o dziewiątej, tuż po otwarciu. Wtedy nie powinno być tam nikogo.

– A co, jeśli mimo to, ktoś będzie? – nie poddawała się Jamie.

– Sterroryzujemy go – niepewnie odpowiedział pan Bowl.

Dzień napadu był wyjątkowo piękny, jak na tę porę roku. Nawet jeśli wziąć pod uwagę, że był lipiec, a w lipcu zazwyczaj jest ładnie. Pan Bowl stał na chodniku i z niecierpliwością wpatrywał się w zegarek.

– Gdzie oni są? – spytał stojącego obok kuzyna George'a. – Już czterdzieści minut po czasie. Umówiłem przecież napad na dziewiątą.

Kuzyn George wzruszył ramionami. Obaj mieli na sobie długie, czarne płaszcze z postawionymi kołnierzami i kapelusze mocno wciśnięte na oczy. Miało to zapobiec ich ewentualnemu rozpoznaniu.

– Dzień dobry, panie Bowl! – przechodzący obok sprzedawca papierosów przyjrzał mu się ze zdziwieniem. – Piękny dzień, nieprawdaż? Nie jest panu za gorąco?

– Beduini w ten sposób walczą z upałem – odpowiedział z godnością pan Bowl. – Taki strój działa jak izolacja.

- Doprawdy? Muszę spróbować - z powątpiewaniem powiedział sprzedawca i poszedł dalej.

W tym momencie na końcu ulicy dały się słyszeć podniesione głosy. Listonosz Eddie wraz ze swą żoną szli chodnikiem, cały czas się kłócąc. Eddie prowadził rower.

- Po co ci rower, Eddie? - spytał pan Bowl, kiedy już do nich doszli. - Nie mogłeś go gdzieś zostawić?

- Żeby mi go zaraz ukradli? Spokojnie, nie będzie przeszkadzać.

- Czemu żeście się spóźnili? Mieliście być pięćdziesiąt minut temu!

- Jej się spytaj - powiedział, wskazując na żonę, Eddie i pogardliwie wyduł usta.

- Musiałam rozwiesić pranie. Gdybym je zostawiła mokre, zatęchłoby.

- Dobrze - pan Bowl wołał na to nie odpowiadać - jest godzina dziewiąta pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt minut po czasie. Rozpoczynamy napad.

- A mogę najpierw kupić sobie coś do jedzenia? - spytała Jamie. - Strasznie mnie ssie w żołądku.

- Nie możesz - powiedział przez zaciśnięte zęby pan Bowl. - Jak już mówiłem, rozpoczynamy napad. Ty - wskazał na Eddiego - wchodzisz przez zaplecze. My oczekujemy pięć minut i wypuszczamy Jamie. Po chwili wchodzi ją i George.

- Dobra - powiedział Eddie i wsiadł na rower.

- Mogłabym przez ten czas kupić sobie coś do jedzenia - nie rezygnowała Jamie.

- Nie mogłabyś - wyszczał pan Bowl.

- W porządku - pan Bowl spojrzał na zegarek. - Jest już tam wystarczająco długo. Wchodzimy.

Ruszyli w kierunku sklepu. Rozpięte płaszcze powiewały im pod wpływem ruchu, odstawiając wetknięte za pas rewolwery.

- Ty pierwszy - powiedział kuzyn George.

Pan Bowl wszedł do sklepu. Przywitał go stojący za ladą, uśmiechnięty pan Carter.

- Dzień dobry! Czym mogę służyć?

Pan Bowl rozejrzał się. Tak jak przypuszczał, oprócz nich, nie było w sklepie nikogo. Co dziwne jednak, nie było w nim także Jamie.

Pan Bowl stanął zdezorientowany.

- Przed chwilą weszła tu pewna kobieta... - zaczął niepewnie.

- Jamie? - stary Carter uśmiechnął się ponownie. - Poszła na zaplecze zrobić sobie kanapkę. Strasznie ją ssało w żołądku.

Pan Bowl w tym momencie poczuł chęć, aby po prostu odwrócić się i wyjść. Opanował się jednak. Sprawy zaszły już za daleko. Gwałtownym ruchem wyszarpnął zza pasa rewolwer.

- Słuchaj, Carter, to jest napad! Dawaj forszę, to nic ci nie zrobimy!

- Jacy „my”, panie Bowl? - spytał spokojnie Carter. - Przyszedł pan tu sam.

Pan Bowl obejrzał się nerwowo za siebie. Kuzyna George'a rzeczywiście nigdzie w sklepie nie było.

- Jak to? - zapytał bezradnie. - Nie wchodził tu ze mną taki drugi mężczyzna w płaszczu?

- Ten pan, który był z panem? Widziałem go przez okno wystawowe. Nawet chwycił za klamkę, ale chyba się rozmyślił, bo nie wszedł. Poszedł w tamtą stronę - pan Carter pokazał w górę ulicy.

W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka zawieszono przy drzwiach.

- Dzień dobry, panie Carter! Piękny mamy dziś dzień! - W otwartych drzwiach stał posterunkowy Curtis. - A, jest tu i pan Bowl! Widzę, że kupił pan sobie wreszcie broń. Bardzo słusznie, czasy mamy ostatnio dość niespokojne. Ciągłe słyszy się o jakichś napadach. Tylko proszę uważać, z tą zabawką nie ma żartów. Niech mi pan ją pokaże!

Podszedł do oniemiałego Bowla i wyjął mu rewolwer z dłoni.

- Całe szczęście, że nie jest naładowany. Musi pan kupić jeszcze naboje. Wszystko w porządku, panie Carter?

- W jak najlepszym, panie posterunkowy. Pan Bowl przyszedł mnie obrabować.

- A to dobre! - posterunkowy Curtis roześmiał się serdecznie. - Pan Bowl i napad! Swoją drogą, dziwacznie się pan ubrał, panie Bowl, jak na tę porę roku.

- Beduini w ten sposób walczą z upałem - odpowiedział z rezygnacją pan Bowl. - Taki strój działa izolująco.

- No, skoro Beduini tak się ubierają! - Posterunkowy mrugnął porozumiewawczo do starego Cartera.

W tym momencie na tyłach sklepu dał się słyszeć straszny hałas. Po chwili przez drzwi od zaplecza wszedł Eddie, pchając przed sobą rower.

- Co pan robi u mnie na zapleczu, panie Eddie? I to jeszcze z tym rowerem? - z lekkim uśmiechem spytał Carter.

Eddie spojrzał na niego, spojrzał na posterunkowego Curtisa, spojrzał na stojącego z wyciągniętym przed siebie rewolwerem pana Bowla, po czym przełknął ślinę.

- Szukam żony - odpowiedział po chwili.

- Powinna być w kuchni - powiedział pan Carter. - Poszła zrobić sobie kanapkę. Strasznie ją ssało w żołądku.

- Ja też już chyba pójde - cicho odezwał się pan Bowl. - O dziesiątej muszę otworzyć aptekę.

- Miłego dnia! - uśmiechnął się posterunkowy Curtis. - I niech pan nie zapomni kupić tych nabołów!

Tak oto zakończył się pierwszy, i jednocześnie ostatni, napad Gangu Lawendowego. Pan Carter nie zgłosił go na policję. Za to rozpowiedział o nim całemu miastu. Pan Bowl zyskał dzięki temu przydomek „gangster”. Przez jakiś czas strasznie go to denerwowało, ale potem przestało. Z upływem lat zaczął być nawet z tego dumny. „Gangster Bowl” brzmi przecież o wiele lepiej niż „aptekarz Bowl”. Pogodził się też z kuzynem George'em. Przekonało go wytłumaczenie, iż kuzyn George nie wszedł wtedy do sklepu, gdyż w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ma bardzo ważne spotkanie. W późnych wersjach tej opowieści kuzyn George stał już zresztą obok pana Bowla, kiedy razem odstrzelili się okrążającym ich gliniarzom. Nawet Jamie znalazła w końcu miejsce w tej historii. Bohatersko, narażając życie, robiła im przez cały czas kanapki. Nie muszę oczywiście dodawać, że wszyscy uciekli w końcu rowerem pana Eddiego.

## KRWAWY AARON

Spytacie pewnie, dlaczego spośród tylu bandziorów w Nowym Jorku to właśnie Aaron nosił ksywę Krwawy? Czy chodziło o jego nadzwyczajną, budzącą grozę skłonność do zbrodni? Otóż nie. Chodziło o kiszkę. Krwawą kiszkę. No, wiecie, taką kiełbaskę nazywaną kaszą, świńską krwią i podrobami. Aaron ją wprost uwielbiał.

Było to tym dziwniejsze, że Aaron był Żydem. Urodził się na Williamsburgu w Brooklynie, w dzielnicy, którą wszyscy nazywali Żydowo. Jego ojciec chodził w chałacie, jego dziadek chodził w chałacie, jego wszyscy wujkowie i stryjkowie chodzili w chałatach. Żydzi nie mogą jeść krwi, a już świńskiej krwi nie mogą jeść jak cholera. Każdy z jego krewnych, gdyby tylko zobaczył krwawą kiszkę, natychmiast uciekłby z krzykiem, oskarżając wszystkich wokoło o antysemityzm.

Aaron jednak nie chodził w chałacie. Miał biały kapelusz, jasny garnitur, krótkie baczki przystrzyżone w szpic i małe wąsy jak u Rudolfa Valentino. Z Williamsburga wyprowadził się, mając chyba trzynaście lat. Od tamtego czasu robił wszystko, by zapomnieć o swoim pochodzeniu.

Najbardziej widoczne było to w kwestiach żywieniowych. Żydzi nie mogą jeść szynki, więc Aaron żywił się praktycznie wyłącznie szynką. Żydzi nie mogą łączyć potraw mięsnych i mlecznych, więc Aaron kanapkę z szynką popijał mlekiem. Mówiliśmy mu: „Aaron, daj spokój! Nie jest ci niedobrze? Niektóre nakazy twojej religii nie są takie złe...”. A on na to: „Nie, wszystkie są głupie.”. I dalejże zapijać szynkę mlekiem, aż wszystkim zbierało się na mdłości.

Aaron do tego stopnia pragnął wyrzec się swojej narodowości, że zaczął wszystkim wmawiać, jakoby jego imię wcale nie było żydowskie. Miało pochodzić od Arminiusza, germańskiego wodza, który pokonał i wyciął w pień trzy legiony cesarza Oktawiana Augusta. Gdy nam o tym mówił, kiwaliliśmy głowami, robiąc mądre miny. O Imperium Rzymskim mieliśmy, szczerze mówiąc, blade pojęcie. Równie dobrze mógł nam wmawiać, że jego ojciec był sultanem na Marsie.

- Hej, Aaron - odezwał się kiedyś Martwy John. - Czego ty się tak bardzo wstydzisz? Nie ma nic złego w tym, że jesteś Żydem. Znacznie gorzej, gdybyś był Włochem albo Polakiem.

- Przecież ty jesteś Polakiem, John - zdziwił się Aaron.

- No właśnie - odpowiedział Martwy John.

Nowy Jork to miejsce, gdzie możesz być, kim chcesz. Widziałem tu już gangsterów udających polityków, polityków udających policjantów, policjantów udających złodziei i złodziei udających policjantów. W tym mieście, gdy widzisz śniadego gościa upierającego się,

że jest Norwegiem, mówisz: „Okay, bądź sobie Norwegiem, kogo to obchodzi? Ważne jest, czy można zrobić z tobą dil.”

A z Krwawym Aaronem można było zrobić dil. Zajmował się rozprowadzaniem lipnych biletów na seanse filmowe. Potrafił podrobić bilet do każdego kina w Nowym Jorku. Podchodziłeś do niego i mówiłeś: „Hej, Aaron, masz może bilety na jakiś film z Chaplinem?”. A on na to: „Mam bilety na wszystkie filmy z Chaplinem. Nawet na te, których jeszcze nie nakręcił.”

Szczerze powiedziawszy, kiepsko mu jednak szedł ten biznes. Aaron był pedantem, chciał, by jego fałszywki jak najbardziej przypominały oryginały. Za dużo inwestował w papier, farbę i maszyny drukarskie. Efekt był taki, że jego bilety były droższe od prawdziwych. Kupowaliśmy je jednak – w końcu lubiliśmy drania. Poza tym, kto by kupował oryginał, gdy na rynku są dostępne podróbki?

Mówiłem mu: „Aaron, daj spokój. Zastanów się, kto sprawdza bilety w kinach? Zazwyczaj babcia właściciela. Kobieta nie byłaby w stanie odróżnić biletu na metro od biletu na autobus, a ty martwisz się, czy używasz tej samej farby drukarskiej?”. On mi na to: „Albo robisz coś dobrze, albo wcale. My, Niemcy, tak mamy.”

Jego sytuację dodatkowo komplikowała nieuczciwa konkurencja ze strony Irlandczyków. Wycinali oni ogłoszenia z gazet i sprzedawali je jako bilety. Babcie w kinach niczego oczywiście nie zauważały, a im puchła kabza. Gdyby nie uprzedzenia narodowościowe, Aaron dawno by przez nich zbankrutował. Całe szczęście nienawidziliśmy Irlandczyków jak psów. Nikt z nas nie kupiłby niczego od nich, nawet gdyby sprzedawali złoto w cenie kartofli.

Wszystko jednak zmieniło się wraz z wybuchem wojny. Większość chłopaków wyjechała na front i nie miał kto chodzić do kina. Aaronowi zostawało mnóstwo niewykorzystanych biletów. Żeby się nie marnowały, zaczął sam chodzić na seanse. Mówiłem mu: „Aaron, co ty robisz? Napytasz sobie tylko biedy. To tak, jakby bimbrownik zaczął pić bimber, który pędzi.”. Nie chciał tego jednak słuchać. Mówił: „Co, mam je wyrzucić?”.

No i dograł się. Któregoś dnia babcia w kinie źle odczytała jego bilet i zamiast na wesołą komedię z Haroldem Lloydem, wpuściła go na film wojenny. Aaron od tego czasu zmienił się. Przestał przyszybywać baczki, zmienił garnitur na ciemny, wyrzucił nawet swój biały kapelusz.

Któregoś dnia zniknął. Chłopaki opowiadali, że widzieli go potem w Normandii, jak sprzedawał żołnierzom fałszywe bony na czekoladę. Podobno armia doceniła jego niezwykle zdolności i przerzuciła go na tyły wroga. Zajmował się tam produkcją i sprzedażą podrobionej amunicji. Zamiast prochu, wsypywał do niej piach. Rzecz wydała się, gdy jakiś nieuczciwy kontrahent usiłował go zastrzelić, używając towaru, który właśnie kupił. Aaron próbował odpowiedzieć ogniem, ale on również przez pomyłkę załadował do swojego Lugera naboje z piachem.

Całe szczęście kolba w pistolecie była prawdziwa. Gdyby nie to, Aaron już dawno gryzłby ziemię. A tak, gryzie ją w sumie od niedawna. Chcecie wiedzieć, co go załatwiło? Od tego piachu dostał pylicy. Paskudna choroba. Pod koniec życia zaprzyjaźnił się bardzo z Polakami zrywającymi azbest. Siadali razem, kasłali i jedli krwawą kiszkę. Mówię wam, nikt nie robi takiej krwawej kiszki jak Polacy. Nazywają ją „kaszanka”.



## DOM ALFREDA KRIEPA

Dom starego Kriepa stał na Dolnym Manhattanie, w tej jego części, gdzie ulice mają jeszcze nazwy, nie numery. To był bardzo stary dom, podobno Waszyngton odbył w nim kiedyś jakąś naradę i podobno coś tam ważnego zrobił czy powiedział. Co to jednak było, nikt z nas nie miał pojęcia. Może pokłócił się z Jeffersonem, kto będzie na jednodolarówce?

W każdym razie, dom był stary i Kriep też był stary. Wokoło wznosiły się już drapacze chmur, co i raz burzono jakiś wysokościowiec i na jego miejscu budowano jeszcze wyższy, a dom Kriepa stał, tak jak stał, wciśnięty między te wielkie kloce i przytulony do nich, jak grzyby do niebosiężnych sosen.

Wokół domu był ogród, chociaż nazywam go tak tylko z braku lepszego określenia. Stały w nim rozwalone meble, wraki samochodów, budy po dawno zdechłych psach, leżały góry śmieci. Chwasty rosły tam takie, że miałeś wrażenie, jakby za moment miały zamienić się w drzewa. Drzewa z kolei, w większości jabłonie, grusze i śliwy, były małe, poskręcane i częściowo uschnięte.

Raz na jakiś czas u starego Kriepa zjawiał się facet z magistratu i proponował mu odkupienie posesji, ewentualnie uprzątnięcie działki za pieniądze miasta. Mówił: „Panie Kriep, tu jest dzielnica finansowa, chodzą goście w garniturach, poważni biznesmeni, a pan ma tu syf jak w jakimś Arkansas!“. Kriep odpowiadał na to zawsze tak samo: „Spierdalaj!“. I trzeba przyznać, że ten argument ani razu go nie zawiódł.

Kriep został właścicielem domu w dość niezwykłych okolicznościach. Odziedziczył go po dziadku swojej zmarłej żony. Staruszek, kiedy czuł, że jego kres jest już blisko, wezwał adwokata i kazał mu odszukać wszystkich swoich żyjących krewnych. Gdy dowiedział się, że jedyną spowinowaconą z nim osobą jest stary Kriep, i że to on, wedle prawa, odziedziczy dom po jego śmierci, tak się wściekł, że umarł, zanim zdążył zapisać majątek jakiemuś głupiemu instytucji.

Kriep na początku też zresztą nie palił się do objęcia spadku. Był już wtedy stary (podobno zawsze taki był) i wszędzie wietrzył spisek. Kiedy adwokat przyszedł do niego i obwieścił mu, że właśnie został właścicielem domu, Kriep odpowiedział „spierdalaj!“ i rzucił w adwokata butelką. Wkrótce jednak, gdy kamienicę, w której mieszkał, rozjechały buldożery, żeby na jej miejscu zbudować bank, stary Kriep spakował wszystkie swoje rzeczy na wózek i ciągnąc go, ruszył w dół Manhattanu.

Szedł podobno dwa dni, robiąc sobie przystanki w pobliżu śmietników i dokładając na swój wózek co ciekawsze znalezione w nich rzeczy. Gdy był już w okolicach Wall Street, zatrzymał go policjant, pytając, co też u diaska wyprawia i czy aby nie poczęstować go pałą. Stary Kriep swoim zwyczajem odpowiedział mu „spierdalaj!“ i machnął przed oczami aktem

własności domu. I tym razem argument ten okazał się skuteczny. Maklerzy giełdowi wychodzili właśnie wtedy na lunch. Białe kołnierzyki, garnitury, kapelusze i parasole w rękach. Dużo bym dał, żeby zobaczyć ich miny, gdy ujrzeli starego Kriepa ciągnącego swój dobytek!

Kriep zaś dotoczył wózek na miejsce, wepchnął go przez bramę i tak zostawił. Nie rozpakował go, jeśli o to wam chodzi. Stał on tam jeszcze przez wiele lat, pokrywając się kolejnymi warstwami rdzy i opadłych liści. Stary zaś, zamiast zdejmować z niego jakieś przedmioty, raczej znosił i dokładał koło wózka nowe.

Jedną tylko rzecz stary Kriep zdjął z wózka, i to zaraz po przybyciu na miejsce. Była to klatka z gołębiami. Stary hodował gołębie i była to jedyna czynność, która jako tako go interesowała. Pierwsze, co zrobił w swoim nowym domu, to poszedł na strych i kijem rozwalili parę dachówek w dachu. Ciekło mu, co prawda, później na łeb i ściana podmakala, ale gołębie miały jak w raju. Wychodził potem co rano przed dom, brał kij, na którego końcu uwiązana była szmata, i krzycząc „spierdalaj, spierdalaj!”, podrywał gołębie do lotu.

Niestety, właśnie przez te gołębie stary Kriep naraził się na poważny konflikt, który koniec końców, doprowadził do jego śmierci. Dawnym właścicielom budynku, którzy, jak się okazało, ciągle jeszcze poniekąd pomieszkiwali w jego murach, nie do końca spodobały się zmiany wprowadzone w ich nieruchomości. Rozwalony dach, pleśniejące ściany i obrsany strych – tak, to może wyprowadzić z równowagi nawet kogoś, kto już od kilkuset lat nie żyje.

Wszystko zaczęło się z pozoru niewinnie. Ktoś w nocy przychodził do Kriepa i, roztaczając chłód oraz stęchły zapach, stukał go lekko w ramię, a potem mówił: „Przepraszam, czy mógłby pan załatać dziurę w dachu?”. Kriep swoim zwyczajem odpowiadał „spierdalaj” i przewracał się na drugi bok. Postać jeszcze przez chwilę nad nim stała, po czym skonfundowana zniknęła.

Trwało to przez jakiś tydzień. Którejś nocy duchy postanowiły zastosować bardziej radykalne środki. Podeszły do łóżka starego, chwilę poszeptaly, po czym jeden z nich straszonym głosem krzyknął „luuu!”.

Kriep obudził się, przewrócił na wznak, spojrzał na zjawy, mruknął coś i zasnął z powrotem.

Nie muszę dodawać, że inne działania również nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Przesuwanie przedmiotów na niewiele się zdało, gdyż Kriep najzwyczajniej w świecie niczego nie zauważał, ewentualnie patrzył na to obojętnie i mówiąc „cholerny przeciąg”, okręcał sobie biodra starym swetrem. Białe zjawy również nie robiły na nim wrażenia. Dla kogoś, komu *delirium tremens* spowszedniało, jak innym katar, pałętająca się po kuchni biała, świecąca istota musiała się wydawać zupełnie zwyczajną rzeczą.

Sukces jednoczy, natomiast porażka powoduje spięcia. Wie o tym każdy, kto kiedykolwiek kierował grupą przestępczą. Także wśród duchów zaczęło dziać się nie najlepiej. Ludzie, którzy przechodzili w nocy koło domu starego Kriepa, opowiadali, że z jego wnętrza dawało się słyszeć kłótnie po holendersku. Jeden głos, żeński, mówił coś głośno, drugi, męski, odpowiadał z rezygnacją. Potem żeński głos płakał, a męski krzyczał i trzaskał drzwiami.

Kriep oczywiście niczego nie słyszał, bo spał. Ślady nocnych awantur, jak potłuczone talerze, poprzewracane wazony czy pobite lustra, również nikły w ogólnym bałaganie, który stary konsekwentnie i systematycznie wprowadzał w swoim domu.

Pewnej nocy miarka się jednak przebrała. Zjawy najpierw długo rozmawiały o czymś ściszonymi głosami, a potem zaczęły wprowadzać w życie swój straszliwy plan. Aż do świtu z domu Kriepa dochodziły przerażające odgłosy – coś jakby szuranie, zgrzytanie, pojękiwanie i sapanie. Martwy John, który właśnie tej nocy obrabiał w pobliżu sklep z bajglami, przysięgał potem, że słyszał odkurzaczy.

Gdy stary się obudził, z początku niczego nie zauważył. Najpierw, jak co rano, nie otwierając oczu, wymacał leżące przy łóżku papierosy i zapalki. Zapalił, zaciągnął się, po czym wstał i, ledwo podnosząc powieki, poczłapał do kuchni, gdzie nalał sobie szklaneczkę whiskey. Wypił ją duszkiem, głęboko westchnął i dopiero teraz rozejrzał się dookoła. To, co zobaczył, nie od razu do niego dotarło. Przez chwilę mrugał intensywnie oczami, jakby chciał strząsnąć z nich ten niechciany obraz. Wreszcie zrozumiał – wszystko było wysprzątane. Podłoga zamieciona i zmyta na mokro, przedmioty wytarte z kurzu i poustawiane równo na półkach, okna umyte, a firanki wyprane. W powietrzu unosił się jeszcze zapach popularnego proszku do prania.

Stary Kriep jęknął i osunął się na krzesło. Z przyzwyczajenia chwycił się ręką za blat stołu, lecz okazało się to niepotrzebne. Krzesło nie chwiało się jak dotychczas. Spojrzał przerażony pod siebie. Przy jego prawej stopie jaśniała świeżo wystrugana, drewniana noga.

To, co potem nastąpiło, porównać można tylko do wojny. Wojny wyniszczającej, pozycyjnej, totalnej. Stary wpadł w szal. Zaczął wszystko przewracać, niszczyć, brudzić. Wylał na ziemię przed gankiem wiadro wody, udeptał ją na błoto, potem wbiegał i wybiegał z domu, próbując jak najdokładniej zdeptać podłogi. Wymazał paluchami okna, wszedł na stół i wytarł buty w obrus – wszystko na nic. Następnego ranka dom był z powrotem dokładnie wysprzątany.

Powtarzało się to przez kilka dni. Co Kriep w dzień zabrudził, to zjawy w nocy sprzątały. Co one w nocy wysprzątały, to on za dnia wyświłnił. Wytworzyła się w tym pewna równowaga, jakby dwóch bokserów zwarło się w kłinczu i żaden nie mógł drugiego pokonać.

Nie trwało to jednak długo. Po jakimś czasie Kriep zaczął powoli oddawać pole. Z początku niezauważenie, potem coraz bardziej wyraźnie, zjawy zyskały przewagę. Obszar porządku i czystości powiększał się z każdym dniem. Najpierw duchy posprzątały i wymyły strych, potem zamiotły obejście i wypielili chwasty, wreszcie zabrały się za wózek ze śmieciami, który stary przyciągnął tu ze swojego dawnego mieszkania.

Gdy Kriep to zauważył, zrozumiał, że przegrał. Trzeba przyznać, że walczył do końca. Coraz bardziej jednak słabł, marniał, wręcz nił w oczach. Kiedy przestał pić, wiedzieliśmy, że długo już nie pociągnie.

Jego zwłoki odkryli przedstawiciele magistratu, którzy przybyli wręczyć mu dyplom za najbardziej zadbaną posesję w mieście. Stary Kriep leżał na łóżku w czystej pościeli, w wypranym i wyprasowanym garniturze. Na nocnym stoliku stały świeże kwiaty. Obok leżała koperta pełna banknotów ze starannie wykaligrafowanym napisem „na pogrzeb”.

Ponieważ Kriep nie miał żadnych potomków ani krewnych, jego dom przejęło miasto. Urządzono w nim muzeum tego czegoś, co zrobił lub powiedział tam Waszyngton. Podobno jeszcze przez wiele lat ktoś uparcie w nocy zadeptywał w nim podłogę. Nawet dziś, gdy pójdziecie tam na wycieczkę, i zapatrzycie się zbyt długo w jakąś książkę czy inny eksponat, możecie usłyszeć, jak ktoś cichym głosem mówi za waszymi plecami: „spierdaj!”.

## AL WYPLUJ TO

Al mieszkał przy East River. Chociaż nie, raczej przy Hudson... Nie pamiętam, zawsze myliły mi się te dwie rzeki. Gdy szło się od Mlecznego Boba w kierunku lokalu Mamy Carter, trzeba było w pewnym momencie skręcić w lewo. Albo w prawo. W każdym razie trzeba było skręcić, to wiem na pewno.

Nie o to jednak chodzi. Al już dawno nie żyje, nie ma takiej drogi, którą dziś można by do niego dojść. Tym bardziej, że od kilkudziesięciu lat jego kości leżą na dnie rzeki. Nie pytajcie mnie jednak, której.

A wszystko przez zabobony. Al był strasznie przesądny, panicznie bał się rzeczy, które mogłyby przynieść mu pecha. Tymczasem pecha przyniosła mu właśnie wiara w te głupoty. Jak to się stało, zaraz wam opowiem.

Al bardzo pilnował wszystkich tych spraw. Zawsze wstawał prawą nogą; nigdy nie przechodził pierwszy przez drzwi; gdy szedł, co jakiś czas przystawał i stukał czubkiem prawego buta w ziemię, choć nigdy nie chciał nam powiedzieć, po co.

Sprawiało to pewne kłopoty, zwłaszcza podczas napadów. No bo wyobraźcie sobie: pięciu gości w kominiarkach wpada do banku i nagle jeden z nich zatrzymuje się i stuka butem o podłogę. Wygląda to dosyć niepoważnie. Z kolei, gdy goniła nas policja, miało to swoje dobre strony, bo Al zawsze zostawał w tyle i jeśli kogoś łapali, to właśnie jego.

Al był krótkowidzem, lecz za żadne skarby świata nie chciał kupić sobie okularów. Mówił, że wygląda w nich jak ciota. Bez okularów też nie wyglądał najlepiej, ale może tego nie widział, bo nie miał okularów? W każdym razie, ślepy był jak kret. Mówiliśmy mu: „Al, zamiast gnata powinienes nosić scyzoryk. Przynajmniej widziałbyś, kogo zabijasz”. Był to oczywiście żart, bo Al nigdy nikogo nie zabił. Prawdopodobnie dlatego, że rzadko w cokolwiek trafiał.

Mówię wam, można było się z niego pośmiać. Al strasznie się wtedy wkurzał, kłął i rzucał różnymi przedmiotami, ale potem dosyć szybko mu przechodziło. Dobry był z niego w sumie człowiek, choć nie chciałbym mieć kogoś takiego w rodzinie.

Jedną rzecz jednak Al traktował cholernie poważnie i w tej sprawie nigdy nie odpuszczał. Przez to zresztą zyskał swoją ksywę. Wystarczyło przypadkiem, w żartach, albo nawet niechcący powiedzieć coś w rodzaju: „Oj, żebyś nie żałował!” i Al cały tężał. Robił się wtedy błądy i mówił: „Wypluj to. Proszę cię, wypluj to!”. Mówiłeś mu wtedy: „Al, daj spokój, żartowałem!”. A on na to: „Wiem, że żartowałeś, ale wypluj to. Trzy razy.”.

No i co było robić? Pluliśmy trzy razy przez lewe ramię. Gdybyśmy tego nie zrobili, Al nie dałby nam spokoju. Czasami było to nawet zabawne. Pamiętam, jak kiedyś strzelaliśmy się z

bandą Dzikiego Kena. Kule świsnęły wokół aż miło. I nagle Billy Skubaniec mówi:

- Al, ale ty pudłujesz, niech cię gęś kopnie!

A Al na to:

- Wypluj to, Billy!

Billy tak się zdziwił, że aż przestał strzelać.

- Co mam wypluć, Al? - bo w pierwszej chwili nie zrozumiał.

- To, co wcześniej powiedziałeś, wiesz co.

Billy zaśmiał się z niedowierzaniem:

- Zwariowałeś, Al? Mam wypluć, żeby cię nie kopnęła gęś? Boisz się, że cię kopnie gęś? W tym mieście nie ma gęsi.

- Nie szkodzi - odpowiedział Al. - A jak wyjadę na wieś? Po prostu to wypluj, proszę cię.

No i Billy wypluł to, żeby Ala nie kopnęła gęś, a my zaczęliśmy tak rechotać, że aż Dzikie Ken wychylił się zza węgła i krzyknął:

- Co jest, chłopaki? Strzelamy, czy sobie żartujemy?

Ja też miałem swoje przejścia z Alem. Kiedyś graliśmy razem w karty w pewnej nielegalnej knajpie na rogu Trzeciej i Trzydziestej Czwartej. Al, który jak sam twierdził, świetnie grał w pokera, przegrywał, aż przykro było patrzeć. W pewnym momencie, gdy przegrał już nawet swój kapelusz, strasznie się wkurzył. Zaczął krzyczeć „cholera” oraz „pieprzę to”, zrobił się przy tym cały czerwony i strasznie machał rękami. Chciałem wstać i odejść od stołu, żeby przy szklaneczce księżycówki poczekać, aż się uspokoi i zacznie wszystkich przeproszać, a wtedy Al niechcący sprzedał mi takiego kuksańca w bok, że pociemniało mi przed oczami. „A niech cię, Al” - powiedziałem i wtedy właśnie wpadła policja. Wszyscy zaczęli uciekać, zamieszanie zrobiło się straszne, ja poleciałem w jedną stronę, Al w drugą, i jak to mówią, zniknęliśmy sobie z oczu.

To jednak, wbrew pozorom, nie był koniec całej tej historii. Około trzeciej w nocy ktoś zapukał w moje okno. Wstałem i w samych gaciach podszedłem do framugi. Al stał na schodach przeciwpożarowych. Blady jak sama śmierć. W pierwszej chwili przestraszyłem się, że zginął w tej obławie i teraz przyszedł mnie straszyc. Ale nie, duchy nie mają takich głupich min.

- Kto tam, do cholery? - spytałem trochę jeszcze niepewnie.

- To ja, Al - odpowiedział. - Możesz mnie wpuścić?

- Co tak późno? - mruknąłem, otwierając okno.

- Nie wiedziałem, gdzie mieszkasz. Dopiero Martwy John mi powiedział.

- Obudziłeś Martwego Johna? - zdziwiłem się. - Musiałeś mieć naprawdę dobry powód, stary. O co chodzi?

- Przepraszam cię bardzo, że cię niepokoję o tak późnej porze - zaczął zmieszany Al - ale mam do ciebie pewną prośbę. Pamiętasz, co powiedziałeś dziś w knajpie, zanim wpadła tam policja?

- Pewnie chodu, albo w nogi, albo coś w tym guście - odparłem, no bo co się mówi w takich sytuacjach?

- Nie, nie! Nie po tym, jak wpadła, ale tuż przed tym.

- Nie pamiętam, Al. Daj mi spokój, jest trzecia w nocy!

- Przypomnij sobie, proszę cię.

- Po co, do diabła?

- Bo musisz to wypluć.

- Do jasnej, przenaajsświętszej cholery! - wkurzyłem się nie na żarty. - Budzisz mnie w środku nocy, żebym ci coś wypluł? Czy ty jesteś normalny, Al?

- Może i nie jestem, ale błagam cię, wypluj to. Mogę nawet przed tobą klęknąć, tylko wypluj to.

- No dobrze - powiedziałem zrezygnowany - wypluję. Tylko co?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo to przynosi pecha.

Są takie chwile w życiu człowieka, że, jak to mówią, ręce opadają. To była właśnie ta chwila. Stałem tam w samych gaciach przy otwartym oknie i jedyne, o czym marzyłem, to żeby wrócić do łóżka. Wiedziałem jednak, że ten głupek mi nie odpuści.

- Al, zastanów się - powiedziałem łagodnie - chcesz, żebym ci coś wypluł, ale nie chcesz powiedzieć, co, bo to przynosi pecha. To może zrobmy tak: ty mi powiesz, co mam wypluć i sam to wyplujesz, a potem ja to wypluję. Może tak być?

Al zastanowił się przez chwilę.

- Może - odpowiedział.

- Może. Świetnie. No to dawaj.

- Powiedziałeś: „Niech cię, Al.”. Tfu, tfu, tfu.

W pierwszej chwili myślałem, że źle usłyszałem.

- Niech cię, Al? - spytałem cichym głosem. - Niech cię, Al?! I tym mi głowę zawracasz o trzeciej w nocy? A możesz mi łaskawie powiedzieć, co też miałoby niby „niech cię”?

- Nie wiem - odpowiedział niezrażony Al. - Ale wolałbym, żeby to nigdy nie nastąpiło.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Splunąłem trzy razy przez lewe ramię, zamknąłem okno i wróciłem do łóżka. Gdy zasypiałem, słyszałem jeszcze, jak Al zatrzymuje się na którymś schodku i stuka czubkiem buta w metalowy stopień.

To był ostatni raz, kiedy go widziałem. Wkrótce potem w jakiejś knajpie Al coś sobie pomyślał. Musiało to być coś strasznego, bo natychmiast, nie oglądając się za siebie, splunął trzy razy przez lewe ramię. Pech chciał, że za jego plecami stał Gruby Mario. Gruby Mario bardzo nie lubił, gdy się na niego pluje. Miał ten uraz jeszcze z dzieciństwa, gdy był posługaczem w tawernie w porcie. Dwa razy by jeszcze jakoś ścierpiał, ale trzecie splunięcie Ala wyprowadziło go z równowagi jak cholera. Powiedział:

- Lubisz wilgoć, Al? Mogę ci załatwić taką miejscówkę, gdzie będziesz miał jej pod dostatkiem.

Kilka lat temu pogłębiarka wybierająca muł z dna rzeki Hudson (albo East River - zawsze myliły mi się te dwie rzeki) wydobyła ludzką czaszkę. Przyjechała policja, koroner, zjawili się dziennikarze. W chwili, gdy jeden z robotników podnosił ubłocony czerep, by mogli go sfotografować reporterzy, ktoś nagle krzyknął: „Tylko jej nie upuść, koleś!”. Wtedy w środku coś chlupnęło i z czaszki wystrzyknęła strużka brązowej, mulistej cieczy. Wyglądało to zupełnie jak splunięcie.

To musiał być Al. Mówię wam, to na pewno był on.

## FLORYDA

Pewnie myślicie, że będę teraz opowiadać o jakichś pieprzonych wakacjach? Nic z tych rzeczy. Tak nazywaliśmy jednego gościa. Spytacie pewnie, skąd ta ksywa? Nie wiem. Może był kiedyś na Florydzie, a może dostał stamtąd tylko kartkę? W Nowym Jorku o przewisku decydowały czasami jakieś głupoty. Wystarczyło, że w dzieciństwie poślizgnąłeś się na skórce od banana i już do końca życia wołali na ciebie „Banan”. A Banan nie jest jeszcze taki zły. Brzmi, można powiedzieć, nawet sympatycznie. Co jednak, gdy, dajmy na to, wdepnąłeś w coś innego? Wtedy miałeś przerąbane.

Najgorzej było, jak jeszcze nie miałeś ksywy. Stres był wtedy niewiarygodny. Gdziekolwiek nie pójdziesz, czegokolwiek nie zrobisz, musisz uważać, żeby nie palnąć lub nie zrobić czegoś głupiego. Niektórzy z tego strachu w ogóle nie wychodzili z domu. To jednak też nie była zbyt dobra strategia. Nawet siedząc w domu, można było dorobić się kretyńskiego przewiska. Na przykład „Pralka”. Że niby w tym domu tylko sprzątasz i pierzesz jak jakaś baba, zamiast iść z chłopakami na miasto.

Byli też i tacy, którzy nie wytrzymywali napięcia i specjalnie robili coś głupiego, żeby tylko mieć to już z głowy. Znałem gościa, który ogolił się na łyso, żeby mieć ksywę „Łysy”. Trochę się jednak przeliczył, bo ktoś, chyba Chuck Mańkut, na jego widok krzyknął: „Patrzcie! Tommy się pomylił! Założył sobie kapelusz na dupę!”. Jak myślicie, jaki przydomek nosił potem Tommy?

No dobrze, spytacie, ale co z tym Florydą? Zabawny był z niego gość. Miał zwyczaj zastawiać pułapki na policjantów. Dzwonił, na przykład, na komisariat i mówił, że na ulicy takiej i takiej jest napad na taki i taki sklep. Policja przyjeżdżała, a tu nie ma żadnego napadu. Co więcej, sklepu też nie ma. Żeby tego jeszcze było mało, nie ma też takiej ulicy!

Śmiałyśmy się z tego strasznie. My tak, ale Floryda nie. Zachowywał się, jakby w ogóle go to nie obchodziło. Dzwonić, dzwonił, ale zamiast czekać na te wszystkie radiowozy i zaśmiewać się w kulał z głupoty gliniarzy, szedł sobie, na przykład, do kina. Pytaliśmy go, po co wobec tego tak się wysiła? Takie rzeczy robi się zazwyczaj dla zgrywy. Nabić kogoś w butelkę i potem się z tego nie śmiać, to przecież głupie. Odpowiadał, że faktycznie głupie, i że musi wymyślić coś innego.

Ale nie wymyślał. Doszło do tego, że policjanci jeździli na patrole z rejestrem handlowym miasta Nowy Jork. Gdy dostawali zgłoszenie o napadzie, zamiast w te pędy gnać na miejsce, otwierali opasłe tomiszczce i poślinionym palcem wodzili po kolumnach, sprawdzając, czy obiekt, na który rzekomo napadnięto, w ogóle istnieje. Dopiero jakiś czas później ktoś się zorientował, że nie trzeba wszystkich radiowozów wyposażać w tę szacowną księgę.



Wystarczy, jeśli jedna będzie na każdym komisariacie. No, ale wówczas Floryda już wyjechał z miasta, więc nie było za bardzo co w nich sprawdzać.

Floryda, jak na słoneczny stan przystało, bardzo nie lubił zimy. Mówił: „Wkurza mnie ta cała zima, mogłoby jej nie być”. A zima w Nowym Jorku jest naprawdę ładna. Wszędzie leży śnieg, wiszą świąteczne dekoracje, te różne lampki i bombki. Zimą jest fajnie. Można rozwalić hydrant i zrobić sobie ślizgawkę. Albo rzucać śnieżkami w gliniarzy, a kiedy oni wyciągną spluwy, krzyknąć „Marry Christmas!”. Zabawa jest, jak się patrzy. Zimą Nowy Jork wygląda całkiem sympatycznie. Chociaż, z drugiej strony, nawet psie gówno przysypane śniegiem zyskuje na urodzie.

Mimo to, Floryda nie cierpiał zimy. Jakby się wtedy kurczył, szarzał, a przy tym robił się strasznie nerwowy. Mówił, że cierpi na białe szaleństwo. Lepiej było do niego wtedy nie podchodzić bez wyraźnej potrzeby.

Gdy pytaliśmy go, co ma do tej, było nie było, dość ładnej pory roku, odpowiadał, że zimą wszystko się ślizga. Jest jakieś takie niepewne. A jego to wkurza, bo ma wrażenie, że za chwilę wszystko zsunie się do oceanu. Domy, samochody, ludzie, cały Nowy Jork. I że to przypomina mu o kruchości i przypadkowości ludzkiego istnienia. Idziesz ulicą i nagle: fik! – leżysz jak długi. I że tak samo jest w życiu.

Faktycznie, zimą można wywalić się na pysk jak złoto, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Ale po co od razu mieszać do tego sens istnienia? Po prostu trzeba uważać.

Po co o tym opowiadam? W zasadzie nie wiem. Nie ma to wielkiego związku z dalszym ciągiem tej historii, bo Floryda akurat wywalił się latem. Chociaż nie, trochę jednak ma...

Było to tuż po wojnie. Chłopaki wracali z frontu, dumni jak pawie, że dokopali nazistom. Wszyscy w mundurach, niektórzy z błyszczącymi orderami, krótko mówiąc – pełna gala. Chodzili potem po Piątej Alei z kciukami wetkniętymi za wojskowe pasy, a bogate paniusie rzucały w ich stronę pożądlive spojrzenia, choć przed wojną żadna nie splunęłaby nawet na takiego obszcymura. To, oczywiście, dość szybko się skończyło, gdy okazało się, że jeden czy drugi bohater wojenny może ci zwinąć portfel, ale póki co, byliśmy najszacowniejszymi obywatelami miasta.

Zwykła gangsterska robota też się zmieniła. Jak przed wojną strzelaliśmy się bez ładu i składu, tak teraz w grę zaczęła wchodzić taktyka. Okrażaliśmy się, zachodziliśmy z flanki, stosowaliśmy uderzenia wyprzedzające, a potem wycofywaliśmy się na z góry upatrzone pozycje. Co gorsza, w szeregi tych małych armii wkradły się niesnaski wynikające z niedokładnego dopasowania wojskowych szarż do obowiązującej przed wojną hierarchii. Co z tego, że Jim, który jest tylko kapralem, był kiedyś szefem bandy, skoro Tom, który był na jego posyłki, ma teraz stopień sierżanta! Mówię wam, to było szalone lato. Więcej chłopaków wtedy zginęło, niż w całej tej cholerniej wojnie.

Z czasem wszystko wróciło do normy. Tylko Floryda był jakiś nieswój. Mówiliśmy mu: „Hej, Floryda, co jest? Jest przecież lato, ciesz się słońcem!”. A on na to: „Gówniane to słońce. Byliście kiedyś na Guam? Tam to dopiero praży!”.

Floryda w czasie wojny dostał, tak jak większość z nas, powołanie do wojska. Mieli go wysłać do Europy, ale on ubzdurał sobie, że w Europie jest zimno, i poprosił o przeniesienie na Pacyfik. W armii jakimś cudem to łyknęli i posłali go, żeby walczył z Żótkami na tych małych, koralowych wysepkach, co to ledwo wystają z wody.

Z kim byś potem o tym nie rozmawiał, każdy twierdził, że to było piekło. Ale dla Florydy to był raj. Nie przeszkadzało mu, że wokoło świstały kule, nie przeszkadzało mu, że wszędzie latały kawałki rozerwanych przez wybuchy Japońców, ważne było tylko to, że świeciło słońce. Słońce i słońce! Potem ciągle już tylko o tym słońcu gadał.

Jakos tam się rozregulował. Gdy wrócił, zwykła zimowa depresja zaczęła go brać nawet w środku lata. Fakt, że w Nowym Jorku ze słońcem jest pewien kłopot. Kiedy z lewej masz kilkudziesięciometrową ścianę i z prawej masz kilkudziesięciometrową ścianę, opalić się nie jest tak łatwo. Trzeba by chyba wejść na Empire State Building, ale przecież nie będziesz tam wlaził codziennie.

Tak więc Floryda wprost marniał w oczach. Kupił gdzieś wywrotkę piachu i rozsypał go na dachu kamienicy, ale to niewiele pomogło. W swoim mieszkaniu pozapalał tyle żarówek, że aż prąd siadł w całym kwartale. Kiedyś zastrzelił kelnera tylko dlatego, że wydawało mu się, iż tamten ma zamiar przynieść mu za chłodną zupę. Miarka przebrała się, gdy naprzeciwko jego okna zawisła wielka reklama mrożonej herbaty.

Floryda powiedział: dość. Spakował się i wyjechał. Przeniósł się na południe. Dokładnie – na Staten Island. Co prawda, to tylko kilkadziesiąt mil od centrum Manhattanu, ale zawsze coś. Floryda twierdzi, że jest tam zdecydowanie cieplej. Zawsze, gdy go spotykam, zaprasza mnie, żebym go odwiedził. Mówi: „Przyjedź, ogrzejesz na starość swoje sparszywiałe kości”. Może faktycznie kiedyś się do niego wybiorę?

Chociaż, z drugiej strony, niezbyt odpowiada mi południowy charakter. Ludzie są tam za bardzo nerwowi, zbyt łatwo sięgają po broń. No i sprawa tych niewolników. Niezbyt to było uprzejme. Murzyni jacy są, tacy są, ale żeby zaraz zakuwać ich w kajdany?

## TRZYNASTA ALEJA

To trzeba wyjaśnić od razu – na Manhattanie nie ma trzynastu alei. Jest dwanaście i choćbyś złąził tę wyspę wzdłuż i wszerz, więcej nie znajdziesz. Trzynasta Aleja to takie powiedzonko, rodzaj dowcipu. Mówiło się: „Spotkamy się na Trzynastej Alei”, a znaczyło to tyle, co „tere fere” albo „możesz mi naskoczyć”. Ktoś, chyba Martwy John, powiedział kiedyś, że po śmierci przeniesiemy się na Trzynastą Aleję. Pamiętam, jak przeszedł nas wtedy dreszcz. Od tego czasu utarło się, że na Trzynastej Alei mieszkają wszyscy nasi zabiści kumple. Dziś, można powiedzieć, jest tam cholernie tłoczno. Martwy John, który już od wielu lat jest naprawdę martwy, zajmuje tam pewnie najlepszy apartament.

Kiedyś... Nie wiem, czy wam w ogóle o tym opowiadać... Kiedyś wydało mi się, że znalazłem się diabelnie blisko tego adresu. Było to jesienią 1942 roku. Któregoś ranka podniosła się straszna mgła. Mgła w Nowym Jorku to nic nadzwyczajnego, to w końcu miasto portowe, dookoła jest pełno wody, ta jednak była jakaś dziwna. Gęsta, lepka i nachalna jak sprzedawca w sklepie z obuwem. Mleczny Bob, gdy ją zobaczył, powiedział, że ma wrażenie, jakby za chwilę mieli z niej wyjść goście z hakami zamiast rąk i pourzynać nam wszystkim głowy. Niewiele się, skurczysyn, pomylił.

Miałem wtedy coś do załatwienia po zachodniej stronie wyspy. Co to było, nie pamiętam, zresztą biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się później, jest to naprawdę bez znaczenia. Szedłem w tej mgle w kierunku rzeki, wokoło były już tylko jakieś magazyny, puste place, na których nikt jeszcze nie zdążył postawić drapaczy chmur, siedziby podejrzanych kościołów z napisami w rodzaju „Bóg pragnie abyś zarabiał” albo „Wieczorowe kursy zbawienia – 20% gratis”. Było mi coraz bardziej nieswojo. Naraz wydało mi się – znacznie pewnie to uczucie – że miasto wyludniło się, że w pobliżu nie ma żywej duszy, a ja jestem tu zupełnie sam. Nowy Jork, gdzie ludzie zazwyczaj łażą po sobie, wydał mi się nagle pusty, jak jakaś mieścina w Arkansas w niedzielne popołudnie. Budynki, które mijałem, sprawiały wrażenie opuszczonych, niepotrzebnych, pozbawionych środka jak wydmuszki, jakby ktoś je postawił dawno temu, a potem o nich zapomniał.

I wtedy nagle podszedł do mnie jakiś koleś. Byłem w takim nastroju, że choćby wyglądał grzecznie jak ministrant, i tak włosy zjeżyłyby mi się na głowie. A on, wierzcie mi, nie wyglądał na ministranta. Ubrany był w szary, ubrudzony ziemią płaszcz, i kapelusz tak mocno nasunięty na oczy, że wydawało się, jakby nie miał twarzy.

- Masz ognia? - spytał i było to powiedziane najsmutniejszym głosem, jaki w życiu słyszałem.

- Mam - odpowiedziałem i podałem mu pudełko zapalek.

- To dobrze - mruknął i wziął je ode mnie, ale tak, jakby starał się mnie nie dotknąć. Wyjął jedną zapalną i potarł nią o bok pudełka. Buchnął duży, jasny płomień. Wtedy jeszcze zapalniczki paliły się porządnie, nie to, co teraz. Zamiast jednak zapalić papierosa albo cygaro, stał tylko i wpatrywał się w ogień. Ogień, który, jak zauważyłem, wcale go nie oświecał.

- Nie zapali pan? - spytałem.

- Jakoś nie mam ochoty - powiedział.

- To po co panu zapalniczki? - głos drżał mi już lekko.

- Zmarzłem trochę.

„No nie - pomyślałem - facet zaraz przekręci sobie głowę do tyłu, a potem oderwie rękę i zacznie mnie nią okładać.”

- To ja zapalę - powiedziałem i szybko sięgnąłem po papierosy.

Zaciągnąłem się mocno, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. To trochę rozjaśniło mi w głowie. Wiedziałem, że coś muszę zrobić, bo inaczej nie wiadomo, co się stanie.

- Widział pan „Casablancę”? - spytałem nagle.

- Co?

- „Casablancę”. Taki film.

- Niby jak? - odburknął zdziwiony.

- Normalnie, w kinie.

- Bardzo dawno nie byłem w kinie - powiedział z naciskiem.

- To musi pan koniecznie pójść - trąkotałem dalej niezrażony. - Znakomita historia. Romans. Wzruszy się pan jak nigdy w życiu.

- To może być trudne - wycedził i w jego głosie zabrzmiało coś, jakby ironia.

Uczepiłem się tej ironii jak Makaroniarz spódnicy żony.

- Spokojnie. To bierze największych twardzieli. Nawet pan nie uwierzy, jakich bandziorów widziałem płaczących na tym filmie. Scena, w której Ingrid Bergman odlatuje samolotem, a Rick, czyli Bogart, zostaje na lotnisku, poruszy pana do żywego.

- Do żywego?

- Do żywego!

- To może rzeczywiście pójdę - powiedział powoli.

- Mogę panu załatwić tanie bilety. Jeden gość sprzedaje je po okazyjnej cenie.

- Nie trzeba. Ostatnio wchodzę wszędzie za darmo.

- Weteran? To nawet lepiej, będzie pan mógł obejrzeć kilka razy. Kino jest tu niedaleko, na rogu Jedenastej i Czterdziestej Drugiej. „Casablanca”, zapamięta pan?

Nie czekając na odpowiedź, odwróciłem się na pięcie i odszedłem, zostawiając gościa z wypaloną zapalniczką w palcach.

- Do żywego... - usłyszałem jeszcze za plecami.

Tego wieczoru w kinie przy Czterdziestej Drugiej Ulicy zaczęły się dziać niepokojące rzeczy. Na seansach najnowszego melodramatu „Casablanca” goście odczuli dziwny chłód. Zamontowanie dodatkowych elektrycznych grzejników na niewiele się zdało. W nocy ktoś uruchomił projektor. Stróż nocny, który poszedł zobaczyć, co się stało, do tej pory nie wrócił.

Epidemia ta wkrótce rozszerzyła się na pozostałe kina. Dziwni osobnicy, pachnący jakby stęchlizną, zaczęli pojawiać się wieczorem przy okienkach kasowych i grobowym głosem

pytać „Casablanca?” Na uprzejmą odpowiedź kasjerki, że to bardzo popularny film i że bilety już się skończyły, zawadzili straszliwie i znikali w mroku. Wszystko wskazuje jednak na to, że nie odchodziło daleko, bowiem w nocy zza zamkniętych drzwi sal kinowych dawał się słyszeć charakterystyczny głos Bogarta, a potem coś jakby szloch.

Władze miasta Nowy Jork, ponaglane rozpaczliwymi monitami Stowarzyszenia Właścicieli Kin i Lunaparków, podjęły stanowcze kroki. Zabroniono pod karą grzywny gaszenia światła na seansach, przy wejściach do kin rozsypano zakupioną ze środków miejskich sól, sprowadzono nawet czarownika z plemienia Crow, który za pomocą specjalnego tańca oraz dzikich śpiewów miał odpędzić złe moce. Wszystkie te działania, powiedzmy sobie szczerze, nie przyniosły rezultatu. Sytuacja unormowała się dopiero po mniej więcej dwóch tygodniach, gdy „Casablancę” na ekranach nowojorskich kin zastąpiła najnowsza, szalenie śmieszna komedia wytwórni MGM pod tytułem „Hitler na Dzikim Zachodzie”.

## COLT 1911

Ktoś, chyba Rick Skarpeta, przywiózł to cudo z wojny. Dawali go, co prawda, tylko oficerom i podoficerom, ale Rick miał od dziecka taki zwyczaj, że brał, co mu się nie należało. Te trzy kulki, które dostał w chińskiej ubojni drobiu, też podobno nie były przeznaczone dla niego.

Potem miał go Nick Dwa Rowy, ale i jemu jakoś nie przyniósł on szczęścia. Nick lubił wkładać go z tyłu za pasek od spodni. Mówił, że widział to na jakimś filmie, i że gość, który tak nosił tam spluwę, to był naprawdę niezły gość. Właśnie to zamilowanie do sztuki filmowej w pewnym sensie Nicka zgubiło. Kiedyś, gdy przeciskał się między dwoma wielkimi Szwedami, pilnującymi wejścia do lokalu Mamy Carter, colt tak nieszczęśliwie zaczął się o sprzączkę jednego z nich, że wypalił i zrobił mu w tyłku drugi rów. „Co, ogień w gaciach? – spytał jeden ze Szwedów. – Nie przejmuj się, panienki już czekają.”. Na te słowa wszyscy zaczęli rechotać i od tego czasu zawsze na widok Nicka rozlegał się cichszy bądź głośniejszy rechot. Nick długo tak nie wytrzymał i któregoś dnia przyłożył sobie swojego colta tym razem do drugiej strony przewodu pokarmowego.

W ten sposób pistolet trafił do gliniarza Pattersona, który wyjął go z dłoni martwego Nicka i, żeby zatuszować swoją kradzież, włożył na jego miejsce szpikulec do lodu. „Bardzo dziwny rodzaj samobójstwa” – orzekł koroner, ale raport oczywiście podpisał. W Nowym Jorku nie takie rzeczy kwalifikowano jako odebranie sobie życia. Pamiętam, jak stary Vittoni zadławił się pizzą. Koroner przyjechał i na wszelki wypadek uznał to za samobójstwo. Ile się bracia Vittoniego nadawali potem łapówek, żeby to odkręcić! Wiecie, katolicy nie mogą się sami zabijać, bo potem mają problemy w niebie. Jego rodzina bała się, że przez ten raport stary nie dostanie się do raju.

Patterson też jednak długo nie nacieszył się zdobyczą. Gdy oglądał swój hup w jednej z bocznych uliczek, niechcący strzelił sobie w stopę. Strzelenie sobie w stopę zazwyczaj nie jest śmiertelne, no chyba że stoi się na metalowym włązie do studzienki kanalizacyjnej. Patterson stał właśnie na czymś takim, w związku z czym jego głupi, policyjny czerep był po chwili jeszcze bardziej dziurawy niż przedtem.

My tu, w Nowym Jorku, jesteśmy przyzwyczajeni do odgłosów wystrzałów, nikt więc specjalnie nie zwrócił na to uwagi. Nikt, z wyjątkiem jednego wieśniaka z New Jersey, przebywającego właśnie na Manhattanie w jakiejś sprawie, która tylko jemu wydawała się ważna. Podleciał on do Pattersona jak pies, gdy usłyszy gwizdanie. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu zobaczył pistolet; tam u nich, na wsi, pewnie ciągle używa się tych śmiesznych strzelb z kurkami. Rzucił się więc na wojskowego colta jak pies, o którym już wyżej wspominałem, na kość. Łaził potem z tą bronią przez cały dzień po mieście, bo bał się, że gdy wsiądzie do pociągu, ktoś odkryje jego tajemnicę i wsadzą go do więzienia. Wieczorem,

gdy był już zmęczony, zmarznięty i głodny, skapitulował wreszcie i wyrzucił pistolet do kosza na śmieci. Potem załamany i przybity wrócił do New Jersey, gdzie rozpił się, zaczął bić żonę, a rok później wpadł pod samochód. Do końca swoich dni żałował biedaczek – jednego dnia, że podniósł colta, a drugiego, że go wyrzucił.

Pistolet znalazł stary Jack, włóczęga, który mieszkał w Parku Waszyngtona. Jack był ślepy jak kret i nawet nie zauważył, że znalazł gnata. Był pewien, że wymacał w kuble kran do wanny. Ucieszony włożył go do torby i poszedł dalej. Spytacie pewnie, po co bezdomnemu kran? Jack był człowiekiem, który wierzył w amerykański sen. Wierzył, że któregoś dnia zostanie milionerem. Wtedy kupi sobie apartament w Empire State Building i kran do wanny przyda się jak znalazł. Z tego samego powodu nosił w tobołku kołatkę do drzwi i szufelkę do kominka. Przez tę szufelkę zresztą zginął. Którejś nocy, gdy był pijany, postanowił wygarnąć nieistniejący popiół ze swojego nieistniejącego kominka. Pomylił się jednak i zamiast szufelki wyciągnął z tobołka pistolet. Colt wypalił i Jack przeniósł się w zaświaty. Można powiedzieć, że miał szczęście. Umarł przekonany, że jest milionerem. Pewnie tam, w niebie, ma teraz ten swój apartament, a w jego łazience do wanny wielkiej jak basen leje się woda z colta model 1911.

Na ziemi zaś colt trafił do rąk niejakiego Billa Smitha. Bill Smith naprawdę nazywał się zupełnie inaczej i przyjechał do Ameryki z jakiegoś kraju, o którym żaden rodowity nowojorczyk nie miał prawa nawet słyszeć. Trudnił się tu tym samym, co w swej ojczyźnie, czyli handlował bronią. O ile jednak tam sprzedawał zaostrzone, opalane nad ogniem kije, o tyle w Nowym Jorku przerzucił się na broń palną. Trochę czasu nam zajęło, żeby przekonać go, by nie opalał luf nad ogniskiem, ale gdy nam się to w końcu udało, Billy stał się całkiem kompetentnym handlarzem. Tak więc colt trafił do niego. Kto mu go przyniósł, nie wiadomo. Nie wiadomo również, jak zginął. Bo to, że zginął, jest niemal tak pewne jak to, że Makaroniarze nie myją uszu.

Bill zawsze sprawdzał każdą sztukę, która do niego trafiła, a kiedy trzeba, naprawiał. Robił tak z wrodzonej dzikim uczciwości. Gdyby należał do jakiegoś cywilizowanego narodu, wiedziałby, że jest to zupełnie niepotrzebne. Ten sprzęt charakteryzuje się tym, że w razie awarii nie ma komu składać reklamacji. Tak więc obejrzał pistolet, rozebrał go, a potem złożył z powrotem. Zamruczał coś w swoim niezrozumiałym języku i rozebrał ponownie. Okazało się, że colt był zepsuty. Pistolety te mają dwa rodzaje bezpieczników. Jeden normalny, taki jak inne gnaty; drugi zaś umieszczony w kolbie, który powoduje, że nie da się z niego wystrzelić, jeśli nie trzyma się go w odpowiedni sposób. I otóż ten właśnie bezpiecznik był zepsuty. To tłumaczyło kilka wcześniejszych wypadków. Bill uśmiechnął się, coś tam pogmerał, naoliwił wszystko i złożył do kupy. Ujął pistolet we właściwy sposób i zadowolony pociągnął za spust. Zapomniał, kretyn, że w lufie została jeszcze jedna kula. Strzał, który rozległ się w jego ciasnej klitce, nie narobił zbyt wielu szkód. Lekko uszkodzony został kredens, rozbiciu uległ też słoiczek z dziwnymi przyprawami. Bill Smith szybko ocenił zniszczenia i właśnie chciał wstać, żeby posprzątać, lecz zamiast tego, zdziwiony osunął się na podłogę. „Co się stało? – pomyślał. – Przecież nawet mnie nie drasnęło”. I to była ostatnia myśl w jego życiu.

Właśnie, co się stało? – spytacie pewnie. Nikt do tej pory tego nie wie. Podobno w słoiczku zamknięta była dzika dusza Billy'ego. Uwięził ją tam, za pomocą specjalnych obrzędów, pewien szaman, żeby nie przeszkadzała Billy'emu w integracji z naszym cywilizowanym

społeczeństwem. Gdy słońce zbił się, dusza uciekła, zobaczyła jak żyje i jak wygląda Billy, i szlag ją trafił ze złości. A bez duszy, jak mówią, nawet takiej zamkniętej w słońcu, nie da się przecież żyć. Ta historia to oczywiście wierutne bzdury, chociaż z drugiej strony, cholera wie.

Jedno jest pewne – od tego dnia, wojskowego colta wzór 1911 zaczęła otaczać zła sława. Na mieście mówiło się o „krwiożerczym colcie” albo o „mordercy kaliber 45”. Opowiadano, że pistolet ten należał do pewnego porucznika, którego oddział został otoczony przez Niemców i wybity do nogi. Porucznik, zanim strzelił sobie w łeb ostatnią kulą, podobno przeklął go, chociaż nikt nie potrafił wytłumaczyć, po co ani dlaczego.

W każdym razie, o colcie zrobiło się głośno. Zaczęto dyskutować, co też z nim zrobić? Pomysłów na unicestwienie feralnego gnata było co niemiara, wszystkie niestety rozбивały się o jedną przeszkodę – pytanie, kto też niby miałby się tym zająć? Nikomu nie spieszyło się do raj, tym bardziej, że większość z nas po śmierci i tak trafiłaby prawdopodobnie w zupełnie inne miejsce.

Problem ten rozwiązał się jednak dość szybko i to w nieoczekiwany sposób. W mieście, w którym jest tylu chojraków, zawsze znajdzie się taki, który chce być większym chojrakiem niż inni. Co zaś może cię uczynić największym chojrakiem w Nowym Jorku? Posiadanie takiego gnata!

Pierwszy pośluszył się na niego Joe Kanapka. Jego przydomek wziął się stąd, że na wszystkie skoki chodził z kanapkami zrobionymi przez mamusię. Joe chciał zerwać ze swoim wizerunkiem ciapy i maminsynka, zaś colt wydawał mu się idealnym do tego celu narzędziem. Przez trzy dni rozpowiadał wszem wobec, że idzie po przeklęty pistolet. Zdobył tym sobie pewną popularność zwłaszcza wśród mniejszych lub większych frajerów. Prawdziwi goście podchodzili jednak do jego przechwałek z dystansem, żeby nie powiedzieć: z lekceważeniem. Mówili: „Wiesz co, Joe? Poczęstuj go kanapką, może tym go obłaskawisz?”. Albo: „Hej, Kanapka! Lepiej kup sobie pistolet na wodę i napełnij go ketchupem. Ta broń przyda ci się znacznie bardziej.”

Wreszcie Martwy John powiedział: „sprawdzam”. Podeszedł do Kanapki i zagadnął:

- Hej, Joe, pokaż mi tego śmiercionośnego gnata!

- Jakiego gnata? – Joe zbladł.

- No tego, co to zabija każdego frajera, który go dotknie.

- Nie mam go jeszcze, John.

- Jak to: jeszcze go nie masz? Od tygodnia słyszę, że po niego idziesz i jeszcze tam nie doszedłeś? Może po prostu nie znasz drogi?

Po tych słowach wziął Joego za kołnierz i wyprowadził na ulicę.

- Pokażę ci, gdzie to jest, nic się nie martw.

Wszyscy oczywiście poszliśmy za nimi.

Przed domem Billy'ego Smitha Kanapka wyglądał już naprawdę bardzo źle. Zzieleniał i zaczął co jakiś czas z lekka przysiądać, jakby nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Jednak żelazne ręce Martwego Johna podnosiły go za każdym razem i pchały do przodu.

- Wiesz co, John, bardzo źle się dziś czuję – powiedział Joe, gdy byli już na miejscu. – Może bym przyszedł po tego gnata jutro, co? Przyjdę na pewno, obiecuję.

- Po co masz dwa razy chodzić? – odpowiedział Martwy John i popchnął go w kierunku wejścia.



Wtedy właśnie zrobiło mi się Joego trochę żal. Do tej pory śmiałem się z niego jak wszyscy, bo rzeczywiście pociesznie wyglądał, gdy Martwy John trzymał go za kark jak szczenię, teraz jednak trochę mi rura zmięкла.

- Zostaw go, John – powiedziałem – to tylko mały frajer, nie zasłużył na to.

Lecz Martwy John nawet się nie odwrócił. Ciągłe trzymając Joego za kołnierz, wprowadził go na schody. Po chwili zniknęli nam z oczu.

Śmiechy ucichły. Staliśmy tam na dole, czekając na to, co się stanie, i szczerze mówiąc, było nam trochę nieswojo. Wyglądało to, jakby Martwy John prowadził Joego na egzekucję, a oglądanie egzekucji zawsze ma w sobie coś dwuznacznego. Gdy kibicujesz katu, wszystko jest w porządku; lecz gdy przypadkiem, niechcący, postawisz się w roli ofiary, wtedy już nie jest tak przyjemnie.

Wreszcie Martwy John zszedł na dół.

- I co? – spytał Billy Skubaniec i zaśmiał się nerwowo.

- I nic. Wziął pistolet i tyle – odpowiedział Martwy John i poszedł w swoją stronę.

Popatrzyliśmy po sobie z niedowierzaniem. I tyle?

Nagle w tej ciszy rozległ się głos.

- Mam go. Patrzcie!

Kanapka stał przed nami, trzymając w rękę szarawego colta. Zaabsorbowani własnym zdumieniem, nie zauważyliśmy nawet, jak zszedł z góry.

Pierwszy ocknął się Mleczny Bob.

- Zostaw go, Joe! Połóż go ostrożnie na ziemi!

Kanapka był jednak jak w transie.

- Patrzcie, mam go! Mam tego waszego cholernego gnata! – krzyczał i wymachiwał rękami. – I co? I nic! Nic mi nie jest!

- Joe, uspokój się! Nie chcemy, żeby komuś coś się stało. Ten pistolet jest przeklęty, nie wiadomo, kiedy wypali. Połóż go lepiej na ziemi...

- Jaki przeklęty, co wy gadacie? Przecież nic mi nie jest! Nic mi nie jest, frajerzy!

Nie wiadomo, kto strzelił pierwszy. Takich rzeczy nigdy nie wiadomo. Potem dołączyli inni. Ciało Joego Kanapki, dziurawione niczym ser szwajcarski, jeszcze przez jakiś czas tańczyło na chodniku przed domem, w którym kiedyś mieszkał Bill Smith. Colt nie poddał się jednak tak łatwo. Zanim w martwej, znieruchomiącej wreszcie dłoni Joego zastygł na trotuarze, położył jeszcze trupem czterech chłopaków.

Martwy John również nie wyszedł z tej historii bez szwanku. Pamiętacie, jak opowiadałem wam o jego śmierci? To stało się właśnie wtedy. Idąc w dół ulicy, usłyszał za plecami strzały. Odwrócił się machinalnie, i przez to nie zauważył leżącej na chodniku kanapki z masłem. Poślizgnął się na niej i rozwalił sobie łeb.

A co się stało z przeklętym coltem? – spytacie pewnie. Nie wiem dokładnie. Podobno krążył jeszcze przez jakiś czas po świecie, siejąc śmierć i zniszczenie. Opowiadają, że Hitler kazał go zdobyć swoim agentom, bo wierzył, że dzięki niemu zapanuje nad światem. Mówią też, że w głowę strzelił sobie właśnie z niego.

## KING KURWA KONG

Dziś, gdy nazwiesz Czarnucha Czarnuchem, ten od razu leci poskarżyć się policji. Kiedyś tak nie było. Mogłeś dostać za to w zęby, mogłeś zarobić kosę, a w skrajnych przypadkach nawet kulkę, ale nikt się na ciebie nie obrażał. Byliśmy bardziej tolerancyjni, nie to, co teraz.

Był jednak pewien Czarnuch, którego nikt nigdy nie ośmielił się nazwać Czarnuchem. Nawet nie ze strachu, choć strach niewątpliwie odgrywał tu niebagatelną rolę. Chodziło raczej o szacunek, podziw i, nie bójmy się tego słowa, miłość. Oraz o to, że mało kto potrafił przywalić tak jak on. Tym Czarnuchem był Henry King, zwany Kongiem.

Henry miał ponad dwa metry wzrostu i pięchę tak wielką, że butelkę gorzały musiał odkręcać dwoma palcami. Odpiłował sobie też kabłak przy spuście, bo paluch nie mieścił mu się do otworu. Henry rzadko jednak sięgał po spluwę. Już sam jego widok budził w ludziach taką bojaźń i trwogę, że zapominali o swoich pukawkach i zamiast strzelać, stali tylko i wpatrywali się w niego z rozdziawionymi gębami.

King był jednak wyjątkowo łagodny. Zawsze zanim kogoś załatwił, mówił: „Bracie, wybac mi, ale źle zrobiłeś. A za zły uczynek należy się kara.” Ludzie go za to szanowali. Ich śmierć nabierała w ten sposób jakiegoś znaczenia. Wpisywała się w odwieczny, metafizyczny porządek.

King stał się bardzo przez to popularny. Jego usługi były poszukiwane. Jeśli chciałeś kogoś zakatrupić i nie obrażać przy tym jego rodziny, wynajmowałeś Kinga. Zdarzało się nawet, że goście, którzy wiedzieli, że jest na nich zlecenie, sami przychodzili do niego. Kładli na stole plik banknotów i mówili: „Proszę, zabij mnie. Wolę, żebyś ty to zrobił, niż jakiś patałach.”

Henry bardzo długo wtedy z nimi rozmawiał; pytał o rodzinę, o dzieci, o samopoczucie, pytał, jak oceniają swoje życie. I kiedy wreszcie zaczynali płakać z żalu nad wszystkimi swoimi niegodziwościami, King brał ich w swoje olbrzymie ramiona i mówił: „już dobrze, dobrze...”, utulał na śmierć.

Wszystko, niestety, zmienił jeden głupi film. Znacie go na pewno. Ten o wielkiej małpie, którą przywożą do Nowego Jorku, a ona ucieka i wdrapuje się na Empire State Building. Tak, tak, chodzi o „King Konga”.

Pamiętam to jak dziś, to był szal. Każdy chciał ten film zobaczyć. Krwawy Aaron nigdy nie sprzedał tylu podrobionych biletów, co wtedy.

Dla Henry'ego Kinga to był jednak koniec. Już pierwszego dnia po premierze ktoś rzucił za nim na ulicy: „Patrzcie, King, kurwa, Kong!”. No i się zaczęło. Dzieciaki rzucały w niego kamieniami, dorośli pokazywali palcami. Wszędzie, gdzie poszedł, towarzyszył mu śmiech i drwiny.

Na domiar złego, interesy przestały iść tak dobrze, jak kiedyś. O ile wcześniej miał umówione zlecenia nawet na rok do przodu, o tyle teraz jego czerwony kajecik zaczął świecić pustkami. Trudno się było temu dziwić – czy ktoś z was wynająłby do mokrej roboty małpę? Coś takiego mogłoby was skłócić z wrogami na resztę życia.

King przeżywał wtedy bardzo trudny okres. Szacunek i miłość, do których był przyzwyczajony, zmieniły się nagle w lekceważenie i śmiech. Nawet te zlecenia, które miał umówione i opłacone wcześniej, nie dochodziły do skutku. Ludzie wycofywali się z nich w ostatniej chwili, nie żądając nawet zwrotu pieniędzy. Tłumaczyli się wyjazdem albo chorobą w rodzinie, lecz King wiedział, że tak naprawdę chodziło o coś innego. Ze swoją dorobioną gębą wielkiej małpy stał się niewiarygodny. A w tym biznesie wiarygodność to podstawa.

Było mu naprawdę bardzo ciężko. Wiecie, jak to jest, gdy nagle wywalają was z roboty. Na początku myślicie, że to tylko chwilowe. Macie jakieś tam oszczędności, więc staracie się żyć normalnie, licząc, że sytuacja wkrótce się odmieni. Mija jednak miesiąc, potem drugi, trzeci, dziesiąty... i zaczynacie wpadać w depresję. Myślicie, że jesteście nic niewarci i takie tam głupoty. Zaczynacie szukać jakiegokolwiek pracy, nawet poniżej swoich kwalifikacji. Znałem kilku gości, którzy zostali przez to policjantami.

King aż tak nisko, na szczęście, nie upadł. Najpierw zatrudnił się w rzeźni. Robił tam w zasadzie to samo, co wcześniej, tylko klientelę miał inną. Lubił tę robotę. Krowy mu ufały, szły za nim jak barany na rzeź.

Nawet tu jednak dosięgały go drwiny. Grubi Makaroniarze, przyjeżdżający po wołowinę do swoich brudnych knajpek, na jego widok najpierw wybałuszali oczy, a potem mówili coś, szybko wymachując rękami i zaśmiewając się przy tym do łez. Głupi Polackowie, przychodzący po flaki, z których te tępaki gotują podobno zupę, zaglądali mu pod koszulę, sprawdzając, czy nie jest owłosiony. King długo tak nie wytrzymał. Któregoś dnia odwiesił swój gruby, skórzany fartuch, ostatnim ciosem tasaka odrąbał szefowi wszystkie palce i wyszedł.

Tak, chciał się zabić. Szedł przez Nowy Jork, wielki jak góra, i zastanawiał się, który z dawnych kolegów po fachu zgodziłby się załatwić go po starej znajomości. W grę wchodził w zasadzie tylko Martwy John, który nie odrzucał żadnego zlecenia, a ludzki śmiech obchodził go równie mało, co płacz, czyli wcale.

Nagle, gdy wzniosł oczy ku niebu, jakby w niemej skardze, dostrzegł błyszczącą w słońcu iglicę Empire State. Po chwili wiedział już, co zrobi. Pewnym krokiem ruszył w kierunku budynku. Wykupił bilet i wjechał na taras widokowy. Chciał rzucić się z niego, by zginąć jak swój przeklęty imiennik. Wtedy jednak wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Śliczna, jasnowłosa dziewczynka, która była tam z rodzicami, zamiast śmiać się z niego i ewentualnie rzucać kamieniami, z radosnym piskiem podbiegła, krzyżąc: „Mamo, patrz! King Kong!” i objęła go za udo. Henry podniósł ją odruchowo. „Tato, tato, zrób mi zdjęcie!” – krzyknęła dziewczynka i z ufnością przyłgnęła do policzka Kinga.

Wkrótce przy Henrym stała już kolejka. Oszołomiony brał na ręce kolejne dzieci, obejmował długonogie, przytulające się do niego ślicznotki i przyjmował wciskane w podziękowaniu ćwierćdolarówki. Jeszcze tego samego dnia dostał pracę. Teraz zdjęcie z nim kosztuje dolara, zaś Henry ubrany jest w specjalny strój, imitujący małpie futro. Niektórym z

was może się to wydać upokarzające, ale Henry nie narzeka. Znow jest lubiany, szanowany i popularny. A przecież o to przede wszystkim chodzi w życiu, prawda?

## „KONSTYTUCJA”

Tak mówiliśmy na pewną knajpę na rogu Trzeciej i Trzydziestej Drugiej. Naprawdę lokal ten nazywał się „U Teda”, ale kogo obchodził jakiś głupi Ted? Nazwa „Konstytucja” wzięła się stąd, że w knajpie tej było niewiele artykułów, ale za to wszystkie najwyższej jakości. No i zawsze mogłeś dostać tam szklaneczkę, nawet, gdy byłeś zalany w trupa, albo przylażłeś o piątej nad ranem, kiedy wszystko inne było już zamknięte. „Konstytucja” gwarantowała ci to prawo, co wypisane było wielkimi literami nad barem.

„Konstytucja” miała jeszcze jedną wspólną cechę z szacownym aktem, z którym dzieliła nazwę. Gwarantowała absolutną równość. Siedzieli w niej pospołu Makaroniarze i Żydzi, Irlandczycy i Polacy, Czarnuchy i Białasy, gliniarze i chłopaki z miasta. Nikt nie miał tu prawa na nikogo źle spojrzeć. „Konstytucja” to „Konstytucja”. Wszystkie waśnie zostawały na zewnątrz.

Zdarzało się, że gliniarz siedział tu przy jednym stole z kolesiem, którego od kilku miesięcy próbował zapuszkować. Stawiali sobie nawzajem kolejkę, gadali o tym i owym, a następnego dnia znowu zaczynali się bawić w policjantów i złodziei. Gliniarze wiedzieli, że gdyby capnęli kogoś w „Konstytucji”, byliby na mieście skończeni. Już nikt nigdy nie dałby im najmarniejszej nawet łapówki, żaden, nawet najbardziej parszywy kapuś nie odezwałby się do nich słowem.

Bywało tu i tak, że goście z konkurencyjnych gangów, którzy na co dzień nienawidzili się jak psy, siadali przy sąsiednich stolikach i nawet jedno „ty parszywy złamasie” nie przeleciało nad oddzielającą ich podłogą. Co więcej, przypijali do siebie, choć jeszcze wczoraj ci załatwili tamtym kumpla, a przedwczoraj tamci tym.

Mówię wam, to miejsce miało coś w sobie. I nie chodzi mi o te galony gorzały zalegające w jego piwnicach.

Kiedyś jednak podłoga „Konstytucji” spłynęła krwią. Opowiem wam, jak do tego doszło.

Wszystko zaczęło się na pozór niewinnie. Była środa wieczór. Dla Franka Panienki, który miał mocno nienormowany czas pracy, rozpoczynał się właśnie weekend. Jego przydomek wziął się stąd, że Frank ciągle za wszystko się obrażał. A to, że nalali mu za mało, a to, że za dużo. A to, że stek był za krwisty, a to, że za bardzo wysmażony. Podobno po porodzie nie odzywał się do matki przez dwadzieścia miesięcy, obrażony, że wydała go na świat tak nieobyczajną drogą.

Tak więc Frank, który już miał minę, jakby był lekko obrażony, wszedł do „Konstytucji” i podszedł do baru. Zamówił whiskey, obraził się na barmana, że podał mu ją w nie takiej szklance, odwrócił się i rozejrzał po sali. Tego dnia było wyjątkowo pusto. W kącie dwóch Norwegów upijało się milcząco w sztok, w głębi kilku Makaroniarzy urządziło sobie konkurs,

kto bardziej macha rękami przy mówieniu, na środku paru Żydów targowało się zawzięcie o niedopitą butelkę piwa. Między nimi wszystkimi latał jakiś Polak, próbując siłować się z każdym na rękę.

Był tam jednak jeszcze ktoś. Pełne wyrzutu spojrzenie Franka natrafiło na niego od razu. Tym kimś był Chris Spluwaczka.

- Cześć, Chris! - powiedział Frank i podszedł do jego stolika. - Jak tam interesy?

Chris splunął na jego widok.

- Odkąd przestrzelełeś mi prawą rękę, dosyć kiepsko - odpowiedział. - Cholernie trudno obrabia się kieszenie lewą.

- Wybacz, Chris. Wiesz, że nie zrobiłem tego specjalnie.

- Wiem. Celowałeś w głowę, tylko nie trafiłeś.

- Można się przysiąść? - spytał na to Frank.

- Można. W końcu jesteśmy w „Konstytucji”.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. Wreszcie Chris uniósł szklaneczkę lewą ręką i powiedział:

- Twoje zdrowie, Frank!

- Jak moje, to i twoje, Chris.

Wypili i odstawili szklaneczki z przesadnym stuknięciem.

- Jeszcze raz to samo! - rzucił w kierunku baru Chris.

- Ale następną kolejkę ja stawiam! - powiedział Frank.

- Jak chcesz. Nie obrażę się.

Frank na to lekko drgnął, ale nic nie odpowiedział. W końcu byli w „Konstytucji”.

- A jak tam twoje miłosne sprawy, Chris? - spytał jednak po chwili. - Wiem, że prawa ręka odgrywa w tym ważną rolę. Podobno mówisz na nią Lucy.

Chris poczerwieniał, splunął i poczerwieniał jeszcze bardziej.

- A ja słyszałem, że ty swoją nazywasz Michael - odparował.

Frank lekko uniósł się na krześle, lecz po chwili usiadł z powrotem.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że wtedy nie trafiłem - wycedził.

- To pewnie przez te zakwasy w palcach - powiedział, patrząc mu w oczy, Chris.

Ręka Franka drgnęła nerwowo i nieznacznie przesunęła się w kierunku gnata, którego Panienka trzymał za pasem. Spluwaczka uśmiechnął się na to kpiąco i rzucił:

- Chcesz podrapać się po przyrodzeniu, Frank? Mam tu niezłą szczotkę, mogę cię wyreczyć - mówiąc to, odsłonił połą marynarki, ukazując swoją czterdziestkę czwórkę.

- Dziękuję, Chris - odparł Panienka. - Nie chciałbym, żebyś zrobił sobie przy tej okazji krzywdę. Wiem, jak kiepsko strzelasz prawą, a co dopiero lewą ręką...

Chris strzyknął śliną na podłogę i wstał.

- Masz rację, Frank, mógłbym nie trafić. Tym bardziej, że cel nie jest zbyt duży.

Frank podniósł się powoli.

- Nie sądz innych po sobie, Chris.

Gwar w knajpie zamilkł. Wszystkie oczy zwróciły się teraz na nich.

- Dajcie spokój, chłopaki - odezwał się barman. - Jesteśmy przecież w „Konstytucji”...

- A wiecie, że my uchwaliliśmy konstytucję tuż po was? Jako drudzy na świecie. Naprawdę! - powiedział pijany Polak i beknął.

- No i co, kurna, z tego? - wycedził Chris, bardziej jednak do Franka, niż do kogokolwiek innego.

Panienka poczuł się tym wyjątkowo urażony.

- Jak to, co, kurna, z tego? - syknął i sięgnął po gnata.

Dalej już było normalnie. Frank zastrzelił Chrisa, Chris, ponieważ strzelał lewą ręką, nie trafił i zabił Polaka. Barman, krzyżąc „nareszcie!”, wyciągnął obrzyna i kropnął Franka. Na ten sygnał Makaroniarze zaczęli pruć do Żydów, a Żydzi do Makaroniarzy. Nawet dwóch milczących Norwegów ożywiło się i wyciągnęło swoje pukawki. Mówię wam, zabawa była na całego.

Pamiętam ten wieczór, miasto jak gdyby odżyło. Czuło się niemal, jak Nowy Jork oddycha wreszcie pełną piersią. Wieść szybko się rozeszła i na całym Manhattanie zaczęły wybuchać radosne, spontaniczne strzelaniny.

Knajpy „U Teda” już nikt nigdy więcej nie nazwał „Konstytucją”. Przestaliśmy też do niej przychodzić, bo szczerze powiedziawszy, dosyć obskurna to była buda. Ted próbował coś tam jeszcze kombinować, wymyślił, na przykład, że w jego lokalu nie można przeklinać, sam jednak pierwszy złamał ten zakaz, gdy zobaczył, jak spadły przez to dochody.

Teraz jest tam zakład produkujący czapki i kapelusze. Tradycja tego miejsca została w jakimś sensie zachowana, bo, należy przyznać, że dość rzadko się tam strzela. Ostatni raz rabanu narobił tu Harry Indianiec, gdy po pijaku wydawało mu się, że drewniane głowy na wystawie czegoś od niego chcą. On jednak stał na ulicy, do środka wpadały tylko kule, trudno więc powiedzieć, czy złamał dawny zakaz, czy nie?

Na szczęście, nikogo to już nie obchodzi. Dziś w Nowym Jorku obowiązuje tylko jedna zasada: jak chcesz do kogoś strzelić - to strzelasz, jak nie chcesz - to nie. Jesteśmy w końcu dorosłymi, odpowiedzialnymi ludźmi i sami możemy decydować, gdzie i kiedy kogoś kropnąć.

Przepisy, można powiedzieć, uległy uproszczeniu. Żyje się łatwiej, bo nie ma niepotrzebnych nieporozumień. Pamiętam, jak kiedyś Martwy John załatwił kogoś w drzwiach do „Konstytucji”. Ile potem było kłótni, czy obowiązywał tam już zakaz, czy jeszcze nie? Martwy John musiał zastrzelić chyba z pięciu gości, zanim przekonał wszystkich do swoich racji. A dziś? Po prostu wyciągasz spłuwę i walisz. I nikt nie może ci powiedzieć złego słowa.

Cholerna „Konstytucja”! Straciliśmy przez nią tyle dobrych okazji...

## BARRY IDIOTA

Barry był idiotą i tak też go nazywaliśmy. Nie obrażał się, bo był idiotą. Wołaliśmy: „Hej, Barry, chodź tu!”. A kiedy podchodził, mówiliśmy: „Ale z ciebie idiota, Barry!”. A on nic. Wzruszał tylko ramionami i odchodził. Pytaliśmy go: „Barry, przecież całkiem spory z ciebie chłop. Nie jakieś chucherko. Mógłbyś spokojnie przywalić któremuś z nas, nie obrazilibyśmy się. Czemu tego nie robisz?”. A Barry na to: „Wiem, że bym mógł, i to mi wystarcza. Nie muszę korzystać z możliwości, wystarczy mi świadomość, że jest w każdej chwili dostępna.. No powiedzcie sami, czy słyszeliście kiedykolwiek coś bardziej idiotycznego?”

Barry był wyznawcą teorii nieprzeciwstawiania się przemocy. Podobno wyczytał w jakiejś książce, że był taki gość w Indiach, który ją stosował, i świetnie na tym wyszedł. W Indiach może i tak. Oni tam nawet krowę boją się kopnąć. Ale w Nowym Jorku? W Nowym Jorku ta teoria była wyjątkowo niedopasowana do lokalnej rzeczywistości.

Pamiętam, jak kiedyś Barry szedł ulicą. Miał na głowie taką głupią czapkę z daszkiem. Zauważył go Chuck Mańkut i, jak to Chuck, postanowił się zabawić. Podszedł do Barry’ego z tyłu i zwałił mu tę czapkę na ziemię. Barry odwrócił się, powiedział: „Cześć, Chuck! Miło cię widzieć..”. Potem podniósł czapkę, założył ją i poszedł dalej. No to Chuck, jak to Chuck, znowu do Barry’ego i znowu mu tę czapkę: buch! – na ziemię. I patrzy, co się stanie. A Barry podnosi czapkę, zakłada i, jak gdyby nigdy nic, idzie dalej. Chucka zaczęło to już trochę irytować. Nie po to zwala się kolesiowi czapkę, żeby ten szedł sobie spokojnie dalej. Zwala mu się ją w ściśle określonym celu, którym jest pyskówka, mordobicie i, ewentualnie, małe strzelanko. A Barry, ten idiota, zamiast wpisać się w ogólnie obowiązujący, akceptowany przez wszystkich schemat zachowań, bezczelnie nie reaguje. To jakby napluł Chuckowi w twarz.

No to Chuck podchodzi jeszcze raz, bierze solidny zamach i jeszcze raz zwala Barry’emu czapkę, ale tym razem tak, żeby walnąć go przy okazji w głowę. Nie wiem jak wy, ale ja już w tym momencie okładałbym Chucka pięściami po tej jego wiecznie zadowolonej gębie. A Barry co? A Barry nic. Masuje się tylko po potylicy, zakłada czapkę i idzie. Tym razem Chuck wkurzył się nie na żarty. Pomyślał chwilę, podbiegł do Barry’ego i z całej siły kopnął go w siedzenie.

Tym razem Barry odwrócił się. Chuck, już zadowolony, szykował się do bitki, lecz srodze się zawiódł. Zamiast tego usłyszał: „Popatrz, Chuck, robisz wszystko, żeby mnie wyprowadzić z równowagi, a tymczasem to ty jesteś bardziej zdenerwowany, niż ja. Zastanów się nad tym..”. Po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Tak, taki właśnie był Barry. Potrafił czasami powiedzieć coś takiego, że człowiek zapominał wprost języka w gębie. Jak to idiota.



Barry był do tego stopnia idiotą, że kiedyś, gdy znalazł na ulicy porzucony worek z forszą, który ktoś zgubił, uciekając po napadzie, odniósł go na policję. Na komisariacie tak byli tym zdziwieni, że na wszelki wypadek zamknęli go na parę dni w areszcie. Podejrzewali jakiś spisek albo prowokację. Podobno sam komisarz przesłuchiwał Barry'ego przez sześć godzin, próbując dowiedzieć się, kto go nasłał i o co w tym wszystkim chodzi. Chodziło zaś o to, że Barry był uczciwy. Tak, tak, nie przesłyszeliście się, uczciwy. „Uczciwość” to słowo, które jest w Nowym Jorku równie rzadko używane, jak, na przykład, „igloo” czy „bumerang”. Po prostu zjawiska, których dotyczą, tu nie występują. Większość ludzi, którzy przyjeżdżają do nas ze swoich małych, zawszonych, europejskich kraików nie uczy się nawet, jak to jest po angielsku. Nic dziwnego, że gliniarze trochę się na Barry'ego wkurzyli. To przecież ludzie jak my i też lubią, kiedy wszystko jest normalne, przewidywalne i takie samo jak zawsze. A tu nagle Barry, ten idiota, wyskakuje ze swoją uczciwością. Na coś takiego nie ma nawet odpowiednich procedur.

Mówię wam, Barry zalał za skórę wielu gościom. Ratowało go tylko to, że był idiotą. Normalny człowiek już dawno gryzłby glebę. Z drugiej strony, normalny człowiek by się przecież tak nie zachowywał.

Kiedyś jednak Barry przeholował. Nawet Martwy John, który miał do niego słabość, nie potrafił go obronić. Chcecie wiedzieć, co zrobił? Powiedział prawdę żonie. Spytała go, jak wygląda, a on jej na to, że może być. Rozumiecie? Może być! Cholerny idiota. Jego zasada nieprzeciwstawiania się przemocy wystawiona została wówczas na naprawdę ciężką próbę.

## BABCIA

Babcia był bossem najpotężniejszej organizacji przestępczej w Nowym Jorku. Nie wiadomo do końca, jakiej był narodowości. Niektórzy mówili, że był Włochem, inni, że Irlandczykiem, jeszcze inni (tych chyba pogięło), że Polakiem. Trudno to było wyczuć, bo Babcia mówił tak źle po angielsku, że niełatwo było nawet określić, jaki ma akcent. Pewien kaznodzieja z Minneapolis, gdy go usłyszał, był przekonany, że na Babcię zstąpił Duch Święty, i że zaczął on mówić wszystkimi językami świata.

Jego ksywa wzięła się stąd, że Babcia bardzo lubił herbatę. Pił ją zawsze i wszędzie. Gdy chłopaki zamawiali burbona lub piwo, Babcia prosił o herbatę. Nawet na napady chodził z termosem.

To jednak jeszcze nic. Gdyby chodziło tylko o to, Babcia miałby ksywę „herbaciarz”. Rzecz w tym, że do tego jednego dziwactwa Babcia dokładał całą masę innych. Chodził przewiązany szalikiem w pasie, bo bał się, że go zawieje. Nawet, gdy zamówił piwo lub gorzałę, kazał sobie do nich dolewać wrzątek, żeby nie przeziębic gardła. Poza tym, zasypiał, gdy tylko zrobiło mu się ciepło. Czasami dziwiliśmy się, jak tyle głupot może się zmieścić w jednym człowieku?

Spytacie pewnie, jakim cudem ktoś, kto dolewa wrzątek do whiskey, został szefem mafii? Odpowiedź jest prosta – był to jedyny sposób, żeby się od wszystkich odchrzańić.

Babcia uważał, że wszystko wie najlepiej i nie tolerował innych punktów widzenia niż własny. Jakakolwiek próba dyskusji z nim kończyła się zawsze kłótnią i wyzwiskami, albo, co znacznie gorsze, bardzo długą rozmową na stronie, podczas której Babcia, mówiąc cicho i z bliskiej odległości, zamęczał przeciwnika swoimi teoriami. Kogoś takiego można albo zastrzelić, albo, dla świętego spokoju, we wszystkim się z nim zgadzać. Jakoś tak się stało, że w naszych kontaktach z Babcią przeważała ta druga opcja. Cała reszta była konsekwencją tej jednej, nieprzemyślanej, podjętej pochopnie decyzji.

Karierę Babci odmierzały więc kolejne, wypowiedziane zmęczonym, zirytowanym głosem słowa: „Tak, tak, już dobrze, dobrze! Masz rację!”. Zamęczając na śmierć kolejnych, coraz ważniejszych ludzi, Babcia powoli, ale systematycznie piął się w hierarchii. Ani się obejrzelśmy, jak zebranie wszystkich nowojorskich rodzin dla świętego spokoju zrobiło go bossem wszystkich bossów.

Trzeba przyznać, że okres jego przywództwa był jednym z najlepszych w historii Nowego Jorku. Działo się tak dlatego, że większość najważniejszych decyzji rada podejmowała, gdy Babcia spał. Odbywało się to zawsze tak samo. Najpierw rozmawiano o jakichś głupotach, potem ktoś przynosił Babci herbatę, a kiedy ten, uśpiony ciepłem i monotonią głosów, zaczynał chrapać, szybko załatwiano najważniejsze sprawy. Ten system bardzo dobrze się

sprawdzał, bo wymuszał zgodę. Jakakolwiek kłótnia obudziłaby Babcię, a tego przecież nikt by nie chciał.

Odpowiadało to bardzo wielu ludziom. Z Babci wszyscy po cichu się śmiali, nikt więc specjalnie nie zazdrościł mu pozycji. O ile wcześniej trwały wieczne wojny o to, kto będzie szefem, o tyle teraz, gdy został nim Babcia, nikt nie palił się, żeby mu to przywództwo odebrać. Jak by to zresztą wyglądało? Nikt nie chciał przejść do historii jako ten, który „obalił Babcię”.

Trwało to wiele lat. Mało brakowało, a Babcia zostałaby pierwszym nowojorskim bossem, który umarł ze starości. Na całe szczęście, do takiej hańby jednak nie doszło.

Wersja oficjalna głosiła, że Babcię załatwił strasznie groźny gang z Alabamy. Podobno chcieli przejąć nielegalny, nowojorski handel śmieciami, zaś załatwienie naszego bossa wydało im się świetnym punktem wyjścia do dalszych negocjacji. Nie wiem, może to prawda, ale z drugiej strony – chyba jednak nie. Znałem kiedyś jednego gościa z Alabamy i on twierdził, że nigdy nie mieli tam żadnego gangu. Spytał mnie nawet, co to takiego? Kiedy mu wyjaśniłem, że chodzi o grupę uzbrojonych ludzi, siłą wymuszających haracze i mających monopol na najbardziej dochodowe interesy, pokiwał głową i powiedział: „A, masz na myśli rząd!”. Nie muszę dodawać, że w Alabamie mieszkają straszne wieśniaki.

Po cichu szeptało jednak, że sprawy miały się zupełnie inaczej. Podobno Babcia na którymś zebraniu zasnął i spadł z krzesła. Oblał się przy tym gorącą herbatą, obudził, wrzasnął, ale kiedy zrywał się na równe nogi, szalik, którym był przewiązany w pasie, zaczepił o nogę krzesła. Babcia znów się wywalił, tym razem jednak tak nieszczęśliwie, że upadł na nóż Grubego Mario, którym ten właśnie obierał jabłko. Dziwne może się wydać tylko to, że nóż miał sześć cali długości, i że widziano, jak Gruby Mario bardzo starannie ostrzył go tuż przed zebraniem. Gruby Mario jednak twierdził, że był to przypadek. Po prostu swój zwykły, mały szczyryk zostawił w ciele jakiegoś frajera, i dlatego musiał pożyczyć kosę od Martwego Johna. A ostrzył ją dlatego, że lubi jabłka bardzo cienko obrane, gdyż podobno tuż pod skórką znajduje się najwięcej witamin.

Jak było naprawdę, nie wiadomo. Pewne jest tylko to, że wkrótce potem Gruby Mario został bossem wszystkich bossów, i że nikt nigdy nie widział ani wcześniej, ani później, żeby jadł jabłko. To jednak jeszcze o niczym nie świadczy. Adam w raję też skusił się na nie tylko raz. Choć z drugiej strony – on nie został potem szefem...

## PRZYGODY DOBERMANA FREDA

Nowy Jork to miasto, gdzie mieszka więcej psów, niż w niejednym małym, zauszonym, europejskim kraiku ludzi. Trzeba też powiedzieć, że przynajmniej część z tych psów żyje na znacznie wyższym poziomie. Trzy posiłki dziennie, regularne spacery, miękkie poście przy kominku, własny fryzjer i żadnych obowiązków – tak właśnie chciałbym żyć, gdybym wygrał pieniądze na jakiejś loterii. Nic więc dziwnego, że sława naszego miasta, jako raj dla psów, sięgnęła daleko poza ocean.

Jak dowiedział się o nim Fred, nie wiadomo. Może podsłuchał rozmowę jakichś ludzi? Psy rozumieją znacznie więcej, niż nam się wydaje. To, że liżą się po tyłkach i załatwiają w miejscach publicznych, nie znaczy wcale, że są głupie. To zupełnie inna kultura, nie powinniśmy się z niej wyśmiewać tylko dlatego, że my postępujemy inaczej.

Jakoś tam się, w każdym razie, dowiedział. A że był psem, który lubił brać los we własne łapy, postanowił za wszelką cenę do tego rajy się dostać.

Nie było to jednak łatwe zadanie. Na transatlantyki psów się raczej nie wpuszcza. Trzeba mieć bilet i umieć go podać przednią łapą. Dla większości psów, które znałem, ten wymóg byłby przeszkodą nie po pokonania. Dla większości tak, ale nie dla Freda. Fred to był ktoś. Miałem kilku kumpli mniej cwanych od niego.

Fred wiedział coś, czego nie wie spora część ludzi. Najłatwiejszym sposobem na pokonanie przeszkody jest jej obejście. Zamiast walić głową w mur albo próbować na niego wleźć, ryzykując upadek i stłuczenie siedzenia, trzeba poszukać miejsca, gdzie się kończy. Mur, który chciał pokonać Fred, kończył się w czasie wchodzenia na pokład pasażerów pierwszej klasy.

Fred przez cały dzień czekał na nabrzeżu na odpowiedni moment. Gdy nadszedł, działał szybko i bez zastanowienia. Grupa dam i dżentelmenów płynęła do Nowego Jorku w jakimś zupełnie nieistotnym celu. Prawdopodobnie tu, w Europie, skończyły im się już czynności bez znaczenia i postanowili poszukać nowych w Nowym Świecie. Fred dołączył do nich, gdy zaczęli wchodzić na trap.

Wesołe śmiechy, głosy pełne podekscytowania, błyskotliwe puenty i celne bon-moty – grupa, do której dołączył, tak była sobą zaaferowana i tak bardzo przyciągała uwagę innych, że nawet, gdyby tuż obok wciągano na pokład klatkę z King Kongiem, i tak nikt by na to nie zwrócił uwagi. A Fred nie był King Kongiem. Był czarnym psem średniej wielkości, idącym spokojnie przy nodze jakiegoś dżentelmena i sprawiającym wrażenie, jakby chodził przy tej nodze przez całe swoje dotychczasowe życie.

Tu muszę wam się do czegoś przyznać. Nazwałem Freda dobermanem, lecz nie jest to do końca ścisła informacja. Wiem, że chciałby, żeby tak o nim mówił, ale to nieprawda. Fred

był kundlem, zwykłym kundlem, choć, trzeba to przyznać, z dość dobrym wyglądem. Był czarny, smukły, miał długi pysk i spiczaste, odrobinę za duże w stosunku do głowy uszy. Rzeczywiście przypominał trochę dobermana, choć był od niego sporo mniejszy. A, no i nie miał ogona. Gdybyście jednak teraz oczekiwali dramatycznej opowieści o tym, jak go stracił, to nic z tego. Taki się po prostu urodził. Widocznie był ostatni w miocie i na jego ogon zabrakło już materiału. Ten brak nadrabiał jednak bezczelnością i ambicją.

Tak więc Fred, jedyny przedstawiciel nowej, bardzo ekskluzywnej rasy, tak ekskluzywnej, że na całym świecie nie było drugiego jej przedstawiciela, wkroczył dumnie na pokład transatlantyka „Emporia”. Chwilę jeszcze trzymał się nogi swojego przyszywanego pana, lecz gdy tylko uznał, że odeszli wystarczająco daleko od groźnego marynarza sprawdzającego bilety, natychmiast dał nogę, co było sprawdzonym i niezawodnym sposobem radzenia sobie w różnych dwuznacznych sytuacjach. To jednak wcale nie był jeszcze koniec. Pies na pokładzie statku jest równie widoczny, jak albinos w Harlemie i może mieć równie poważne kłopoty. Fred skorzystał więc z pierwszej nadarzającej się sposobności, by zaszyć się w schowku z linami i tam przeczekać do nocy.

Gdy wyszedł, transatlantyk był już daleko na morzu. Fred nigdy nie widział tak wielkiej kałuży i pewnie nieźle by się wystraszył, lecz, całe szczęście, niczego nie zobaczył, bo ciemno było, choć oko wykol. Ostatni raz jadł rano w porcie, gdy rybacy wyrzucali do morza odcięte rybie łby. Wiedziony głodem i ciekawością pospołu, wyruszył więc na obchód statku.

Górny pokład z psiego punktu widzenia nie był zbyt ciekawym miejscem. Pachniał wodą, solą i mokrym drewnem. Ani śladu czegoś, co warto by było wachać. Za to z dołu, spod pokładu, dochodziły do nozdrzy Freda zapachy tak różne i tak ciekawe, że wprost nie mógł, naprawdę nie mógł odmówić sobie powąchania ich z bliska.

Noc była spokojna, zejście na dół pozostawało więc otwarte. Fred chwilę wahał się – nigdy dotąd nie schodził po tak stromych schodach – w końcu jednak dał susa w mrok.

Upadł miękko na przednie łapy. Małe lampki oświetlały długi, pusty korytarz. Pasażerowie pierwszej klasy spali, zza drzwi niektórych kajut dobiegało spokojne, regularne chrapanie. Fred ruszył przed siebie z nosem tuż przy podłodze. Tu nie, tu nie, i tu też nic ciekawego. Złoto, brylanty i kolie nie pachną niczym interesującym z psiego punktu widzenia.

Znalazł kolejne schody i ostrożnie, łapa po łapie, zszedł niżej. Tu też były kajuty, lecz zapachy, które z nich dochodziły, były już zgoła inne. Zamiast perfum, czuć było lawendę i szare mydło, pojawiały się też pierwsze nuty niemytych ciał.

To jednak ciągle nie było to. Przemykając jak cień, cichym, bezszelestnym truchtem dotarł do kolejnych schodów. Staął u ich szczytu i głęboko wciągnął nosem powietrze. Kiełbasa, cebula i pot. Tak, tego właśnie szukał.

Dolny, najniższy pokład pasażerski był urządzony zupełnie inaczej, niż pozostałe dwa. Kajuty były duże, wieloosobowe, pozbawione drzwi, w każdej stało kilkanaście piętrowych łóżek. Mieszkały w nich całe rodziny z dziećmi i babciami w chustach, które siedziały na workach z dobytkiem, zerkając nieufnie, czujne jak kury na jajkach.

Spod brudnych, niepranych od wielu rejsów koców wystawały czupryny we wszystkich kolorach zjednoczonej tym wspólnym rejssem Europy. Czarne włosy Włochów i Greków,

jasne, prawie białe Skandynawów, rude kędziory Irlandczyków i płowe, słomiane grzywy Polaków. Czuć było zapach przetrawionego alkoholu i machorki.

Myszując między tobołami w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, Fred zwiadał kolejne komnaty tej pływającej wieży Babel. Biedni ludzie pilnują jednak swoich zapasów. Kiełbasy, chleby i sery, schowane w przepastnych, zawiązanych sznurem worach, pozostawały poza jego zasięgiem. Mimo dochodzących zewsząd zapachów, był ciągle głodny. Głodny jak, nie przymierzając, pies.

Nagle jego wilgotny nos coś wyczuł. Wiedziony tym zapachem, niczym Włoch perspektywą szwindla, ruszył przed siebie. W następnej kajucie nie wszyscy spali. Przy świetle małej, karbidowej lampki dwóch mężczyzn grało w karty. Ich wygląd sugerował, że lepiej do nich nie podchodzić. Obok leżało jednak coś, co szeptało do Freda coś zupełnie innego. Tym czymś była niedojedzona kromka chleba ze słoniną.

Fred oblizał się. Ślina napływała mu do pyska w takim tempie, że gdyby jej nie przełykał, mógłby się w niej utopić, jak w otaczającym ich oceanie. Długa, lepka strużka oderwała mu się od pyska i upadła na pokład. Fred położył się i stulił uszy. Z wyjątkiem małego kręgu światła, jaki dawała lampka, reszta dużej kajuty była pogrążona w mroku. Krótki bilans szans i zagrożeń, wykonany w psiej głowie z powodu świdrującego nozdrza zapachu słoniny, daleki był od obiektywizmu.

W zasadzie to nie Fred podjął decyzję. To jego nos ruszył do przodu, pociągając za sobą resztę. Za nosem poszedł pysk, uszy, szyja, przednie łapy i po chwili już cały Fred skradał się w kierunku jedzenia.

Mężczyźni wyglądali na całkowicie pochłoniętych grą. Rzucali karty na drewnianą skrzynkę pełniącą funkcję stolika z taką siłą i zawziętością, z jaką kowale wałą młotami w kawałek rozgrzanego żelaza.

Powoli, prawie czołgając się, Fred zbliżył się do celu. Był czarny, to zwiększało jego szanse. Jeszcze trochę, jeszcze tylko troszeczkę... i już chwyci w zęby swoją zdobycz, a potem zniknie z nią w mroku, zanim tamci zdążą się obejrzeć. W Nowym Jorku na taką robotę mówi się „indiańskie zakupy”.

W zasadzie wszystko przebiegło zgodnie z planem. Rzeczywisty rozwój wypadków różnił się od przewidywanego praktycznie tylko jednym szczegółem – to nie Fred capnął, to Freda capnęli.

Odbłyło się to mniej więcej tak: nagle zrobiło się jeszcze ciemniej niż przedtem, zamiast rajskiej woni słoniny, poczuł w nozdrzach odór stęchłego koca, potem coś złapało go, owinęło tym kocem jak kaftanem bezpieczeństwa i rzuciło w kąt. Próbował jeszcze wyrwać się, bronić, ale czy widzieliście kiedyś, żeby baleron wy dostał się ze sznurka, którym jest owinięty? Ja nie widziałem.

Trzech mężczyzn nachyliło się nad nim w milczeniu. Spod koca wystawał mu łeb, więc widział ich dość wyraźnie. Na wszelki wypadek postanowił nie warczeć. Dostał już w życiu parę razy z kopa i doszedł do wniosku, że będzie się starał unikać takich rozrywek.

– Widziałeś go? Chciał mi ukraść kanapkę! – Pierwszy z mężczyzn nie potrafił ukryć oburzenia.

– Czyj jesteś, piesku? – łagodnie spytał drugi. – Twój pan ma jakąś forszę?

Odpowiedział mu głośny rechot.

- To co z nim zrobimy? - spytał trzeci. - Wrzucimy do morza?  
- Zjemy. Czytałem, że Chińczycy tak robią.  
- Psa?! Nie będę jeść psa.  
- A co będziesz jadł? To była nasza ostatnia kanapka.  
- Nie wiem, co. Ale na pewno nie psa.  
- Nie trzeba było przepijać naszych pieniędzy na prowiant!  
- Przestańcie się kłócić, kretyni! - przerwał im trzeci. - Na surowo i tak go przecież nie zjemy.

Fred, co prawda, nie rozumiał, o czym mówią, ale wiedział doskonale, że ma kłopoty. Gdyby miał ogon i gdyby nie był obwiązany po szyję kocem, zamerdałby dla rozładowania napięcia. A tak, pozostało mu tylko jedno - raz za razem oblizywać sobie nos.

Mężczyźni popatrzyli na niego w zadumie.

- Widziałem kiedyś, jak wujek zabijał świniaka. Wiem mniej więcej, jak to się robi - powiedział jeden z nich. - Najpierw trzeba dać mu w łeb, potem poderżnąć gardło, a na końcu wybebeszyć.

- To całkiem tak jak z ludźmi - zauważył drugi. Zaśmiali się cicho.

- Tu tego nie zrobimy. Uwalamy wszystko krwią. Trzeba go zanieść na górę.

Niesiony pod pachą jak worek, z łbem skierowanym do tyłu, Fred zastanawiał się nad sensem psiego żywota. Jego głowa kiwała się w takt wchodzenia po schodach. Trzeba powiedzieć, że myśli, które go wówczas nachodziły, nie były zbyt różowe. Odkąd pamiętał, zawsze był głodny. W miłości też nie za bardzo mu się układało. Z jego posturą podwyższanego jamnika nie miał żadnych szans w podwórkowych rywalizacjach. Suki woła brutalni, a on zawsze miał naturę raczej refleksyjną...

Nagle zauważył coś ciekawego. Jego ciało, kołysane monotonnym ruchem, coraz bardziej wysuwało się z owijającego je koca. Jeszcze chwila, a jego zęby dosięgną...

- Aaaaa! - mrok pokładu dla pasażerów pierwszej klasy przeszył rozzdzierający wrzask. - Ugryzł mnie sukinyń! W tyłek!!!

Upuszczony tobołek z Fredem pokoziołkował w dół schodów. Kilka szybkich, rozpaczliwych wierzgnięć łapami i był wolny. Nie minęła sekunda, i już robił to, co zawsze najlepiej mu w życiu wychodziło - uciekał, aż się za nim kurzyło.

Korytarz był prosty, a on biegł naprawdę szybko. W jego kilkuletniej psiej edukacji ten przedmiot był zawsze najistotniejszy. Po chwili zostawił za sobą wściekle krzyki i ciężki tupot buciorów. Schować się, ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu i tam wszystko przeczekać - ta jedna myśl tłukła mu się teraz po głowie.

Wszystkie drzwi były jednak zamknięte. Zwolnił i zaczął po kolei dotykać ich nosem w nadziei, że któreś się wreszcie otworzą. Nie pędził już przed siebie jak chart, raczej myszkował jak wyżeł. Szlak jego pochodzenia znaczyły mokre ślady tuż pod klamką.

Stanął i zaczął nasłuchiwać. Pościg zwolnił, ale nie ustał. W dali słyszał sapanie i odbijające się echem po korytarzu kroki. Nie było czasu do stracenia. Podeszedł do najbliższych drzwi, wspiął się na tylne łapy i nacisnął klamkę. Zamknięte. Następne. To samo. Kolejne też. Kroki zbliżały się powoli, lecz nieubłaganie. „Jeszcze tylko tu spróbuję i znowu dają dyla” - pomyślał Fred. Klik! Klamka szczęknęła i drzwi otworzyły się. Wślizgnął się do

środką i zamknął je nosem z drugiej strony. W samą porę. Kroki i sapanie były już naprawdę bardzo blisko. Jeszcze chwila i dotrą do jego kryjówki.

Cały zamienił się w słuch. Jego ciało wyprężyło się i napięło, jakby w oczekiwaniu na atak. Wargi bezwiednie uniosły się i odsłoniły zęby. Kroki minęły go jednak i teraz poczęły się oddalać.

Rozejrzał się po kajucie. Noc na oceanie jest bardzo ciemna, nie za wiele więc zobaczył. Wciągnął nosem powietrze. Zapach perfum i ludzi. Jedna kobieta i jeden mężczyzna. Raczej młodzi.

No cóż, to miejsce było równie dobre, jak każde inne. Znalazł łóżko i wpełzł pod nie. Jeśli będzie cicho, nikt go tu nie znajdzie. To był prosty, ale dobry plan. W końcu ile razy dziennie zaglądacie pod własne łóżko? Bo ja ani razu.

Obudziła go rozmowa.

- Wstawaj, kochanie, już się nie mogę doczekać! - kobiecy głos trajkotał radośnie.

- Czego się nie możesz doczekać, kotku? - mężczyzna, który to mówił, był jeszcze po drugiej stronie.

- Jak to czego? Prezentu! Dziś jest rocznica naszego ślubu. Jestem strasznie ciekawa, co mi kupiłeś!

- Prezentu, tak, prezentu... - w głosie mężczyzny słychać było skrywaną panikę. - A nasza wycieczka do Europy? To nie był wystarczający prezent?

- Wycieczka też, ale przecież kupiłeś mi chyba jeszcze jakiś drobiazg? Nie mów, że nic nie kupiłeś!

Pies jest najlepszym przyjacielem człowieka i człowiek może zawsze liczyć na jego pomoc. Fred, który właśnie poczuł, że bardzo, ale to bardzo chce mu się sikać, postanowił, że nie będzie czekać na dogodną okazję, tylko wylezie ze swej kryjówki na tak zwany „rympał”. Raz kozie śmierć. Wybuchnie pewnie dzika awantura, ale trudno. Kałuża pod łóżkiem też by go zdradziła. A tak przynajmniej, korzystając z zamieszania, podleci do drzwi, skoczy na klamkę i zanim się zorientują, co się dzieje, da nogę.

Awantura jednak nie wybuchła. Zamiast niej dał się słyszeć pisk i klaskanie w dłonie.

- Piesek! Jaki śliczny! William, jesteś kochany! Kiedy go kupiłeś?

William przez dłuższą chwilę tylko mrugał oczami. Widać było, że w jego głowie odbywają się właśnie szybkie i dość karkołomne procesy myślowe.

- Tak, kupiłem. Przedwczoraj. Ładny, prawda?

- Piękny! A co to za rasa? Wygląda trochę jak doberman, ale jest od niego znacznie mniejszy.

- Doberman miniaturka. - Mężczyzna doszedł już do siebie. - Zupełnie nowa rasa. Niedawno wyhodowana. W Nowym Jorku nikt takiego nie ma.

Fred, głaskany właśnie po głowie i przytulany, był co najmniej równie zaskoczony, jak jego nowy pan. Z tego wszystkiego zapomniał...

- Ojej, popatrz! Zsiusiał się! Biedny piesek... Musiało mu się bardzo chcieć... Zawołaj kogoś, niech to posprząta. Pewnie godny też jesteś, prawda, piesku?

Dalszą część rejsu Fred odbył w luksusowych warunkach. Pełna miska, miękkie pościelenie, spacer po górnym pokładzie na smyczy zrobionej z jedwabnego paska od szlafroka. Trochę



przeszkadzały mu tylko codzienne kąpiele i czesanie. Ale czego się w końcu nie robi dla pełnego brzucha?

Gdy dopływali do Ameryki, miał już jednak tego powoli dość. Jego pani, Sara, nie знаła umiaru. Najchętniej przez cały dzień, od rana do wieczora, głaskałaby go po głowie i tarmosiła za uszy. Kazała mu też spać w łóżku, gdzie Fredowi było niemiłosiernie gorąco. Dla kogoś nieprzyzwyczajonego do wygod, luksus może być niewyobrażalną torturą.

William wydawał się całą tą sytuacją równie zirytowany jak on. Co jakiś czas wargi unosiły mu się, jakby miał za chwilę warknąć. Spoglądał wówczas na Freda, a ten odpowiadał mu pełnym zrozumienia spojrzeniem. Wytworzyła się między nimi pewna więź – taka, jaka może powstać tylko między dwoma facetami zmuszonymi znosić niezrozumiałe dla nich zachowanie kobiety.

Rejs dobiegł wreszcie końca. Pasażerowie wszystkich klas wylegli na pokład, aby podziwiać widok zbliżającej się ku nim Statuy Wolności. Fred przyglądał jej się nieufnie. Ta wyciągnięta w górę ręka nie wyglądała przyjaźnie. Miał złe doświadczenia z ludźmi, którzy trzymają coś w ten sposób.

Na wszelki wypadek zaczął ruszać tym miejscem, w którym powinien znajdować się ogon. Musiało to zostać dostrzeżone, bowiem ręka nie opadła i statek spokojnie wpłynął do portu.

Jego nowy dom mieścił się w nadzwyczaj dobrej dzielnicy, tuż przy parku, do którego jednak nie można było wprowadzać psów. Obszerny, urządzony zgodnie z najnowszymi trendami mody, z perspektywy Freda nie był wcale aż takim przyjemnym miejscem. Wypastowane na wysoki połysk podłogi były tak śliskie, że musiał po nich chodzić z największą ostrożnością. O bieganiu, skakaniu czy innych tego typu psich rozrywkach, nie mogło być nawet mowy. Chwila nieuwagi i łapy rozjeżdżały mu się na wszystkie strony albo uciekały gdzieś w bok, a on lądował nosem na podłodze, słysząc nad sobą chichot i wesoly głos: „Patrz, znowu się przewrócił! Ależ z niego niezdar!”.

Czarę goryczy przepelniały wizyty gości, których jego pani zapraszała wprost tabunami. Zjawiali się chętnie, gdyż wszyscy chcieli zobaczyć psa nowej rasy, przywiezionego wprost z Europy. Sara pękała wtedy z dumy, a William, z dziwnym wyrazem twarzy, po raz kolejny solennie zapewniał, że następnym razem na pewno przywiezie również suczkę, co umożliwi hodowlę i zaszczerpienie tej nowej, interesującej rasy na amerykańskim gruncie.

Dla Freda były to jednak tylko kolejne katusze. Ręce, które należałoby, które powinno się ugryźć, dotykały go, macały i otwierały mu pysk. Zmuszony był do wysłuchiwania niedelikatnych uwag o swoim ogonie i uwłaczających komentarzy na temat budowy ciała. Wolność i dobrobyt – Fred szybko zrozumiał, że choć Ameryka obiecuje obie te rzeczy naraz, w praktyce jednak dość rzadko idą one w parze.

Jego pan był także coraz bardziej przygnębiony. Kłamstwo, które miało go ochronić przez kłopotami, wpędziło go, jak to zwykle bywa, w kłopoty jeszcze większe. Fred widział, jak się męczy, jak próbuje powiedzieć żonie prawdę, lecz zawsze w ostatniej chwili rezygnuje. Cóż, pies jest najlepszym przyjacielem człowieka i zawsze możemy liczyć na jego pomoc. Kiedyś podczas spaceru Fred przystanął. William pogrążony we własnych, nie najwesołych myślach zauważył to dopiero, gdy smycz, którą trzymał w ręku, naprężyła się jak struna.

- No chodź, piesku, chodź! - powiedział i pociągnął mocniej. Fred ani drgnął. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Obroża, którą Fred miał na sobie, była odrobinę za luźna. Przy odpowiednim ustawieniu głowy można było ją ściągnąć. Fred, cały czas spoglądając na swojego pana, powoli zaczął się z niej wyswobadzać. Najpierw przeszło jedno ucho, potem drugie, aż w końcu cała obroża wraz ze smyczą opadła bezwładnie na ziemię.

William patrzył na to bez ruchu. Fred stał jeszcze przez chwilę, jakby chciał się pożegnać. Po raz ostatni spojrzeli sobie w oczy.

- Powodzenia, piesku - powiedział mężczyzna, a Fred w odpowiedzi zamachał ogonem, którego nigdy nie miał.

Kiedyś, rok czy dwa lata później, Fred zobaczył ich w parku, do którego nie wolno wprowadzać psów. Prowadzili przed sobą wózek, a Sara szczebiotała nad nim, tak jak kiedyś szczebiotała nad Fredem. Dziecko jednak, w odróżnieniu od Freda, wydawało się być z tego bardzo zadowolone.

Spytacie pewnie, skąd ja to wszystko wiem? W ostatnich latach swojego życia Fred pomieszkiwał trochę u mnie. Wpadał zazwyczaj wieczorem, po całym dniu szperania w śmietnikach i bijatyk. Dobry był z niego pies, choć miał zwyczaj zjadać zdechłe gołębie.

Ciekaw jestem jednej rzeczy: co by odpowiedział, gdyby go spytać, czy warto było płynąć do Ameryki, czy nie? Czy zamerdałby ogonem, którego nigdy nie miał, czy uniósłby wargi, ukazując zęby? Nigdy się tego nie dowiem, bo Fred już nie żyje. Umarł w spokoju, na własnym postaniu. Głaskałem go po głowie, gdy odchodził. Dziś pilnuje pewnej skały w Central Parku. Jego amerykański sen skończył się definitywnie.

## KATE MASAKRA

Kate była żoną Andy'ego Śmieciarza, przywódcy gangu śmieciowego z Brooklynu. Gang Andy'ego specjalizował się w wymuszeniach komunalnych. Jego chłopcy odwiedzali właścicieli domów i składali im propozycje nie do odrzucenia. W zamian za comiesięczny haracz, oferowali wywóz śmieci.

W zasadzie nie był to gang, tylko przedsiębiorstwo wywozu odpadów, ale na Brooklynie, gdzie wszyscy chodzą z gnatami, jakoś tak głupio było nazywać się zwykłym biznesmenem. Zresztą, kto by chciał pracować w firmie śmieciarskiej? Gang to co innego. Z przynależnością do gangu wiązał się prestiż, ludzki szacunek i powodzenie u kobiet. A ze śmieciarza wszyscy by się tylko śmiali.

Chłopcy Andy'ego chodzili więc w kapeluszach, czarnych płaszczach i błyszczących lakierkach. Ładowali śmieci, to prawda, ale każdy miał cygaro w zębach i rewolwer za pasem. Gdy podchodzili do śmietnika, wyglądali, jakby chcieli go obrobić. Mówię wam, miło było na nich wtedy popatrzeć.

Kate, żona szefa, tak naprawdę sama była szefem. To ona trzymała kasę i pociągała za wszystkie sznurki. Za każdym razem, gdy trzeba było podjąć jakąś decyzję, Andy mówił: „Dajcie mi dzień. Muszę się zastanowić.”. A tak naprawdę szedł się spytać żony. Chłopaki tylko dlatego nazywali go bossem, że po pierwsze – nie było w zwyczaju, żeby kobieta była szefem gangu, po drugie – nie chcieli robić Andy'emu przykrości, po trzecie wreszcie – nie chcieli robić przykrości sobie, bo to przecież obciach być rządzoną przez babę.

Kate zawdzięczała przydomek swojemu ulubionemu powiedzonku. Pytałeś ją, na przykład:

- Kate, jak tam interesy?

A ona na to:

- Masakra!

- Co się stało? Frajerzy nie płacą?

- Płacą, płacą! Niech by spróbowali nie. Ogólnie tak jakoś do chrzanu.

Dla Kate wszystko było „masakra”. Utrudniało to bardzo rozmowę, bo przez to nigdy nie wiedziałaś, co miała na myśli. Pytałeś ją:

- Kate, jak tam ten nowy film? Podobno go widziałaś?

- Masakra!

- Ale że dobry, czy zły?

- Nie, no dobry! Masakrycznie!

I taka była z nią rozmowa. „Masakra” mogła znaczyć równie dobrze „tak”, „nie”, jak i „nie wiem”. Albo, powiedzmy, „wal się na ryj”.

Trzeba przyznać, że Andy i Kate byli dość zgodnym małżeństwem. Andy w domu prawie w ogóle się nie odzywał, co znacznie ograniczało możliwość kłótni. Kate za to paplała bez przerwy i była pod tym względem zupełnie samowystarczalna. Sama zadawała pytania i sama udzielała na nie odpowiedzi. Prowadziła długie dyskusje, w których udział Andy’ego ograniczał się w zasadzie tylko do siedzenia w tym samym pokoju, a zamiast niego równie dobrze mógłby w nich uczestniczyć piesek z kiwającą się główką, z rodzaju tych, jakie stawia się za tylną szybą samochodu.

Możecie się śmiać, lecz ja uważam, że właśnie takie małżeństwa są najszcześniejsze. Jeśli oboje małżonkowie lubią mówić, to prędzej czy później, na pewno się pokłócą. Jeśli oboje milczą, zaczynają po jakimś czasie myśleć, że nic ich nie łączy. Za to, jeśli gada tylko jedno z nich a drugie wyłącznie potakuje, wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Jednak od tej zasady, jak i od wszystkich innych, bywają czasem bardzo bolesne wyjątki.

Kate i Andy bardzo dbali o swoje małżeństwo. Kupili sobie pralkę, szybkiwar, elektryczną krajalnicę do chleba, a nawet takie urządzenie, które samo obiera jabłka. Kupili też jedną z pierwszych domowych zmywarek do naczyń. Kate twierdziła, że nic tak nie wpływa pozytywnie na trwałość związku, jak zmywarka. Mówiła: „Kiedyś za każdym razem, kiedy zmywałam gary, miałam ochotę zabić Andy’ego. Teraz też często mam ochotę to zrobić, ale przynajmniej naczynia myją się same.”

Tak, Kate to była naprawdę mądra kobieta. Gdybym spotkał kiedyś taką drugą, mógłbym się nawet z nią ożenić. Oczywiście pod warunkiem, że byłaby blondynką i miała wielkie piersi.

Kate, niestety, nie była blondynką i, szczerze powiedziawszy, nie była też zbyt ładna. W porównaniu ze swoim mężem jednak i tak olśniewała pięknnością. Andy był wielki, gruby i miał twarz jak zwiędły kartofel. Na mieście żartowano, że Kate tylko dlatego za niego wyszła, że był od niej brzydszy.

Nawet jeśli to była prawda, to chyba nieźle trafiła. Andy, oprócz tego, że nic nie mówił, chlał jak Polak i całe dni spędzał w fotelu, był dobrym człowiekiem. Taką przynajmniej miał opinię, choć w tym momencie trudno mi przypomnieć sobie jakieś zdarzenie, które by to potwierdzało.

Kiedyś jednak ta idylla się skończyła. Kate znalazła w śmieciach zdjęcie kobiety brzydszej nawet od Andy’ego i zaczęła podejrzewać męża o zdradę. Wynajęła prywatnego detektywa, aby go śledził. Nic z tego nie wyszło, trudno bowiem śledzić kogoś, kto przez cały dzień nie wychodzi z domu. Całe przedsięwzięcie spaliło więc na panewce.

Kate nie należała do kobiet, które łatwo się poddają. Któregoś wieczora postanowiła wziąć byka za rogi i rozmówić się z mężem wprost.

- Andy, mam wrażenie, że ostatnio dziwnie się zachowujesz - zadała pierwsze, podchwytliwe pytanie.

- Yhy... - odpowiedział zza gazety Andy.

- Masz kogoś? - spytała łamiącym się głosem.

- Oczywiście, kochanie - odparł jej mąż, nie przerywając czytania.

- Nie kochasz mnie już? - załkała.

Andy w zamyśleniu pokiwał głową.

Dopiero później, w toku śledztwa, wyszło na jaw, że zdjęcie, które Kate znalazła w śmieciach, przedstawiało jej matkę, i że wyrzuciła je własnoręcznie, bo uznała, że skoro matka nie żyje, nie jest jej dłużej potrzebne. Wtedy było już, niestety, za późno. Ewentualne przeprosiny należałoby wystosować pod adresem góry śmieciowej na Long Island, gdzie najprawdopodobniej znajduje się aktualne miejsce przebywania Andy'ego. Z tego, co wiem, Kate nie miała jednak raczej szans tam pojechać. Chyba, że do jej krzesła elektrycznego ktoś dorobiłby kółka.

## ILE TO JEST: DOŻYWCIE?

- Ted, ile to jest: dożycie?

- To zależy. Zależy, ile się żyje, Frank. To może być rok, a może być i sto lat.

- Sto lat to cholernie dużo, nie Ted?

- Ale z kolei rok da się już wytrzymać.

Ta rozmowa odbyła się pewnego sierpniowego popołudnia w więzieniu Sing Sing. Ted właśnie wychodził na wolność, z kolei Frank, jak się pewnie domyślicie, miał tam jeszcze jakiś czas zabawić. Rok albo sto lat – to zależy, czy miał szczęście. Z tym, że nie do końca wiadomo, co w jego przypadku należałoby uznać za szczęście.

Ted siedział tam za dowcip. Gdy jego szef wywalił go z pracy, on dla żartu podpalił mu sklep. Żart polegał na tym, że Ted pracował w sklepie mięsnym, i kiedy jego było miejsce pracy zaczęło się palić, wszystkie zgromadzone tam befsztyki, szynki i półtusze zaczęły piec się, jak w jakimś wielkim piekarniku. Zapach rozszedł się z tego taki, że psy zleciały tam z połowy miasta, zaś strażakom, którzy to gasili, ślina ciekła bardziej, niż woda z sikawek. Ted patrzył na to z ulicy, zaśmiewał do łez i darł się na całe gardło: „Chodźcie, chodźcie tu wszyscy! Stary Maroni zaprasza na grilla!”.

Niestety, Maroni nie do końca podzielał to poczucie humoru. Nie dość, że złożył doniesienie na policję, to jeszcze dał w łapę pewnemu gliniarzowi, żeby w areszcie zatłukł Teda pałką podczas próby ucieczki. Policjant pieniądze wziął, lecz nie całkiem wywiązał się z umowy. Przyłożył, co prawda, parę razy Tedowi w łeb, lecz potem coś, zdaje się, że kanapka z salcesonem, odwróciło jego uwagę i o dokończeniu roboty zapomniał. Kiepska praca policji jest w Nowym Jorku tradycją, więc nie wiem, czego się Maroni spodziewał. Swoją drogą, to skandal. Człowiek płaci podatki, uczciwie daje łapówki, i nie może liczyć na policję nawet w tak podstawowej sprawie, jak ukatrupienie kogoś w areszcie!

W więzieniu Ted wydobrzał i zaczął obmyślać kolejne dowcipy. Rozmowa, którą przytoczyłem na początku, podsunęła mu pewien pomysł. Gdy wyszedł, kupić spluwę, poszedł do wyremontowanego sklepu Maroniego, stanął przed nim i powiedział:

- W imieniu swoim i mojego obitego łba skazuję cię na dożycie! – po czym, śmiejąc się jak głupi, władował w starego cały magazynek.

To zdanie stało się swoistym znakiem rozpoznawczym Teda. Odtąd zawsze, gdy chciał kogoś załatwić, mówił mu, że skazuje go na dożycie. „To mój ulubiony dowcip – powtarzał. – Nie jest wulgarny, ani prostacki, i co najważniejsze, ma mocną, zwalającą z nóg puentę”. To prawda, Ted miał rację. W dobrym dowcipie najważniejsze jest zaskoczenie i ten moment,

kiedy orientujesz się, że wszystko jest inaczej, niż do tej pory myślałeś. W żarcie Teda oba te elementy były, trzeba to przyznać, obecne.

Z dobrym kawałem jest, niestety, jak z kapusiem – po jakimś czasie wszyscy go już znają. Dowcip Teda stał się tak popularny, że stracił element zaskoczenia. Nawet dzieciaki na ulicy wykorzystywały go w swoich zabawach w egzekucje. „W imieniu swoim i moich kolegów z klasy skazuję cię na dożywocie!”. I dalejże – wieszając kotka na płocie.

Ted nie mógł wprost wyjść z domu, by zaraz nie usłyszeć: „Hej, Ted! Powiedz, ile to jest: dożywocie?”. Wściekał się wtedy i odpowiadał: „Uważaj, żebyś się rzeczywiście tego nie dowiedział!”. Zamiast przestraszyć, wzbudzał tym jednak tylko śmiech, bo wszyscy traktowali to jako dalszą część dowcipu.

Czara goryczy przelała się, gdy pewien frajer, którego Ted miał załatwić, na skierowane do siebie słowa:

– W imieniu swoim i... – odpowiedział:

– Tak, tak, wiem! Skażesz mnie na dożywocie, a potem zastrzelisz. Mógłbyś sobie darować. To, co mnie najbardziej w życiu wkurza, to goście opowiadający stare kawały.

Wtedy Ted załamał się. Chyba nawet nie zabił tego faceta. Wrócił do domu, usiadł w fotelu i zaczął się zastanawiać, co też takiego osiągnął w życiu? Miał trzydzieści kilka lat i jedyne, czym mógł się pochwalić, to ten stary, coraz bardziej wapniacki tekst. Inni w jego wieku mieli już rodziny, własne gangi, a on co? Do końca życia będzie tym Tedem od powiedzonka o dożywociu? To się nazywa prawdziwe dożywocie.

Postanowił coś z tym zrobić, wymyślić nowy dowcip, żeby już nie musieć powtarzać i słuchać tamtego. Niestety, nie jest łatwo dorównać samemu sobie. Wymyślić na chłodno coś równie dobrego, jak to, na co kiedyś wpadło się przypadkiem i od niechcenia. Ted męczył się z tym przeokropnie. Zapisywał kolejne pomysły na kartkach, potem darł je i wyrzucał przez okno. „Skazuję cię na karę śmierci ze starości” – efektowne, ale w gangsterskiej robocie mało przydatne. Podobnie jak: „Skazuję cię na trzydzieści lat ciężkiego więzienia w twoim parszywym ciełe”. Z kolei: „Skazuję cię na publiczne roboty pod latarnią, gdzie stoją już twoja matka, siostra i babka” – odrobinę za długie i za skomplikowane. Poza tym, nie bardzo wiadomo, do czego miałyby prowadzić. Dowcip jest wtedy dobry, gdy ma wyraźną puentę. Jeśli nie, to po co w ogóle go opowiadać? To tak, jakby zaciągnąć babę do wyra, a potem kazać jej czytać bajeczki na dobranoc.

Najlepsze puenty pisze jednak samo życie. Kiedy Ted, zmęczony i zrezygnowany, wyszedł wreszcie po paru dniach z domu, zobaczył, że trwa właśnie w najlepsze parada z okazji Dnia Policjanta. Widząc to, powiedział głośno: „Nie wiedziałem, że dzisiaj jest Dzień Palanta!” – i to było właśnie to. To powiedzenie, niezbyt może finezyjne i błyskotliwe, zrobiło jednak oszałamiającą karierę. „Dzień palanta” i „dzień palanta” – wszyscy powtarzali, umierając ze śmiechu. W krótkim czasie zaczęło to oznaczać nie tylko święto wszystkich krawężników, ale też zupełnie inne rzeczy. Jeśli był nalot na jakąś melinę, mówiło się: „Wczoraj u Rudej Sue był dzień palanta. Nie ma po co tam dziś iść.”. Jeśli kogoś z naszych złapali glińiarze, mówiło się: „Jimi miał wczoraj pecha. Chciał obrobić sklep z butami, wchodzi, a tam dzień palanta!”.

Dla Teda dzień palanta nastał kilka miesięcy później. Policjanci, niezłe na niego wkurzeni, postanowili przyrzeć się jego lewym interesom. Wyciągnęli starą sprawę pożaru sklepu Maroniego i oskarżyli Teda o znęcanie się nad zwierzętami. Na nic zdały się tłumaczenia

adwokata, że trudno znęcać się nad czymś, co już od paru dni nie żyje, co więcej, jest obdarte ze skóry i pokrojone na kotlety. Ted stanął przed sądem. Sprawa była prosta, bo naciągana, więc jeszcze tego samego dnia ogłoszono wyrok.

- W imieniu stanu Nowy Jork skazuję cię na dożywocie! – powiedział sędzia.
- Ile to jest: dożywocie? – z przyzwyczajenia spytał Ted.
- W twoim przypadku najwyżej kilka dni – odpowiedział stojący obok policjant.



## PARIS – NEW YORK

Opowiem wam teraz o Nicku Francuzie. Nick, tak naprawdę, urodził się w Iowa i żadnym Francuzem oczywiście nie był. Jego ojciec był pijakiem, a matka idiotką – podobno w Iowa te dwie narodowości dominują. Nazywaliśmy go Francuz, bo był kiedyś w Paryżu. „Fiu, fiu, w Paryżu!” – pomyśleliście sobie pewnie. Spokojnie, nie ma się czym podniecać. W czterdziestym czwartym wielu chłopaków wybrało się na taką wycieczkę. Niektórym tak się spodobało, że do dziś nie wrócili. Mają teraz gustowne apartamenty pod białym krzyżem w cichej i bardzo spokojnej okolicy, z tabliczką, na której jest ich imię, nazwisko, stopień wojskowy i data zameldowania. Francja – elegancja, można powiedzieć.

Nick miał trochę więcej szczęścia – pojechał i wrócił. Jego szczęście było jednak poniekąd naszym pechem, bo Nick do końca swojego życia zamęczał nas opowieściami o tym całym Paryżu. Dobrze, że nie żył zbyt długo. Dopadła go francuska choroba, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Nick przed wyjazdem odgrażał się, że każdego napotkanego Francuza będzie pytał: „collaboration ou resistance?”. I kiedy otrzyma odpowiedź, że „collaboration”, natychmiast będzie walił go w mordę. Jakoś tak się jednak szczęśliwie złożyło, że w Paryżu wszyscy byli „resistance”, więc Nick specjalnie się nie namęczył.

Pierwsze, co Nick zrobił, gdy przyjechał do stolicy Francji, to poszedł do Moulin Rouge. Ktoś mu powiedział, że trzeba tam pójść, no to poszedł. Opowiadał potem, że nie za bardzo mu się podobało. Po początkowej euforii spowodowanej tym, że dziewczyny tańczą tam z gołymi cyckami, wkrótce nadeszła, jak mówił, usypiająca nuda. Trochę przeszkadzało mu też, że girlsy przy każdej okazji wyciągały w górę ręce i krzyczały „Hail Hitler!”. Jak tłumaczył podający mu szampana kelner, wyzwolenie trochę ich zaskoczyło i nie zdążyli jeszcze przygotować nowej choreografii.

Potem Nick obejrzał Wieżę Eiffla, Łuk Tryumfalny i co tam jeszcze w tym Paryżu mają. Zwiedzało mu się dobrze, bo wszyscy japońscy turyści siedzieli w obozach jenieckich, więc tłumów jakichś strasznych nie było. W całym mieście trwało właśnie gorączkowe malowanie antyniemieckich hasła na murach. Na wszelki wypadek, pisano je jednak tak, by łatwo można je było przerobić na hasła antyamerykańskie, w razie, gdyby sytuacja znowu się zmieniła.

Po całym dniu łażenia, Nick trafił wreszcie do uroczej, małej knajpki w dzielnicy łacińskiej. Usiadł przy stoliku na zewnątrz, zamówił colę i hamburgera i zapalił papierosa. Gdy po jakimś czasie dostał wino i żaby, nie zdziwił się specjalnie. Wojna nauczyła go, że nie zawsze dostaje się to, na co ma się ochotę.

Przy stoliku obok siedziała miła, francuska prostytutka. Pachniała jeszcze Szwabem, ale przecież i Nick po kilku miesiącach na froncie niezbyt przyjemnie zalatywał.

- Voulez vous...? - rzucił w jej kierunku, lecz niestety, były to wszystkie słowa, jakie znał w języku francuskim. Na szczęście prostytutki i sprzedawcy należą do tych osób, które zawsze cię zrozumieją, niezależnie od tego, w jakim języku się do nich zwrócisz.

Kobieta wstała i bez słowa przysiadła się do jego stolika.

- Americain? - spytała.

„Nie, kuźwa, Singapurczyk” - pomyślał, lecz zamiast tego odparł:

- Jasne, że „Americain”!

- Okay! - roześmiała się kobieta i sięgnęła po jego paczkę papierosów.

- Okay! - odpowiedział i podał jej zapałki.

Prostytutka głęboko zaciągnęła się dymem.

- To co, paniusiu - spytał - masz tu jakiś lokal, czy mam coś organizować?

- Komm! - powiedziała po niemiecku i wydmuchnęła w jego stronę chmurę dymu.

Nick zakaszał, lecz nie zareagował. Nie znał miejscowych zwyczajów, może w ten sposób okazuje się we Francji szacunek? Kiedyś w Nowym Jorku za coś takiego ukatrupił trzech braci Williams, mimo że, jak się potem okazało, gość, który to zrobił, wcale nie był z nimi spokrewniony. Nazywał się Friedman, a jemu się pomyliło. Nigdy nie miał pamięci do nazwisk.

- Jak „komm”, to „komm” - powiedział. Położył na stole fałszywe pięć dolców i wstał. Kelner o mało nie zsiadł się w gacie. „A mówią, że podrabianie pieniędzy to przestępstwo - pomyślał Nick - tymczasem jest w stanie dostarczyć ludziom naprawdę wiele radości!”

Ruszyli w dół uliczki. Minęli sklep z serami, śmierdzący bardziej, niż zaplecze włoskiej knajpy, minęli sklep z artykułami nazistowskimi (zamknięty do odwołania), minęli fontannę, na której chłop ze skrzydłami przebijał włócznią głowę jaszczurce, wreszcie skręcili w jakąś bramę.

Dziewczyna pokazała gestem, że to tu. Weszli po schodach na czwarte piętro. Nick zasapał się nie na żarty. Był w wojskach spadochronowych, przeszedł bardzo intensywne szkolenie, lecz żaden z jego elementów nie obejmował łażenia po budynkach bez windy.

Otworzyła drzwi. Weszli do środka. W mieszkaniu panował burdelowy półmrok. Tylko przez okno wpadało trochę światła. Nick podszedł do niego i odsłonił grubą firankę. „A więc to są te słynne dachy Paryża - pomyślał. - Przerklamowane. Jak wszystko w tym mieście.”

- To jak, paniusiu, co robimy? - Odwrócił się. - Nie wiem, jakie tu macie zwyczaje, chętnie się czegoś nauczę. Nie po to w końcu tłułem się przez ocean, żeby robić to tak, jak ze swoją starą...

I właśnie wtedy dostał w łeb.

W zasadzie był to już koniec przygód Nicka Francuza we Francji. Nazajutrz znaleziono go nad brzegiem Sekwany, golusieńkiego jak go matka na świat wydała. Ręce miał związane damskimi majtkami, a nogi - krawatem w małe swastyki. Przyrodzenie ktoś litościwie zakrył mu czapką wysokiego rangą oficera SS.

Po powrocie do kraju, Nick długo nie chciał nam nic opowiedzieć o swoim pobycie w Paryżu. Zastaniał się brakiem czasu, migreną albo tajemnicą służbową. Gdy w końcu

przełamał się i wyznał nam prawdę, natychmiast tego pożałował. Jak to się mówi: śmiechom i żartom nie było końca. Nick na początku trochę się na to zżymał, zastrzelił nawet z tej okazji kilku gości, w końcu jednak przestał tak bardzo się denerwować. Nawet docinki sugerujące, że Niemcy go w tym Paryżu, no... nie tylko rozebrali, już go tak nie drażniły. Z biegiem lat zaczął mówić o Francji z coraz większym sentymentem. Zaczął też jeść sery i popijać je winem. Kupił nawet taką głupawą chustkę, którą okręcał sobie wokół szyi.

Mówiliśmy mu:

- Nick, jak wróciłeś, psioczyłeś na ten cały Paryż, na czym świat stoi, mówiłeś, że to syf i nudziarstwo, i że szkoda, że Niemcy nie wypalili tego dziadostwa ogniem, a teraz co? Ciągłe tylko Paryż i Paryż! Nagle ci się spodobał?

- Mówiłem tak, bo byłem głupi. Jak może prosty chłopak z Iowa docenić takie чудо jak Paryż?

Gdy się nad tym głębiej zastanowić, jest to całkiem niezły tekst. Bardzo często używam go podczas rozmów ze swoją żoną. Mówię jej:

- Kochanie, to prawda, że uważam cię za grubą idiotkę, ale zastanów się: jak taki prosty chłopak jak ja może docenić takie чудо jak ty?

I wiecie co? To działa.

## KULAWA MAGGIE

Maggie, jak się pewnie domyślacie, wcale nie była kulawa. Nie miała jednej nogi krótszej, ani drugiej dłuższej. Nie utykała też, ani nie powlóczyła kulasem. Można powiedzieć, że chodziła nawet z pewną gracją. Była kulawa w zupełnie innym sensie. Jakim, spytacie pewnie? Jakby to powiedzieć... Generalnie była jakaś taka kulawa.

O, na przykład to. Mówisz do niej: „Chodź, Maggie, postawię ci drinka!”. A ona na to, że czemu nie. No to idziecie do jakiejś knajpy, stawiasz jej tego drinka, potem następnego i jeszcze jednego, i oczekujesz, co chyba oczywiste, że dzięki tym drinkom wasza znajomość się, że tak powiem, zacieśni. A Maggie wypija te drinki i, jak gdyby nigdy nic, wychodzi. A ty zostajesz z głupią miną i z rachunkiem na kilka doliczów.

Innego dnia – przeciwnie. Siedzisz sobie spokojnie wieczorem w domu, czytasz po raz dwudziesty ten sam komiks, bo nie masz nic innego do roboty, aż tu nagle wpada Maggie i mówi: „Wstawaj, leniu, idziemy na Most Brooklyński!”. To ty się patrzysz na nią i pytasz: „Po co, Maggie, mamy iść na Most Brooklyński? Po jaką cholerę?”. A ona na to: „Po taką, że muszę tam pójść. A ty idziesz ze mną, Billy.”.

Tu muszę od razu zaznaczyć, że nie mam na imię Billy. Maggie mówiła tak na każdego swojego faceta. Podobno kiedyś miała psa, co się tak wabił, i ten pies wpadł pod tramwaj. Bardzo wtedy płakała, a po tygodniu, żeby się pocieszyć, poszła po raz pierwszy do łóżka. Tego swojego pierwszego faceta nazwała Billy i tak już zostało.

Więc ja, skoro nazwała mnie Billy, natychmiast zbystrzałem. Pomyślałem sobie: „Można iść na ten cały Brooklyński Most, choć to głupie. Jeśli ma coś z tego być, to czemu nie?”

No to idziemy. Włazimy tam, ja mam minę nie za szczęśliwą, bo raz, że noc, dwa, że wieje jak w meksykańskim barze po podaniu fasoli, a trzy, że za ciepło to, kurde, nie jest. Stajemy przy barierce i patrzymy się na Manhattan. Faktycznie, nie wygląda to najgorzej. Jakby ktoś postawił obok siebie i na sobie wszystkie choinki świata.

Stoimy tak dłuższą chwilę, wiatr mi wywiewa z żołądka resztki dzisiejszej kolacji, a Maggie nic, gapi się tylko i gapi. Wreszcie nie wytrzymuję i pytam: „To jak, Maggie, co robimy?”. A ona na to, że nic nie robimy. Że po prostu raz na jakiś czas musi tu przyjść i sobie popatrzeć, a przecież nie będzie laża na most sama. No to ja, choć klnę w duchu na czym świat stoi, przysuwam się do niej, obejmuję ją w pasie i mówię jej, że coś tam, że ładnie wygląda. A ona na to: „Daj spokój, Frank. Nie wyglupiaj się.”.

Nie muszę oczywiście dodawać, że Frank też nie mam na imię. Maggie mówi „Frank” do każdego gościa, którego chce spławić. Tak miał podobno na imię nauczyciel gimnastyki w jej szkole, który dostawiał się do wszystkich dziewczyn. Był gruby, a kiedy się nachylał, widać mu było z tyłu rów między pośladkami.

Taka właśnie była Maggie. Nie można było za nią nadążyć, nie można było jej złapać. Pamiętam, jak kiedyś Krwawy Aaron zabrał ją do Central Parku na łódki. Wynajął jedną i płyną. Upał jak cholera. Aaron wiosłuje, pot leje mu się spod kapelusza na ten jego jasny garnitur, ale Aaron trzyma fason, nie zdejmuje marynarki, jak się bawić, to się bawić. A Maggie tylko siedzi i patrzy. A trzeba wspomnieć, że wcześniej przez miesiąc dawał jej za darmo podrobione bilety, żeby ją odpowiednio nastroić.

Więc płyną tak po jeziorze, Aaron dysząc, próbuje wstawić jakiś bajer, Maggie tymczasem wystawiła za burtę jedną nogę i nią macha. Nagle, gdy byli akurat blisko jakichś krzaków, Maggie mówi: „dobra, znudziło mi się”, przekłada przez burtę drugą nogę i buch z tej łódki do jeziora. A potem spokojnie, po kolana w wodzie idzie do brzegu.

To jednak i tak jeszcze nic. Najlepszy numer Maggie wycięła samemu Martwemu Johnowi. Chcecie wiedzieć, o co chodziło? Proszę bardzo.

Było to, zdaje się, w „Konstytucji”. Maggie, lekko już wstawiona, podeszła do Martwego Johna i mówi:

- Hej, John, założę się o sto dolców, których nie mam, więc w razie przegranej będziesz mi je musiał pożyczyć, że wcale nie jesteś takim zimnym i wypranym z uczuć sukinsynem, za jakiego cię wszyscy uważają.

Johnny popatrzył się na nią chłodno i mówi:

- Przyjmuję zakład. Ciekaw jestem tylko, jak zamierzasz to udowodnić?

- Jeszcze nie wiem, Johnny, muszę się zastanowić. W każdym razie - pilnuj się.

Po czym odwróciła się na pięcie i odeszła.

No więc Johnny zaczął się pilnować. Choć oczywiście nic sobie z tego nie robił, bo w końcu był martwy, to przecież podświadomie zaczął zwracać uwagę na różne rzeczy, na które do tej pory uwagi nie zwracał. Zaczął się zastanawiać, czy jest dostatecznie bezwzględny, czy jego twarz ma wystarczająco kamienny wyraz, czy jego głos jest odpowiednio beznamiętny. I choć wszystko to dotąd nie sprawiało mu żadnego problemu, bo przecież rzeczywiście był zimnym sukinsynem, to nagle, ni stąd ni zowąd, zaczęło sprawiać. Zaczął o tym myśleć, a to najgorsze, co można zrobić. To tak, jakby nagle zacząć myśleć o chodzeniu. Jest to najprostszy z możliwych sposobów, żeby się wywalić.

Po dwóch, trzech tygodniach Johnny miał dość. Odnalazł Maggie, podeszedł do niej i spytał:

- To jak, Maggie? Wygrałem zakład czy potrzebujesz jeszcze trochę czasu?

A Maggie na to:

- Jaki zakład?

- No ten, czy jestem naprawdę wyprany z uczuć, czy nie.

- A, ten! Przepraszam, zupełnie wyleciało mi to z głowy. Ale chyba tak, chyba wygrateś. W końcu jesteś Martwym Johnem, nie?

Johnny nic na to nie odpowiedział. Byłem tam, słyszałem tę rozmowę. Martwy John był wtedy najbliższej okazania jakichś uczuć, odkąd go znałem. Ciągłe był zimny i beznamiętny, ale czuło się, że pod tą beznamiętnością czaił się naprawdę niezły wkurw.

- A, no to spoko - powiedział jednak. - Na razie, Maggie! - I odszedł.

Może to przypadek, ale tej nocy Martwy John zastrzelił czterech gości.

A co się stało z Maggie? Załatwiła ją chemia. Dostała kiedyś od ojca na urodziny podręcznik. Jej ojciec był pijakiem i książkę tę znalazł na śmietniku. Chciał ją sprzedać, żeby kupić za to gorzałę, ale nikt nie chciał jej od niego kupić. Po co komu podręcznik do jakiejś pieprzonej chemii? A Maggie się przydał. Tak się w niego wciągnęła, że rok później zdała na uniwersytet. Dziś jest profesorem, pierwszą kobietą w historii Uniwersytetu Nowojorskiego, która otrzymała ten tytuł. Czasami, gdy idę przez Plac Waszyngtona, widzę ją, jak siedzi na ławce. Kiedyś nawet chciałem do niej podejść, ale pomyślałem sobie: co będę podchodził?

## KOWBOJ HANS

Hans od dziecka marzył o kowbojskim kapeluszu. Wiecie, takim wielkim, z szerokim rondem i z brzegami lekko wywinętymi po bokach do góry. W Bawarii, gdzie się urodził, nosi się zupełnie inne kapelusze – małe, z wąskim rondkiem i z idiotycznym piórkiem wetkniętym za tasiemkę. Do tego krótkie, skórzane spodnie na szelkach i litrowy kufel piwa. Nic dziwnego, że właśnie w Bawarii Hitler zyskał pierwszych zwolenników. Ze swoim kretyńskim wąsikiem i grzywką na płetwę, w Nowym Jorku mógłby być co najwyżej kelnerem, a wśród tamtych cudaków był królem, bo wyglądał jeszcze głupiej, niż oni. Taka jest moja teoria, nie wiem, może były jakieś inne powody.

Hans, w każdym razie, z Hitlerem nie miał wiele wspólnego, bo zupełnie inne rzeczy chodziły mu po głowie. Naczytał się w dzieciństwie książek o kowbojach i Indianach i postanowił, że zrobi wszystko, żeby nie musieć do końca życia pić piwa i jodłować. Ojciec podsuwał mu podobno „Main Kampf”, ale ta lektura nie za bardzo się Hansowi spodobała. Na początku nawet się wciągnął, bo było tam o jakiejś rasie, więc myślał, że za chwilę pojawią się Indianie, ale gdy doszedł do połowy i nie natknął się na żaden opis napadu na dylżans, zrezygnował z dalszego czytania. „Z takich książek nic dobrego nie wynika – mawiał potem. – W dobrej książce powinny być porwania, pościgi, strzelaniny, powinna być prawdziwa, męska przyjaźń i piękna kobieta, której trzeba pomóc. A tu? Ciągłe tylko Żydzi i Żydzi. Ja nie mam nic przeciwko Żydom, ale gdzie im do Indian?”.

Hans nie miał do końca racji, bo jakiś tam pożytek z przeczytania „Main Kampf” jednak odniósł. Po tej lekturze doszedł bowiem do wniosku, że nic ciekawego go już w Niemczech nie spotka, sprzedał swoje skórzane portki, sprzedał kapelusz z piórkiem, sprzedał nawet „Main Kampf”, i kupił bilet na statek do Ameryki.

Pierwsze, co zrobił, gdy zszedł na ląd, to poszedł kupić sobie kowbojski kapelusz. W Nowym Jorku nie jest to jednak wcale takie proste. To tylko Europejczykom wydaje się, że my tu wszyscy chodzimy w kraciastych koszulach i ujeżdżamy na oklep byki. Tak robią może jakieś wieśniaki w New Jersey, ale nie my. Tu jest Nowy Jork, tu panuje wysoka kultura. Chodzimy w gajerach i pod krawatem, a byki widzujemy tylko na talerzu – w formie steka.

Hans jednak był uparty. Chodził po Manhattanie i pytał, gdzie tu można kupić kowbojski kapelusz. Wszyscy brali go za wariata, bo nie znał języka, więc zamiast mówić, o co mu chodzi, pokazywał sobie nad głową wielkie koło, strzelał z palców i krzyczał „pif-paf”. Kilka razy zgarnęła go nawet policja, co zresztą stało się powodem zabawnych nieporozumień międzykulturowych. Gliniarze, widząc zagubionego cudzoziemca, który do tego najwyraźniej ma nie po kolei w głowie, z początku traktowali go łagodnie. Półśłówkami, aluzjami i znaczącymi gestami sugerowali, że za odpowiednią kwotę puszcza go wolno, i nawet nie

dostanie pałą przez grzbiet. Hans jednak nie rozumiał, o co im chodzi. U nich, tam w Niemczech, podobno nie ma łapówek, nie znają nawet tego pojęcia. Tak przynajmniej mówił Hans, gdy już się nauczył angielskiego. Nie wiem, czy mu wierzyć, wydaje mi się to mało prawdopodobne. Jak oni, w takim razie, w ogóle funkcjonują, jak działa to państwo? Hans twierdzi, że załatwiają wszystko krzykiem i rozkazami, i że to podobno działa jeszcze lepiej. Może i tak, ale u nas by to nie przeszło. Tu jest demokracja, spróbuj nawrzeszczyć na policjanta, a da ci taki wycisk, że popamiętasz do końca życia.

No i Hans, trzeba powiedzieć, parę razy taki wycisk dostał. Nie przejął się jednak tym za bardzo, bo był przyzwyczajony. W Niemczech bicie jest podobno podstawową metodą wychowawczą. Gdy jakiś dzieciak zrobi coś złe, dostaje pasem dwa razy po dupie. Gdy zrobi coś dobrze, tylko raz. Pewnie dlatego noszą te skórzane portki.

W końcu Hans zrezygnował. Po kilku tygodniach łażenia po mieście i pytania na migi o kowbojski kapelusz, uznał, że to nie ma sensu. Postanowił podejść do sprawy systematycznie i nauczyć się angielskiego.

Najpierw znalazł pracę. W Europie wybuchła właśnie wojna, więc na Broadwayu potrzebowali kogoś, kto mówi po niemiecku. Hans znowu chodził w krótkich, skórzanych spodenkach i głupim kapelusiku, ale pocieszał się, że dzięki temu chwilowemu upokorzeniu, osiągnie wkrótce wymarzony cel – zamieni kapelusz z piórkiem na prawdziwego stetsona, by kołyszącym się krokiem, znamionującym lata spędzone w siodle, pójść do najbliższego saloonu i tam przepłukać swoje ochryple od kurzu i przekleństw gardło szklaneczką naprawdę, ale to naprawdę podłej whiskey. Trochę przeszkadzało mu, że widzowie śmieją się na jego widok i rzucają węń niedojedzonymi hot-dogami, ale wiedział, że już niedługo (gdy tylko założy kowbojski kapelusz) będą pierzchać przed nim, niczym pieski preriowe przez galopującym bizonem.

Zarobione pieniądze przeznaczył na kurs angielskiego dla imigrantów. Z dwóch pierwszych go wyrzucono, bo zamiast cierpliwie uczyć się, jak odmieniać czasownik „być”, już na pierwszej lekcji wstawał, robił sobie wielkie koło nad głową i krzyczał „kowboj, kowboj!”.

Na trzecim kursie już nie popełnił tego błędu. Kuł pilnie i wkrótce został najlepszym uczniem. Wieczorami, w czasie przedstawienia krzyczał cienkim głosem „Hail Hitler!”, po czym zabawnie się przewracał, rano zaś pakował zeszyt i książki, a potem biegł na lekcje.

Niedługo mówił po angielsku lepiej od niejednego wieśniaka z Ohio. Powoli stawał się idealnym Amerykaninem – chodził w dżinsach, żuł gumę, głosował na republikanów i pił wyłącznie coca-cole. O tym, że był Niemcem, świadczyło tylko to, że wszystkie te czynności wykonywał nadzwyczaj porządnie i dokładnie. Codziennie prasował dżinsy, gumy nie wypluwał na chodnik, tylko zawijał ją w papierek i wyrzucał do kosza, coli nie pił z butelki, tylko zawsze najpierw przelewał ją do szklanki.

W tych wszystkich działaniach było jakieś podświadome przekonanie, że aby zdobyć obiekt jego pragnień, nie wystarczą pieniądze. Że trzeba na niego, czy ja wiem, zasłużyć. Sądził, że gdy przyplął tu z Europy, nie dlatego nie udało mu się go kupić, że nie znał języka, ale dlatego, że kapelusz – ten symbol Ameryki i jej ducha – wzdragał się przed trafieniem na głowę takiego bawarskiego wieśniaka jak on. W końcu robią go dla zupełnie innych wieśniaków. Kapelusz był jak Excalibur, którego może wyciągnąć ze skały tylko ten,



kto jest go godny. A godnym Hans stanie się dopiero wtedy, gdy zmieni się w prawdziwego Amerykanina.

W końcu uznał, że ten czas już nadszedł. Ubrał się w świeżo wyprane, wyprasowane dżinsy, założył specjalnie kupioną na tę okazję kraciatą koszulę i poszedł do najelegantszego i najświetniejszego sklepu z kapeluszami przy Piątej Alei.

Firma „Jeffrey and Clark” mieściła się pod tym samym adresem już od ponad dwustu lat. Podobno sam Waszyngton kupił tu jeden ze swoich trójgraniastych kapeluszy. Może i mieściła się tu od dwustu lat, lecz sprzedawca sprawiał wrażenie, jakby takie pytanie zabrzmiało tu po raz pierwszy.

- Wybacz pan, lecz obawiam się, że nie zrozumiałem. Co pan chciał kupić?

- Kowbojski kapelusz. Taki z szerokim rondem lekko wywiniętym po obu bokach i denkiem, które wygląda, jakby ktoś uderzył w nie kantem dłoni. - Angielszczyzna Hansa skrzyła się i mieniła, niczym świeżo wypolerowana klamka.

- Naturalnie. Wydaje mi się jednak, że aktualnie nie mamy podobnego modelu na składzie. Jeśli pan sobie życzy, możemy go oczywiście sprowadzić, lecz muszę pana uprzedzić, że może to trochę potrwać. - Sprzedawca, na oko raczej Jeffrey niż Clark, zużył w czasie tej krótkiej przemowy całe swoje zasoby dobrego wychowania, żeby nie okazać Hansowi, za jakiego prostaka go uważa.

- Życzę sobie - powiedział Hans i splunął, jak na prawdziwego Amerykanina przystało.

To był niewątpliwie najbardziej ekscytujący okres w jego życiu. Co prawda, sprzedawca uprzedził go, że przesyłka, na którą czeka, dotrze z Teksasu nie wcześniej niż za trzy tygodnie, ale już po upływie pierwszego z nich, Hans nie wytrzymał i zjawił się w sklepie przy Piątej Alei.

- Czy paczka już doszła? - spytał i strzyknął śliną.

Sprzedawca popatrzył na swoją lśniąca, świeżo wypastowaną podłogę wzrokiem pełnym rezygnacji.

- Bardzo mi przykro - powiedział z wymuszonym uśmiechem - lecz niestety jeszcze nie. Jak panu zapewne wspomniałem podczas pana poprzedniej wizyty, przesyłka z tak daleka idzie co najmniej trzy tygodnie, a minął dopiero tydzień - na słowo „dopiero” położony był odrobinę zbyt duży nacisk i w zasadzie tylko to pozwalało domyślić się, co kłębi się w duszy biednego sprzedawcy kapeluszy.

- Ale przecież zdarza się czasami, że paczki docierają szybciej? - Hans mrugnął porozumiewawczo i splunął po raz drugi.

- Szczerze powiedziawszy, jeszcze się z takim przypadkiem nie spotkałem, a pracuję tu już ponad dwadzieścia lat. Najlepiej pan zrobi, jeśli wróci pan do domu i spokojnie zaczeka do końca miesiąca. - Lekko uniesione brwi i delikatnie skrzywione usta świadczyły, że sprzedawca z trudnością trzyma nerwy na wodzy.

- Tak zrobię - powiedział Hans. - Albo nie, przyjdę jutro. Z przesyłkami nigdy nic nie wiadomo.

Odtąd Hans stał się stałym bywalcem sklepu z kapeluszami „Jeffrey and Clark”, zaś jego ślina - stałym gościem na pięknie wypastowanej podłodze. Powieszenie przy wejściu tabliczki z napisem: „zabrania się pluć” niewiele dało, podobnie jak zamontowanie wszędzie słuwalk oraz ostentacyjne wycieranie podłogi tuż przy nogach Hansa. Sprzedawca, który,

jak się okazało, miał na imię Jonathan, był u kresu wytrzymałości psychicznej. Doszło w końcu do tego, że pozwalał sobie okazywać zniecierpliwienie, a raz czy dwa dało się nawet wyczuć w jego głosie ironię.

Wybuch musiał w końcu nastąpić, więc nastąpił. Stało się to pewnego deszczowego popołudnia, w dniu, w którym wszyscy byli na coś lub na kogoś wkurzeni.

- Cześć, Jonathan! Jest moja paczuszka? - zawołał Hans już od progu.

- Po raz piąty w tym tygodniu i po raz drugi dzisiaj informuję pana, że jeszcze nie przyszła. Spodziewamy się jej w przyszłym tygodniu. Dostawy są zazwyczaj rano, więc niepotrzebnie się pan ponownie fatygował.

- Wiem, wiem, ale akurat przechodziłem tędy i pomyślałem, że nie zaszkodzi wpaść - odparł Hans i złożył usta do splunięcia.

- Jeszcze raz napluje pan na moją podłogę - bardzo spokojnie powiedział sprzedawca - a wetknę panu w tyłek urządzenie do rozciągania kapeluszy. Wykorzystuje ono działanie gorącej pary, więc zapewniam pana, że nie będzie to zbyt przyjemne.

- Wyobrażam sobie - mruknął zdziwiony Hans i przypomniał sobie dzieciństwo w Bawarii.

- To dlatego, że jestem Niemcem, prawda? - spytał po chwili.

- Słucham? - tym razem zdziwił się sprzedawca.

- Szwabem, Szkopem, pieprzonym faszystą? - w miarę, jak Hans mówił, zniknął gdzieś jego wycudzony, brooklyński akcent.

- Nie ująłbym tego w ten sposób... - próbował wycofać się sprzedawca.

- Ale w inny byś ujął? - głos Hansa niebezpiecznie zaczął przypominać szczekanie psa, a ręka bezwiednie powędrowała w kierunku miejsca, gdzie w kaburze przywiązanej do uda powinien tkwić rewolwer systemu Colta.

Co było dalej, zapewne się domyślicie. Sklep „Jeffrey and Clark” w całej swej dwustuletniej historii nie widział podobnie gorszących wydarzeń. Wystarczy, jeśli powiem, że groźby sprzedawcy nie okazały się czczymi pogroźkami, zaś Hans po raz pierwszy w życiu żałował, że nie ma na sobie skórzanych, bawarskich portek. Kres tej awanturze położyła dopiero przybyła na miejsce policja.

W areszcie Hans dowiedział się, co naprawdę oznacza w Nowym Jorku sformułowanie „kowbojski kapelusz” i dlaczego nie jest to nic dobrego. Gdy po tygodniu wyszedł na wolność, nie chciał już słyszeć o żadnym nakryciu głowy. Nie odebrał też swojej wyczekiwanej przesyłki, mimo iż firma „Jeffrey and Clark” przesłała do aresztu list, w którym bardzo serdecznie przeprasza za zachowanie swojego sprzedawcy i w ramach zadośćuczynienia oferuje rabat w wysokości półtora procent na wszystkie zakupione w przyszłości przez Hansa kapelusze.

Po dawnej fascynacji pozostała Hansowi tylko ksywa „Kowboj” oraz zamiłowanie do kobiet z saloonu i whiskey. Wplątał się później w jakieś podejrzane interesy, ale to już zupełnie inna historia. Chcecie wiedzieć, jak zginął? Załatwił go Harry Indianiec. Tak jakos głupio wyszło.

## ROMEO I SUZY

Miłość w Nowym Jorku, owszem, występowała, ale nikt się z nią specjalnie nie afiszował. Szło się do Mamy Carter albo do jakiegoś innego lokalu i sprawa była załatwiona. Po co jeszcze o tym gadać? Teraz to co innego, nie można otworzyć gazety, żeby się zaraz nie natknąć na jakiegoś frajera opowiadającego wszem wobec, kogo kocha i dlaczego. Za naszych czasów tak nie było. Rozmawiało się o bejsbolu, a nie o takich głupotach.

O tym romansie mówiło jednak całe miasto. W sumie nic dziwnego, nieczęsto się zdarza, by zakochało się w sobie dwóch członków rywalizujących ze sobą grup przestępczych. On nazywał się Douglas Romero, a ten drugi on – Richard Suza.

Mówiliśmy na nich Romeo i Suzy. Nie wiem, czy zdajecie sobie w ogóle sprawę, jak kiedyś wyglądała w Nowym Jorku kwestia mniejszości seksualnych. Otóż nie było żadnych mniejszości. Wszyscy należeli do większości. Teraz to podobno nawet jest w dobrym tonie, gdy facet obłapia faceta, w tamtych czasach można było za coś takiego nieźle oberwać, i to nie tylko złym słowem.

Oczywiście zdarzało się, że podczas wymiany zdań ten lub ów zasugerował swojemu rozmówcy przynależność do takiej czy innej mniejszości seksualnej. Czasami taka sugestia obejmowała nawet całe wielotysięczne grupy etniczne. Szczególnie Irlandczycy mieli w zwyczaju sugerować coś takiego Włochom. Nie mówiliśmy tego jednak z jakąś złą intencją, chodziło po prostu o to, żeby mieć dobry powód do nawalanki.

W tym wszystkim Romeo i Suzy byli jak Murzyn na weselu u Eskimosów. A w zasadzie jak dwóch Murzynów. Niby nic takiego, UFO przecież nie wylądowało, słyszałeś w końcu, że gdzieś tam, na szerokim świecie, takie zjawiska zachodzą, ale z drugiej strony – trochę jednak strach.

Douglas i Richard poznali się podczas strzelaniny przy zachodnim nabrzeżu. Już wtedy wpadli sobie w oko, co było tym łatwiejsze, że patrzyli na siebie przez muszki i szczerbinki swoich pistoletów. Miłość pokonuje jednak nie takie przeszkody, choć można by tu dodać, że nie zawsze potrzebnie.

To pierwsze spotkanie pozostawiło w ich sercach trwałe ślad, a u Richarda także przestrzeloną łydkę. Tak to niestety bywa, że ranimy tych, których kochamy, co jest częste zwłaszcza w Ameryce, gdzie konstytucja gwarantuje powszechny dostęp do broni.

Wtedy jednak nic nie zapowiadało jeszcze tak wielkiej i płomiennej miłości. Ot, zwyczajna rzecz – gość z jednej bandy postrzelił gościa z drugiej. Gdy spotkają się następnym razem, tamten drugi odwdzięczy się temu pierwszemu i sprawa będzie załatwiona. Nikt się na nikogo nie obrazi, nikt nie będzie miał do nikogo pretensji, ale i o żadnych cieplejszych

uczuciach też raczej nie powinno być mowy. Gdyby każdy gangster, który zarobi kulkę, zakochał się w tym, który ją wystrzelił, żylibyśmy jak w jakimś cholernym San Francisco.

Najwyraźniej jednak Douglas miał coś takiego w sposobie strzelania, że zupełnie zawrócił Richardowi w głowie. Może trafił go w jakiś czuły punkt? Choć z drugiej strony, gdy się oberwie z czterdziestki piątki, każdy punkt jest czuły.

Przy kolejnym spotkaniu było jeszcze gorzej. Richard, który lekko utykał, natknął się na Douglasa na rogu Jedenastej i Sto Pierwszej. Obaj machinalnie sięgnęli po broń, lecz tym razem to Richard był szybszy. Bang! Bang! – rozległy się głuche wystrzały. Douglas chwycił się za lewy bok i z jękiem ukląkł na jedno kolano. Jego szlachetną, męską twarz ściągnął grymas bólu.

Richard poczuł, jakby to jemu kula rozorała mięśnie.

- Bardzo oberwałeś? – spytał ze ściśniętym gardłem.

- Spoko – z trudem odpowiedział Douglas. – To tylko draśnięcie. Do wesela się zagoi.

To ostatnie zdanie przeszło ich obu jak prąd. Spojrzeli sobie jednocześnie w oczy. Douglas spróbował się uśmiechnąć.

- Podobno nieźle strzelasz – powiedział. – Słyszałem, że potrafisz przestrzelić na pół podwójną porcję frytek, a tu takie pudło. Wątroba, jakbyś nie wiedział, jest trochę bardziej po prawej.

- Trafiłem w to, w co chciałem trafić. Chociaż teraz żałuję, że w ogóle trafiłem.

Twardzi faceci nie potrzebują zbyt wielu słów, żeby zrozumieć, o co im chodzi. Jednak jakichś tam potrzebują. Wtedy te słowa jeszcze nie padły.

- To na razie – powiedział Richard.

- Trzymaj się – odpowiedział Douglas.

Niewykorzystane okazje lubią się mścić, lecz tym razem nic takiego się nie stało. Nie minął tydzień, gdy los zetknął ich ponownie.

- Cześć, Richard!

- Cześć, Douglas!

W tych dwóch zdawkowych przywitaniach nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie to, że wypowiadający je mężczyźni celowali właśnie do siebie z pukawek. Nie tylko oni, zresztą. Pech chciał bowiem, że tego samego dnia w lokalu u Mamy Carter postanowili zabawić się zarówno członkowie bandy Richarda, jak i goście z gangu Douglasa.

Obie grupy, najogólniej mówiąc, nie przepadały za sobą. Korzenie tej niechęci sięgały podobno czasów, gdy Anglicy zdobyli Manhattan. Wówczas to jeden Anglik powiedział jednemu Holendrowi, żeby się gonił, i od tego się zaczęło. W jaki sposób ta dawna waśń przeniosła się na dwie współczesne, wymuszające haracze i napadające na banki grupy przestępcze, tego nikt nie wiedział, faktem jest jednak, że jedna z nich mówiła na siebie „Holendry”, a druga „Angole”, i że obie nienawidziły się wzajemnie jak wściekłe psy.

Sytuacja nie wyglądała więc różowo. Dwadzieścia wycelowanych w siebie łuf, i to w stosunkowo niedużym pomieszczeniu – po czymś takim Mama Carter musiałaby zmienić zakres prowadzonej działalności gospodarczej z burdelu na rzeźnię.

Widać nie za bardzo się jej to jednak uśmiechało, bo wyszła na środek i powiedziała:

- Spokojnie, chłopaki. Nie będziecie mi tu urządzić żadnego pieprzonego Pearl Harbor. To jest porządny lokal, choć oferuje niezbyt porządne usługi. Wyznaczcie po jednej osobie z każdego gangu i niech oni to załatwią.

Propozycja ta wszystkim przypadła do gustu, bo miała coś wspólnego z walkami psów, które w owym czasie były dość popularne. Poza tym, co sport, to sport. Zawsze to szlachetniejsza rozrywka, niż barbarzyńskie nawalanie do siebie z czego popadnie.

Atmosfera natychmiast się rozluźniła. Gnaty powędrowały za paski od spodni, kapelusze zostały zsunięte na tył głowy, zaczęto nawet przyjmować pierwsze zakłady. Powołano też zespół sędziowski, w skład którego weszli Mama Carter i szefowie obu band. Pozostało jeszcze najważniejsze - wybór zawodników.

- Hej, Douglas! - odezwał się ktoś. - Ty ostatnio miałeś z tymi frajerami na pieńku, ty idź!

- Ej, Rich! Czy to nie tobie jeden z tych fagasów przestrzelił łydkę? Masz teraz szansę się odegrać - dobiegł głos z drugiej strony.

Obie propozycje poparto głośnymi okrzykami aprobaty, po których Douglas i Richard zostali wypchnięci na środek. Rozsunięto stoły, przygotowując w ten sposób arenę do walki.

- Tylko starajcie się w siebie trafić! - powiedziała Mama Carter. - Nie chcę, żeby wasze spudłowane strzały narobiły mi tu jakichś szkód!

- Gdy powiem: „trzy”, wyciągacie sploty i walicie - odezwał się przywódca Holendrów. - Wygrywa ten, który przeżyje.

- Chwileczkę, dlaczego to ty masz powiedzieć: „trzy”? - zaperzył się szef Angoli.

- Bo Holendrzy byli tu pierwsi!

- Pierwsi byli tu Indianie.

- Ja powiem: „trzy” - ucięła dyskusję Mama Carter. - Raz, dwa, trzy!

W lokalu zapadła śmiertelna cisza. Nic się jednak nie wydarzyło. Douglas i Richard stali naprzeciw siebie, napięci jak struny, lecz żaden z nich nawet nie drgnął.

- Jak tam twój bok? - odezwał się wreszcie Richard. - Boli jeszcze?

- Da się przeżyć - odpowiedział Douglas. - A twoja noga?

- Już w porządku, dziękuję.

- Raz, dwa, trzy! - powtórzyła z naciskiem Mama Carter.

- Strzelaj pierwszy - powiedział Douglas. - I tym razem celuj w serce. I tak jest złamane.

- To tak, jak moje - odparł Richard.

- To co, giniemy?

- Giniemy.

Na te słowa wyjęli pukawki i zaczęli napażać. We wszystkich, tylko nie w siebie. No i wtedy się zaczęło! Angole wyciągnęli swoje sploty, a Holendrzy swoje. Po chwili nikt już nie wiedział, do kogo strzela, ani dlaczego.

Gdy ostatnia kula z ostatniego magazynka została już wystrzelona, oczom tych, którzy przeżyli, ukazał się następujący widok: na środku sali, we mgle prochowego dymu, wśród jęków i przekleństw rannych, wsparci o siebie plecami siedzieli Richard i Douglas. Trafiła ich ta sama kula, kula, która za jednym strzałem przebiła dwa ciała. Z obu ust sączyła się krew.

- Cholerny peda! - powiedział Richard.

- Pieprzona ciota - odpowiedział Douglas.

## ABSOLUTNY PRZYPADEK

Choćbyś nie wiem jak był ostrożny i nie wiem jak przewidujący, twoim życiem i tak rządzi przypadek. Na przykład taki: idziesz oto ulicą, aby podjąć z banku pieniądze. Za tę forszę chcesz sobie kupić gajer, żeby w ten sposób wystrojony, udać się do niejakiej Amy i spytać ją, czy ewentualnie nie miałyby ochoty zostać twoją żoną. Wszystko wydaje się być w najprzenajlepszym porządku. Słońce świeci, Amy jest już ugadana, cała ta szopka z kwiatami i klękaniem – to w zasadzie tylko formalność. Aż tu nagle, ni stąd ni zowąd, wredne Japońce atakują Pearl Harbor, robi się straszne zamieszanie, wszyscy biegną, jakby im kto w gacie wrzątku nalał, a ty, wiedziony patriotycznym uniesieniem, zamiast do Amy, trafiasz na komisję poborową, gdzie zaciągasz się do armii, by kilka miesięcy później zginąć na Atolu Eniwetok, koniec, kropka.

I co, mogłeś to przewidzieć? Nie mogłeś. Mogłeś temu zaradzić? Nie mogłeś. Co prawda, nikt ci nie kazał tak od razu pchać się do woja. Mogłeś spokojnie, nie zważając na głos ojczyzny w potrzebie, iść dalej do swojej Amy, niczym ostatnia łajza bez uczuć i honoru. Niby tak, ale sami przyznacie, że wyjeżdżać ze swoim osobistym szczęściem w takiej chwili, byłoby co najmniej nie na miejscu. Gdzieś tam, na dalekim Pacyfiku pancerniki idą jeden po drugim na dno, „Arizona” tonie, „Oklahoma” płonie, „Nevada” przewraca się do góry dnem, a ty miałbyś w tej sytuacji kupować kwiaty i pierścionek? To znaczy, ja bym tak zrobił, ale tobie bym się dziwił. A że potem w wyniku tej szlachetnej i ze wszech miar godnej podziwu decyzji, japoński mózdzierz urywa ci obie nogi i głowę, to już zupełnie inna para kaloszy i w zasadzie też przypadek, bo przecież nie wszystkim w twoim oddziale urwał.

To jednak i tak nic, w porównaniu z tym, co spotkało niejakiego Philla Frankamera, zwanego Głębem. Phill od dziecka był pechowy. Zaczęło się od tego, że urodził się jako drugi syn swoich rodziców. A jego starzy mieli w sumie trójkę dzieci: jego, jego starszego brata Luisa i najmłodszą, słodką Suzan. Pozycja środkowego dziecka jest ze wszech miar najgorsza. Rodzice kochali Luisa, bo był pierworodny, kochali Suzan, bo była najmłodsza, a dla Philla tej miłości już nie za bardzo starczało. Pętał się więc po domu, przeganiany z kąta w kąt, a to przez ojca urzędnika w magistracie, a to przez matkę gospodynię domową i dorywczą krawcową, a to przez starszego brata, któremu zawsze przeszkadzał, a to przez rozwydrzoną już od najmłodszych lat Suzan. Był jak mebel, którego nie ma gdzie postawić, ale szkoda go wyrzucić. Jego rodzice byli tak zajęci pozostałymi dziećmi, że skąpili mu nie tylko czułości i zainteresowania, ale nie obdarzali go nawet nadziejami i planami dotyczącymi jego przyszłości. Luis – wiadomo – miał być senatorem, a najlepiej prezydentem. Suzan – gwiazdą filmową, ewentualnie żoną milionera. A Phill? Właśnie... jest jeszcze Phill...

Z każdej sytuacji jest jednak jakieś wyjście i Phill takie wyjście znalazł. Zauważył mianowicie, że rodzice tylko wtedy zaczynają dostrzegać jego obecność, gdy coś zbroi. To zainteresowanie było, co prawda, krótkotrwałe, do tego okupione krzykami, a czasami nawet i biciem, ale dla przezroczyściego dziecka, jakim był Phill, nawet to było już coś. Wreszcie wzbudzał jakieś uczucia, może nie była to miłość, ale przynajmniej coś równie intensywnego.

Strategia ta wkrótce przerodziła się w nawyk, co tym bardziej utwierdziło jego rodziców w przekonaniu, że prócz genialnego Luisa i uroczej Suzan, w zasadzie nie mają już więcej godnych uwagi dzieci. To trzecie coś, co pojawiała się codziennie na śniadaniu, było co najwyżej marną podróbką prawdziwego syna, jakimś gnomem, który zagnieżdżył się w ich domu tylko po to, żeby przyprawiać ich o palpitacje serca.

W tej miłej, rodzinnej atmosferze minęło dwadzieścia kilka lat. Najstarszy z rodzeństwa, Luis, mozolnie piął się po szczeblach kariery, której pierwszym stopniem była posada sprzedawcy w sklepie rybnym „U Pesciego”. Słodka Suzan związała się z jakimś Irlandczykiem, który, jak głosiły plotki, był z nią związany o wiele mniej. Phill zaś robił to, czego uczył się przez całe swoje dotychczasowe życie, czyli sprawiał problemy.

Głównie jednak niestety, sobie, gdyż, jak to już zostało wyżej wspomniane, od dziecka był pechowy. Jego pech przejawiał się w zasadzie we wszystkim. Jeśli przed sprawdzianem w szkole nie nauczył się tylko jednej, jedynej rzeczy, to mógł być pewny, że tego właśnie będzie ów sprawdzian dotyczył. Jeśli na zabawie podeszła do niego jakaś dziewczyna, to tylko dlatego, że za jego plecami stała waza z ponczem. Tak było za każdym razem.

Nałóg rozrabiania połączony z pechem to doprawdy diabelska kombinacja, Phill zaś potrafił wycisnąć z niej wszystkie możliwości. Miał niezwykłą umiejętność pakowania się w kłopoty w sytuacjach, z których każdy inny wyszedłby spokojnie obronną ręką. Wystarczyło, że kopnął leżącą na ulicy butelkę i już ścigał na siebie nieszczęście. Myślicie, że przesadzam? To posłuchajcie tego.

Było to chyba w czerwcu. Tak, w czerwcu, bo w sierpniu Martwy John miał urodziny, a to było jakieś dwa miesiące wcześniej. Upał był, jak na jakiejś Kamczatce. Człowiek ledwo się budził, a już był spocony jak mysz. Dla chłopaków, którzy cenili szyk i elegancję, nastąpiły ciężkie czasy. Kapelusz, garnitur, a pod nim jeszcze kamizelka – to naprawdę nie był strój na tę porę roku. Cóż było jednak robić? Jeśli nie chciałeś nikogo obrazić, tak właśnie musiałeś iść na robotę. Teraz, jak słyszałem, dopuszcza się chodzenie na napady w szortach – za moich czasów było to nie do pomyslenia. Gdybyś nie miał krawata, nie wpuściliby cię nawet do banku.

Nasze spluwy rdzewiały wtedy od potu. Ważyły też dwa, trzy razy więcej, niż zazwyczaj. Nic więc dziwnego, że wszelkie sposoby walki z tym skwarem były bardzo w cenie. W całym Nowym Jorku nie było chyba ani jednego nierozkręconego hydrantu. Włoscy sprzedawcy lodów robili wtedy interes życia.

I właśnie przez te lody Phill wpakował się w niezłe bagno.

Chciał, niby nic, zjeść sobie loda. Ale nie miał pieniędzy. W Nowym Jorku jednak taka przeszkoda zazwyczaj nie stanowi wielkiego problemu. Są bowiem różne sposoby jej ominięcia. Możesz wyciągnąć spluwę i powiedzieć, jakkolwiek by to śmiesznie nie brzmiało, „lody albo życie!”. Możesz zaproponować lodziarzowi ochronę, w zamian za haracz w postaci czterech gałek i wafla. Możesz, wreszcie, napaść na znajdującą się w pobliżu księgarnię i za

uczciwie zarobione w ten sposób pieniądze kupić sobie lody, jak praworządny obywatel. Phill jednak nie skorzystał z żadnej z tych możliwości. Phill lubił broić, więc także tym razem postanowił zachować się niegrzecznie. Podszedł do sprzedawcy i powiedział:

- Hej, Guido! Słyszałem, że wszyscy Włosi to straszne skąpiradła, co nigdy nikomu nic nie dadzą za darmo!

Niestety, także i tym razem Phill miał pecha, bo sprzedawca odpowiedział:

- Też tak słyszałem. Na szczęście, nie jestem Włochem i nie mam na imię Guido. Z jednym tylko trafiłeś, kolego - rzeczywiście nigdy nikomu nic nie dałem za darmo.

Na taki obrót sprawy Phill nie był przygotowany. Nie miał planu „B”, nie posiadał też umiejętności rzucenia szybkiej, błyskotliwej riposty w rodzaju: „ale śmierdzi ci z gęby, jakbyś był Włochem!”, zamiast więc odparować skurczybykowi, aż by mu w pięty poszło, speszył się tylko, poczerwieniał i odszedł, mrużąc coś niewyraźnie pod nosem.

Przez moment udawał, że ogląda książki na wystawie położonej obok księgarni. Jedna nawet go zainteresowała. Była to najnowsza powieść Ernesta Hemingwaya „Śniegi Kilimandżaro”. Po chwili jednak, cieknąca po karku strużka potu przypomniawszy mu, po co tu przyszedł.

- A jak ma pan na imię? - zagadał.

- Chester - odpowiedział sprzedawca. - Chciałbyś pewnie loda, co?

I tu znów udało mu się Philla zaskoczyć, bo ten, zamiast zaśmiać mu się w twarz i zaproponować, żeby wsadził sobie swoje lody wiadomo gdzie, zamrugał tylko oczami, przełknął ślinę i odparł:

- Tak.

To jedno słowo sprowadziło na Philla nieszczęście. Chester uśmiechnął się bowiem tylko i rzucił:

- Skocz mi po piwo do starego Heintza, to dam ci gałkę. Każ zapisać na mój rachunek.

W tym momencie Phill mógł się jeszcze uratować. Mógł plunąć głupiemu sprzedawcy lodów w twarz, przewrócić jego budę i odejść, wypowiadając kilka celnych uwag na temat prowadzenia się jego żony i matki. Mógł to zrobić, ale nie zrobił. Lata wysługiwania się starszemu bratu, który zwykł wyręczać się Phillesem przy każdej okazji, zrobiły swoje.

- Już lecę - odpowiedział więc Phill i pognął na drugą stronę ulicy. Za moment był z powrotem.

Po wypiciu piwa sprzedawca był tak zadowolony, że zamiast jednej, dał Phillowi dwie gałki, a po chwili wahania dołożył nawet trzecią. Phill, ma się rozumieć, też był zadowolony. Takie obopólne zadowolenie to nic dobrego. Znacznie lepiej, gdy zadowolona jest tylko jedna strona, a druga upokorzona i wściekła leży przed tą pierwszą w pyłe. Tak jest zdrowiej i uczciwiej. Gdy zadowoleni są wszyscy, z daleka pachnie to jakimś dziadostwem.

- Przyjdź jutro - powiedział Chester. - Może też będę miał ochotę na piwo?

Więc Phill przyszedł. Potem następnego dnia i jeszcze następnego. Zaczęło się od piwa, a skończyło na tym, że Chester, któremu nie chciało się dłużej stać za ladą przez cały dzień w tym upale, dał Phillowi białą czapkę i fartuch, i zrobił go swoim pomocnikiem. Phill, który od dziecka lubił broić, także i tym razem nie usiadł spokojnie na miejscu. Zamiast stać znudzony i nienawidzić w duchu wszystkich klientów, zaczął organizować jakieś promocje, loterie, rozszerzył asortyment o ciastka i precele. Wkrótce firma Lody Chester stała się



potentatem w branży lodziarskiej. Po kilku latach stary Chester, który nie miał własnych dzieci, przekazał wszystko Phillowi, a sam dołączył do grona wesołych emerytów na Florydzie.

Patrzyliśmy na to wszystko z mieszaniną niesmaku i politowania. Phill mógł do czegoś dojść, miał warunki. Nieźle strzelał, był obrotny i lubił broić. Te trzy cechy mogły go zaprowadzić naprawdę wysoko. A tak? Szkoda gadać... Był bogaty, ale co z tego? Pieniądze zarobione uczciwie to jak seks z prostytutką. Niby wszystko się zgadza, ale niesmak jakiś pozostaje.

Któregoś dnia, wiele lat później, ojciec Philla, przeglądając poranną gazetę, natknął się na zadziwiającą wiadomość. Długo wpatrywał się w zdjęcie na pierwszej stronie, wreszcie powiedział:

- Słyszałaś? Nasz Phill został senatorem!
- Matka ze zdziwienia aż upuściła tosta.
- Nasz Phill?! Niemożliwe... Takie byle co?
- Absolutny przypadek - zawyrokował ojciec.

## BANDA DZIKIEGO KENA

Dziki Ken tak naprawdę nazywał się Kentucky Johnson. Takie głupie imiona nadają czasem swoim dzieciom wieśniaki ze Środkowego Wschodu. Ken przyjechał do Nowego Jorku, bo, jak sam mówił, chciał wreszcie zobaczyć jakieś miasto. Wybrał Nowy Jork, bo Nowy Jork jest największy. „Nie będę przecież jechał do jakiegoś pieprzonego Louisville – powiedział rodzicom. – To tak, jakby chcąc zobaczyć tygrysa, pójść do sąsiadów popatrzeć na kotka.” Na słowo „tygrys” jego matka tak się przestraszyła, że trzeba było ją ocucić wiadrem wody, a ojciec zdjął z poważną miną ze ściany starą strzelbę, z którą jeszcze dziadek Kena polował na bizona, i powiedział: „Kula z tej zabawki urywa psu łeb. Wiem, bo sprawdzałem. Jak spotkasz kiedyś tygrysa, znajdź jakiegoś psa i odstrzel mu głowę. Gdy tygrys to zobaczy, dwa razy się zastanowi, zanim do ciebie podejdzie.”

Ken wziął więc strzelbę, założył najlepszy ze swoich wieśniackich kapeluszy, najlepszą z wieśniackich koszul, najlepsze z wieśniackich butów i ruszył do Nowego Jorku. Szedł parę miesięcy, bo dopiero w Richmond dowiedział się, że istnieje coś takiego jak kolej, i że tę samą drogę można by pokonać pociągiem. W końcu dotarł jednak do celu. Ci, którzy go wtedy wiedzieli, opowiadali, że przez trzy dni stał z rozdziawioną gębą, gapiąc się na panoramę Manhattanu. Przechodnie brali go za reklamę knajpy i nawet szukali czegoś takiego w okolicy. Podobno obudził go dopiero pewien chłopiec, który podszedł, pociągnął go za rękaw i spytał: „Proszę pana, gdzie sprzedają te hamburgery, co pan je reklamuje?”. Ken zamknął wtedy usta, kopnął chłopaka z całej siły w zadek i wkroczył do miasta.

Ken nie od początku był dziki. Jego przydomek wziął się stąd, że strasznie się wściekał, gdy żartowaliśmy sobie z jego prawdziwego imienia. Mówiliśmy: „Hej, Arizona, chodź tu!”. Albo: „Patrzcie, idzie South Dakota!”. Kenowi wtedy piana występowała na usta, robił się czerwony i krzyczał: „Na imię mam Kentucky! Ken-tu-cky! Czy to tak trudno zapamiętać?”. My wtedy śmiało się jeszcze bardziej i mówiliśmy: „A co to, do diaska, za imię: Kentucky?”. „Normalne, amerykańskie!”. „Ta, normalne... A nazwałbyś swojego syna Massachusetts, albo Connecticut?”. „Nazwałbym!”. „Ta, nazwałbyś... Na pewno byś nie nazwał!”. „Zobaczycie, że kiedyś nazwę!”.

W końcu stanęło na Ken. A dokładnie: Dziki Ken. Co prawda, pierwsza propozycja brzmiała „Wieśniak Ken”, ale Ken wpadł na to w taki dziki szal, że zmieniliśmy mu ksywę na „Dziki”. Tak to właśnie jest z wieśniakami. Nie mają do siebie dystansu. Ja, na przykład, mam i rozwałę każdego, kto twierdzi inaczej.

Ken od razu po przybyciu do Nowego Jorku postanowił założyć swoją bandę. Mówił, że tam, skąd pochodzi, miał jedną i że głupio mu teraz tak bez bandy. Złośliwi mówili, że ta banda składała się z Kena, jego trzech sióstr i psa. I że to wcale nie Ken był jej szefem.

Jak było, tak było, nie nam to oceniać. Pewne jest jedno – któregoś dnia Dziki Ken wkroczył do lokalu Mamy Carter i powiedział:

- Zakładam bandę. Kto chce się zapisać?

Spojrzelismy po sobie rozbawieni. Pierwszy odezwał się Billy Skubaniec.

- Ostatni raz podobną propozycję usłyszałem, gdy miałem dziesięć lat. I też nie skorzystałem.

- W Nowym Jorku załatwia się to trochę inaczej. - Przejął pałeczkę Harry Indianiec. - Żeby założyć własną bandę, trzeba mieć charyzmę, osobowość i doświadczenie zawodowe. No i być obecnym na rynku od co najmniej kilku lat. A ty wchodzisz tu jak do obory i, jak gdyby nigdy nic, mówisz: „chcę założyć bandę”?

- Tak - odpowiedział niezrażony Ken.

- A co mielibyśmy niby w tej twojej bandzie robić? - spytał Chuck Mańkut.

- Napadać na banki! - wypalił Ken.

Po sali przeszedł cichy śmiech.

- Tu wszyscy napadają na banki - odezwał się siedzący pod ścianą Martwy John. - A przynajmniej tak twierdzą, bo w praktyce często kończy się na ściąganiu haraczu od gości sprzedających prele na ulicach.

- To co, zapisuje się ktoś? - rzucił spod baru Mleczny Bob.

Odpowiedzią był głośny rechot.

- Tak? - poczerwieniał Ken. - To zobaczycie!

I zobaczyliśmy. Kenowi udało się w końcu namówić parę osób: O'Hare; jakichś dwóch Polaków, którzy myśleli, że w ten sposób łatwiej dostaną obywatelstwo; Pannę Kitty, która leciała na młodych chłopców, więc taki wiejski byczek jak Ken byłby w stanie namówić ją do wszystkiego; i jeszcze paru innych, których imion i ksyw nie ma nawet sensu przytaczać. Z tak oto skompletowaną grupą przestępczą Dziki Ken postanowił rzucić Nowy Jork na kolana.

Zaczął z grubej rury. Postanowił napaść na Miejskie Wodociągi. Spytacie pewnie, co chciał tam ukraść? Nic. Ken był formalistą, to znaczy bardziej zależało mu na formie, niż na treści. Pieniądze go nie obchodziły, chciał po prostu, żeby było fajnie.

Kiedy go pytaliśmy: „Ken, gdzie trzymasz te zrabowaną wodę? W wannie?”, Ken odpowiadał: „Odwalcie się. Było super. Szkoda, że nie widzieliście, jak serią z Thompsona rozprułem taką wielką cysternę!”.

Tak wyglądały jego wszystkie skoki. Kiedyś napadł na Most Brooklyński. To była naprawdę brawurowa akcja! Ken i jego banda podjechali na miejsce dwoma czarnymi fordami. Jeden stanął od strony Manhattanu, drugi przy wjeździe na Brooklyn. Ludzie Kena wyskoczyli z nich i błyskawicznie opanowali cały obiekt. Ken kazał rozstawić dwa posterunki, każdy z innej strony mostu. Myślicie pewnie, że rabował przejeżdżające samochody? Nic z tych rzeczy. Zatrzymywał tylko auta i mówił: „Tu Banda Dzikiego Kena. Witamy na Moście Brooklyńskim. Życzymy przyjemnej podróży!”.

Taki właśnie był Ken. Uwielbiał spektakularne przedsięwzięcia. Kiedyś rozstawił barykadę na trasie parady z okazji Dnia Świętego Patryka. Głupi Irlandczycy po raz pierwszy od iluś tam lat musieli iść inną drogą!

Ken nie byłby sobą, gdyby nie uwielbiał strzelanin. Podobno tam, skąd pochodził, czyli w Krainie Wieśniaków, jest to jedna z najpopularniejszych rozrywek. Słyszałem, że chodzą tam na to całymi rodzinami, jak u nas na mecze bejsbola. Jeśli to prawda, muszą się tam kiedyś wybrać. Bardzo lubię spędzać czas w rodzinnej atmosferze.

Ken, w każdym razie, bardzo był na strzelaniny napalony. My tu, w Nowym Jorku, też lubimy sobie postrzelać, to wiadomo, ale traktujemy to raczej jako przyjemny, bo przyjemny, ale mimo wszystko jednak obowiązek. Strzelaninę się urządza, gdy ktoś do kogoś coś ma, albo przy okazji jakiejś roboty. Ken lubił sobie postrzelać dla samej radości strzelania. Nie potrzebował powodu, twierdził nawet, że psuje on całą zabawę. Mówił: „Jak strzelasz się z kimś, kogo nie lubisz, albo kto ci nadepnął na odcisk, robisz się za bardzo nerwowy, skupiasz się na celu, a nie na samej czynności. Wtedy popełniasz błędy i gubisz styl. Spinasz się, jak podczas pierwszego wypadu na dziwki. Gdy strzelanina jest bezinteresowna, to co innego. Jesteś odprężony, wyluzowany, wesoły. Można też przerwać na chwilę i napić się piwka. Po prostu czysta radość!”.

Dlatego też Ken często wpadał do Mamy Carter albo do „Konstytucji” i już od progu krzyczał: „Cześć, chłopaki! Postrzelamy sobie trochę?”. My wtedy na to, że nie, że nie dzisiaj, że nam się nie chce, ale on miał w sobie tyle entuzjazmu, że czasami dawaliśmy się namówić. Wtedy normalnie – ustalamy gdzie, kto z kim, czy z thompsonami, czy tylko broń krótka, nas jest za dużo, to jeden przechodzi do was – i naparzamy. Tak, to były piękne czasy! Teraz, żeby sobie tak postrzelać, trzeba by chyba wystąpić o pozwolenie do Departamentu Obrony.

To zamiłowanie do strzelanin jednak Kena zgubiło. Myślicie, że oberwał w końcu kulkę? Nie, nie o to chodzi. Nie zachował należytej ostrożności podczas obchodzenia się z bronią. Ja, za każdym razem, gdy idę na strzelaninę, wpycham sobie w prawe ucho starą gumę do żucia. Ken tego nie robił i całkiem od tych wystrzałów ogłuchł. Nie usłyszał więc, gdy pewien wielki Afrocwaniak podszedł do niego i spytał, czy nie da mu przypadkiem dolara na piwo. Ken nie zareagował, a jego rozmówca wziął to za syndrom szerzącego się w zastraszającym tempie w społeczeństwie amerykańskim rasizmu i zatłukł go na miejscu swoją wielką piąchą. Tymczasem było to nieporozumienie, bo Ken tego dnia nikogo jeszcze nie napadł i nie miał przy sobie gotówki. Nawet więc, gdyby usłyszał, i tak nie byłby w stanie spełnić tej prośby. Mógłby co najwyżej złapać jakiegoś psa i odstrzelić mu łeb, a wtedy jego spragniony współobywatel dwa razy by się zastanowił, zanim podszedłby do niego ze swoim wielkim jak bochen kułakiem.

## CENTRAL PARK

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o Central Parku, zawiera się w jego nazwie. Rzeczywiście jest to park i rzeczywiście znajduje się w centrum. Nowy Jork to miasto prostych ludzi, jak coś wygląda jak tapczan, mówimy na to tapczan, a nie, dajmy na to, szezłag. W Europie to co innego, tam wystarczy kilka drzewek i ławka i już nazywają to „Park imienia Króla Jakiegoś tam”. Zupełnie bez sensu, jak mówił pewien mój znajomy.

Właśnie o nim chciałem wam dziś opowiedzieć. To dziwna historia, nie wiadomo, czy smutna, czy wesoła. Przyjmijmy jednak, że wesoła. Jak powiadał Jack, bo o nim będzie mowa, gdy masz do wyboru – śmiać się czy płakać – zawsze lepiej wybrać śmiech.

Jack w ogóle był dość wesołym gościem, choć życie miał niezbyt zabawne. Tak to często bywa, że ludzie, którzy dostają od losu po tyłku, śmieją się i żartują, a ci, którym idzie jak po maśle – mają rodzinę, dobrą pracę i pękate konto w banku – ci z kolei, chodzą z nosem zwieszonym na kwintę. Dlaczego tak jest, nie wiadomo. Jack twierdził, że to przez przedmioty. Jeżeli ktoś ma ich za dużo, to go te przedmioty przygniatają do ziemi, a jak ktoś nie ma ich prawie wcale, to chodzi lekki i wesoły. Czy to prawda, nie mam pojęcia. Ze swojego doświadczenia mogę potwierdzić, że faktycznie lepiej nie nosić za paskiem zbyt ciężkiej spluwy. Na początku jest oczywiście super. Gdy masz przy sobie taką armatę, czujesz się naprawdę niezłym gościem. Ale połóż sobie z taką cegłą pół dnia po mieście, poczuj, jak sześciocalowa lufa czterdziestki czwórki coraz głębiej wbija ci się w udo, a zrozumiesz, skąd się bierze popularność modeli kaliber trzydzieści osiem.

Jack, w każdym razie, na nadmiar przedmiotów nie narzekał, podobnie jak na nadmiar ubrań. Wszystko, co miał, zmieściłoby się w małym, drewnianym wózku, jednym z tych, które można wypożyczyć do wozienia dzieci w nowojorskim Zoo. Zresztą mieściło się, bo Jack z takim właśnie wózkiem podróżował.

Śmiał się, że jest wynalazcą campera. „Dziś – mówił – to bardzo popularna rozrywka. Wynajmuje się samochód, w którym jest łóżko, kuchenka i prysznic, i jeździ się nim po Stanach. To bardzo wygodne, bo możesz przenocować wszędzie tam, gdzie się zatrzymasz. Ja tak robię od lat, tyle że bez samochodu.”

Jack, jak już się pewnie domyśliliście, był włóczęgą i mieszkał w Central Parku. Miał w jego obrębie kilka rezydencji, lecz jego ulubiona mieściła się tam, gdzie teraz stoi pomnik jakiegoś polskiego króla z dwoma skrzyżowanymi nad głową mieczami. Jack twierdził, że wybierając to lokum, zrobił interes życia. „Widzicie te budynki? – pokazywał na domy wznoszące się na skraju parku. – Mieszczą się w nich najdroższe apartamenty w Nowym Jorku. Z kolei najtańsze znajdują się tu, w tych krzakach. To zaledwie kilkaset metrów! Powściągnąwszy swoje ambicje i wybierając mieszkanie tu, a nie tam, zaoszczędziłem kilka

milionów dolarów!". „A gdzie je masz, Jack?” – pytaliśmy się ze śmiechem. „Dobrze schowane – odpowiadał i mrugał porozumiewawczo. – Zapewniam was, że nikt ich nigdy nie znajdzie.”

Na świecie nie brakuje jednak idiotów i jeden z nich usłyszał żart Jacka. Ubzdurał sobie, że Jack rzeczywiście ukrył gdzieś kilka baniek i postanowił je odszukać. Nazywał się, bodajże, Garry Scyzoryk. Jego ksywa wzięła się stąd, że po usłyszonym kawale składał się ze śmiechu na pół, jakby miał w brzuchu zawias. Jak widać jednak, nie każdy z tych dowcipów rozumiał. Jest taki rodzaj kretynów, którzy zaczynają się śmiać, zanim jeszcze zdążysz powiedzieć puente. Zwijają się ze śmiechu, omal nie tarzają po podłodze, a kiedy skończysz, robią głupią minę i mówią „nie rozumiem...”. Taki właśnie był Garry. Wyjątkowy małoś.

Garry zaczął spokojnie. Chodził za Jackiem i sprawdzał, gdzie są jego ulubione miejsca noclegowe. Jack to oczywiście zauważył. Mówił: „Chyba mam adoratora. Łazi za mną, pewnie jest zakochany. Nie wiem, może się zdecyduje? Co prawda, nie gustuję w mężczyznach, ale z drugiej strony – kobiety nie gustują we mnie, więc co mi szkodzi?”

Wiedzieliśmy oczywiście, że żartuje. Jack był przeciwnikiem wszystkich związków, nie tylko homoseksualnych. „Mieszkałem kiedyś z kobietą – opowiadał. – To było piekło. Ciągle czegoś ode mnie chciała. Ja chciałem od niej tylko jednego, ale i z tym jednym był problem. Zanim zrobiłem wszystko to, o co jej chodziło, nie miałem już ochoty na to, o co mi chodziło. Ciekawe, czy między dwoma facetami jest podobnie?”. I dalej, puszczając oko do Garry'ego.

Garry, ponieważ nie znał się na żartach, strasznie się tego puszczania oka przestraszył. „Z tym gościem jest coś nie tak – mówił. – Nie dość, że chodzi jak łach, mimo iż jest obrzydliwie bogaty, to jeszcze zaczepia mężczyzn. Pewnie od tego bogactwa mu się tak poprzestawiało. Może jak go obrobisz, to mu się polepszy.”

Garry, jak każdy idiota, lubił się chwalić, wkrótce więc połowa jego kumpli wiedziała, że ma zamiar spełnić ten dobry uczynek. Widocznie jednak oni także byli uczynnymi i współczującymi ludźmi, bo wszyscy, jak jeden mąż, postanowili pomóc Garry'emu uwolnić Jacka od przygniatającego go brzemienia pieniędzy. Już więc niedługo zamiast jednego idioty, za Jackiem pętał się ich cały tabun, a wszyscy przejęci misją pomocy bliźniemu.

Jack mówił: „Nie wiem, co się dzieje. Albo moja atrakcyjność fizyczna niepomiarnie ostatnimi czasy wzrosła, albo to są psy, a ja jestem kielbasą. Nie mogę się wprost ruszyć, żeby nie szedł za mną orszak młodych, elegancko ubranych mężczyzn z bronią. Chyba nawet prezydent nie ma tak licznej obstawy. Tylko dlaczego ciągle grzebią w moich rzeczach?”

Poszukiwania te nie dawały jednak rezultatu. W końcu Garry powiedział: „Cwany jest. Nie wygląda na to, ale jest cwany. Moim zdaniem, nie nosi tej forsy przy sobie, bo jest jej za dużo. Nie ma jej także w żadnym z miejsc, w których nocuje. Zakopał ją, mówię wam, jak nic ją zakopał!”

Następnego dnia Central Park pokrył się siecią wykopów. Garry i reszta jego idiotów, zaopatrzeni w szpadle, którym obcięli w połowie trzonki, żeby mieściły się pod płaszczami, przechadzali się z poważnymi minami po alejkach, i gdy tylko nikt nie widział, rzucali się w krzaki, by ryć w nich jak krety. Większość z nich po raz pierwszy w życiu miała styczność z prawdziwą, fizyczną pracą. Kilku tak się to spodobało, że najęli się do kopania rowów i zostali porządnymi ludźmi. Reszta jednak machała dalej szpadłowymi obrzynami, przepokopując Central Park wzdłuż i wszerz, niczym dziki w poszukiwaniu żółędzi.

Policja zresztą rzeczywiście przez długi czas podejrzewała te niebezpieczne zwierzęta. Pewien biolog, sprowadzony specjalnie z Uniwersytetu Stanu Delaware, potwierdził, że faktycznie chodzi o dziki, i to wyjątkowo wielkie. Wysnuł nawet teorię, że w Nowym Jorku pojawiła się nowa i bardzo groźna ich rasa, która, żywiąc się miejskimi odpadami i żyjąc w zanieczyszczonym środowisku, zmutowała do potwornej postaci. Wątek ten natychmiast podchwyciła prasa – serią demaskatorskich i oskarżycielskich artykułów zmuszono władze miasta do zdecydowanego działania.

Na terenie Central Parku, po raz pierwszy od kilkuset lat, pojawili się myśliwi. Zaopatrzeni w długie flinty, w bobrowych czapach i kurtkach z jeleniej skóry, czaili się w chaszczach, strasząc załatwiający swoje potrzeby psy i oddający się amorom pary. Garry i jego kumple byli przekonani, że są to poszukiwacze złota z Alaski, którzy przybyli, by sprzątnąć im łup sprzed nosa. Przypuszczenia te potwierdziły się, gdy kilku kopaczy złapało się we wnyki. Garry postanowił zemścić się i w nocy, gdy myśliwi spali przy ognisku, pociął im toboły szpadłami. Rano myśliwi obwieścili dziennikarzom, że zostali zaatakowani przez dziki. Na dowód pokazywali swoje porozcinane kłamoty, mówiąc: „Nigdy jeszcze nie spotkaliśmy się z dzikami, które mają takie wielkie i ostre kły. Proszę spojrzeć, ten ślad ma co najmniej osiem cali! To nie dziki, to jakieś monstra!”

Na Nowy Jork padł blady strach. Zamknięto szkoły i wprowadzono godzinę policyjną. W Central Parku pojawiła się Gwardia Narodowa. Czołgi Sherman stanęły we wszystkich jego strategicznych punktach, niszcząc i tak już rozkopane trawniki. Na wznoszącym się pośrodku parku zameczku rozstawiono gniazda karabinów maszynowych.

Jack w tym czasie przebywał w odwiedzinach u kolegi w parku na Placu Waszyngtona. Gdy wrócił, bardzo się zdziwił, widząc zasieki z drutu kolczastego i worki z piaskiem. „Co się stało?” – spytał uzbrojonego po zęby gwardzistę. „W parku pojawiły się dziki – odpowiedział tamten spod opadającego na oczy hełmu. – To jakaś nowa, zmutowana rasa. Mają wielkie zęby i nauczyły się posługiwać bronią. Wczoraj strzelały do kapitana Sandersa”. „Fiu, fiu! – odparł na to Jack. – A ja tam zostawiłem rzeczy...” „Może pan wejść, ale na własną odpowiedzialność. Zresztą nie sądzę, żeby panu coś zrobiły. Hodowałem kiedyś świnię i wiem, że nie znoszą one zapachu alkoholu. Myślą pewnie, że to jakaś trucizna. A od pana, za przeproszeniem, śmierdzi na milę.” „W takim razie wszyscy się napijmy – uśmiechnął się Jack. – Będziemy wtedy bezpieczni”.

Gwardzista mruknął coś pod nosem i podniósł szlaban. Jack zsalutował mu jak należy i dziarskim, wojskowym krokiem wmaszerował do Central Parku. Jedyłą jego bronią przeciw hordom okrutnych, drapieżnych bestii był zapach przetrawionego, taniego burbona i wewnętrzne, bardzo silne przekonanie, że pijakowi nic złego nie ma prawa się przytrafić.

Park rzeczywiście przedstawiał sobą żaloszny widok. Rozkopane trawniki, połamane drzewka i krzewy, zryte gąsienicami czołgów ścieżki – tak właśnie wyglądało miejsce, które, co tu dużo mówić, było przecież jego domem. Jackowi zrobiło się smutno. Tak smutno, że gdyby miał przy sobie jeszcze tę wczorajszą butelkę, to by się z niej napił.

Nawet w smutku może jednak być coś przyjemnego i Jack o tym doskonale wiedział. Zamiast więc popaść w prawdziwe przygnębienie, pogrążył się w całkiem miłej melancholii, wdychając raz za razem i szepcząc do siebie: „o rany!”, „o matko!” oraz „o, i tu zniszczone!”. W

zachowaniu tej kruchej, duchowej równowagi pomagało mu niewątpliwie to, że był wciąż jeszcze trochę pijany.

Te sentymentalne wzruszenia zostały jednak w pewnej chwili dość brutalnie przerwane.

- Tu jesteś, cwaniaczku! - usłyszał nagle.

Postać, która przed nim stała, tylko w najgrubszych zarysach przypominała człowieka. Brudne, upaprane ziemią ubranie, kilkunastocentowy zarost i podkrążone, błyszczące szaleństwem oczy - Garry Scyzoryk, bo on to był we własnej osobie, trochę się przez te ostatnie dni zapuścił.

- Do mnie pan mówi? - zdziwił się Jack.

- A do, kuźwa, kogo? Widzisz tu jeszcze jakiegoś frajera? Dawaj tę forszę, bo dość mam już tej całej zabawy!

- Jaką forszę? - zdziwił się jeszcze bardziej Jack.

- Jak to jaką?! Jak to jaką?! To ja tu od tygodnia ryję w ziemi, sypiam po krzakach, użeram się z debilami w futrzanych czapach, a ten się pyta: „jaką forszę”?! Te miliony, które tu gdzieś zakopałeś! Gdzie je masz?!

- Bardzo pana przepraszam, ale musiał mnie pan z kimś pomylić - z niezmaconym spokojem odparł Jack. - Gdybym miał choć jeden milion, nie mówiąc już o kilku, nie mieszkałbym przecież w Central Parku. Już dawno kupiłbym sobie apartament w jednym z tych pięknych domów, na które codziennie patrzę.

- Nie próbuj mnie wykiwać, cwaniaczku! Sam słyszałem, jak mówiłeś, że zaoszczędziłeś na czymś parę baniek, i że masz je dobrze schowane. Tak dobrze, że nikt ich nigdy nie znajdzie!

- Nikt ich nie znajdzie, bo nie istnieją. To był taki żart. Człowiek w mojej sytuacji życiowej czasami osładza sobie egzystencję, żartując ze swojego położenia. Bardzo mi przykro, proszę pana, ale cały swój majątek przepiłem wczoraj z kolegą.

Co było dalej, pewnie się domyślacie. Jack, można powiedzieć, i tak wyszedł z tego obronną ręką. Złamane żebro i obity trzonkiem od szpadla grzbiet - to naprawdę niewiele, w porównaniu z tym, co spotkało Garry'ego. Biedaczek musiał się pożegnać ze swoimi planami na przyszłość. A wiercie mi, to były naprawdę piękne plany! Zamiast jachtu, którym miał pływać po Karaibach, i wianuszka hollywoodzkich piękności, musiała mu wystarczyć nowa ksywa - Milioner - i opowieść o tym, jak to kiedyś sam, w towarzystwie kilku tylko kumpli, odpierał w Central Parku atak shermanów. Taka opowieść to też jednak nie jest byle co. Na stare lata, gdy człowiek żebraze po knajpach o szklaneczkę whiskey, przyda się jak znalazł!



## JOE MACNAB

Joe MacNab najbardziej lubił siedzieć w fotelu, dłużyć w nosie, i tym, co wydułbie, rzucać w swojego psa. To był jego ulubiony sposób spędzania wolnego czasu i jeśli tylko mógł się oddawać tej niewinnej rozrywce, niczego więcej do szczęścia nie potrzebował. Niestety, Joe MacNab był egzekutorem długów, a to zajęcie niezbyt sprzyja siedzącemu trybowi życia.

Tak to właśnie jest, gdy ma się zawód niedopasowany do osobowości. Gdy jesteś domatorem uwielbiającym spędzać wieczory przy kominku z lampką wina i kotem na kolanach, raczej nie zapisuj się do armii. Na wojnie cholernie trudno o kominek. Chyba, że zdobędzie się jakieś fajne miasto.

Nie bez powodu wspominałem o tej wojnie, gdyż praca Joe'ego czasami niebezpiecznie ją przypominała. Gdy pukał do drzwi, za którymi ukrywał się gość winny innemu gościowi sto dolców, nigdy nie wiedział, co go spotka. Czy facet podda się jak Francja i błagając o litość, pójdzie na współpracę, czy będzie bronił się do upadłego jak Japońce na atolach Pacyfiku? Czy przywita go biała flaga, czy wrzaca smoła lejąca się z murów?

Nic więc dziwnego, że Joe MacNab nie przepadał za swoją robotą. Pech chciał, że był w niej dobry. Złość i frustrację wyładował w pracy, a to w tym akurat fachu nieoceniona zaleta. Ton jego głosu, w którym obojętność, żeby nie powiedzieć: apatia, ustępowały raz za razem wściekłości, robił na ludziach naprawdę piorunujące wrażenie. Joe nie był agresywny, niespecjalnie nawet groził, czasem tylko, gdy go poniosło, przestrzeliwał ludziom kolana. W sumie jednak rzadko, więc nie ma o czym mówić.

Takie zdarzenia jeszcze bardziej go jednak frustrowały. Mówił wówczas: „Dość już mam tego wszystkiego! Chciałbym być strażnikiem w muzeum. Siedziałbym sobie cały dzień na krzeselku, dłużyć w nosie i rzucał tym, co wydułbie, w zwiedzających. Oczywiście tak, żeby nie widzieli.”

Zamiast jednak siedzieć na krzeselku, Joe MacNab uganiał się po mieście i szukał spryciarzy, którzy pożyczają, a potem nie oddają. Klientów miał bardzo różnych – od mafii, aż po poważne instytucje federalne. Kiedyś dostał nawet zlecenie od CIA. Chodziło o odzyskanie samochodu, który ta pożyczyla FBI. Jak się jednak okazało, zaszło zabawne nieporozumienie. Gość, który wypisywał pokwitowanie, przyjechał niedawno z Europy i pomyliły mu się literki. Wpisał FBI, a tak naprawdę chodziło o NBA. Nie muszę dodawać, że Joe MacNab odzyskał samochody od obu tych instytucji.

Jego skuteczność i, co za tym idzie, sława, były tak wielkie, że pewnego razu zgłosił się do niego król Jugosławii. Mówił, że został zdetronizowany, i że chciałby teraz odzyskać koronę. Joe spojrzał na niego uważnie i spytał, czy chodzi o pożyczkę. Król w pierwszej chwili nie zrozumiał. Joe popatrzył przez chwilę w okno, bo już go brała wściekłość, i powtórzył

pytanie, czy król tę koronę komuś pożyczył, a ten ktoś mu jej nie oddał, czy też stracił ją w jakiś inny sposób. „Nikomu jej nie pożyczałem! – oburzył się król. – Zostałem jej bezprawnie pozbawiony!”. „W takim razie, proszę zgłosić się na policję – spokojnie odparł Joe MacNab. – Oni zajmują się kradzieżami. Moja działka to niespłacone długi”.

Kiedyś jednak do Joego zgłosił się klient, któremu ten nie mógł odmówić. Było to zlecenie tak dziwne, że nawet apatyczny zazwyczaj Joe poczuł zawodowe podniecenie. Facet nazywał się Bill Zeebub i, jak twierdził, pochodził ze starej, holenderskiej rodziny mieszkającej w Nowym Jorku od pokoleń. Chodziło o zastaw, pod który trzysta lat temu inny Holender otrzymał pewną pożyczkę. Nie chodziło o pieniądze, raczej o korzyści innego typu. Dług nie został spłacony, w związku z tym pożyczkodawca domaga się zwrotu zastawu. Co jest tym zastawem, Bill Zeebub nie chciał powiedzieć, wyjaśnił tylko, że Joe MacNab dowie się tego w stosownym czasie. Na potwierdzenie swoich słów przedstawił bardzo stary dokument podpisany czerwonym atramentem.

– Rozumiem, że mam odnaleźć spadkobierców tego jegomościa? – spytał Joe, przyglądając się pożółktemu pergaminowi.

– W pewnym sensie – odpowiedział Bill Zeebub.

– Moja stawka to dziesięć procent od wartości odzyskanego długu. Zgadza się pan na to?

– Wartość tych rzeczy trudno oszacować, choć niewątpliwie są one bardzo cenne. Niech się pan jednak nie obawia – na pewno pana nie oszukam. Jeszcze nigdy nikogo nie oszukałem. Moi klienci zazwyczaj oszukują się sami – dodał po chwili.

– Skądś to znam! – zaśmiał się Joe. – Zawsze zadziwiła mnie naiwność ludzi, którzy myślą, że jeśli ukryją się u brata, to na pewno nikt ich nie znajdzie.

Bill Zeebub również się roześmiał, lecz musiał mieć problemy z żołądkiem, bo w całym mieszkaniu rozeszła się nieprzyjemna, ostra woń.

– Zatem umowa stoi – zakończył rozmowę Joe MacNab. – Musi mi pan jeszcze tylko podać imię i nazwisko spadkobiercy.

– Oba są na dokumencie.

– Nazywa się tak samo, jak jego przodek? – zdziwił się Joe.

– Tak – odparł Bill Zeebub z czymś na kształt uśmiechu. – Mówią, że jest też do niego niezwykle podobny.

Poszukiwany osobnik mieszkał na ostatnim piętrze kamienicy naprzeciwko kościoła Świętej Trójcy na Dolnym Manhattanie. Okna budynku wychodziły na wieżę kościoła i stary, przykościelny cmentarz, na którym do tej pory stały omszałe, kamienne nagrobki. „Powinni wreszcie zrobić z tym porządek – pomyślał MacNab. – Urządzić tu jakiś skwer, czy coś w tym stylu. Do czego to podobne?”.

Stara, skrzypiąca winda zawiozła go na ostatnie piętro. Przy drzwiach nie było dzwonka. Zamiast niego wisiła tam mosiężna kołatka w kształcie węża połykającego własny ogon.

Joe zapukał nią trzy razy i cofnął się o dwa kroki. Odsunął połę marynarki, tak aby, w razie czego, móc szybciej sięgnąć po broń. „Co też czeka mnie tym razem? – pomyślał. – Biała flaga czy wrząca smoła?”.

Drzwi otworzył mężczyzna w nieokreślonym wieku. Na widok MacNaba drgnął.

– Czekałem na pana – powiedział. – I to od dosyć dawna.

Joe zdziwił się. Zlecenie dostał wczoraj. Dziś rano, to prawda, trochę zamarudził w łóżku, ale o specjalnej zwłoce nie mogło być mowy.

- Mój klient ma pański list dłużny - zaczął bez owijania w bawełnę. - Ponieważ termin wykupu minął, żąda zwrotu zastawu.

- Czemu sam nie przyszedł? - mruknął mężczyzna i wykonał gest, jakby zapraszał MacNaba do wejścia.

„A więc biała flaga” - pomyślał Joe i odetchnął w duchu. Nie wiedzieć czemu, miał dziś coś na kształt tremy. Jakby załatwiał taką sprawę pierwszy, a nie tysięczny raz.

Mieszkanie urządzone było w stylu eklektycznym. Obrazy, meble i stojące na nich bibeloty pochodziły z różnych epok i reprezentowały różne style. Joe prenumerował korespondencyjny kurs historii sztuki, więc spostrzegł to od razu. Jeśli miał kiedyś zostać strażnikiem w muzeum, musiał znać się na tych rzeczach.

Mężczyzna zaprowadził go do ciemnego salonu i wskazał miejsce za okrągłym, mahoniowym stołem. Joe usiadł, poluzowując dyskretnie rewolwer w kaburze.

- Nie będzie panu dziś potrzebny - rzucił mimochodem mężczyzna. - I to co najmniej z dwóch powodów. Napije się pan czegoś?

- Może whiskey - odpowiedział MacNab schrypniętym głosem. Dopiero teraz poczuł, jak ściśnięte ma gardło.

- Szkocka, irlandzka, amerykańska czy burbon?

- Może być szkocka.

- Stu-, dwustu- czy trzystuletnia?

„Coś tu jest nie tak - pomyślał Joe. - Facet ma najwyraźniej nie po kolei w głowie. Może nie być tak łatwo, jak się na początku wydawało.”

- Trzystuletnia! - wypalił. Słyszał gdzieś, że nie należy przeciwstawiać się wariatom.

- Świetny wybór.

Płyn, który dostał w szklaneczce, konsystencją przypominał olej. Joe powąchał go z nieufnością. Pachniał nieźle, lecz diabli wiedzą, co to było. Na wszelki wypadek udał tylko, że pije.

- A jakie są te dwa powody, dla których nie będę potrzebował broni? - spytał po chwili.

- Nie mam zamiaru stawiać oporu - odpowiedział gospodarz.

- To pierwszy powód. A drugi?

- Jestem nieśmiertelny. Póki co - dodał po chwili.

„O, cholera!” - pomyślał Joe.

- Każdy jest nieśmiertelny póki co - zauważył. - Póki co go nie zabije.

- I to jest właśnie mój przypadek - z krzywym uśmiechem odparł mężczyzna. - Tylko że u mnie to „póki co” trwało wyjątkowo długo.

Joe zaczął machinalnie dłubać w nosie. Zawsze tak robił, gdy czuł się niepewnie. To go uspokajało i odprężało. Lepsze to, niż palenie papierosów.

- Widzę, że jest pan urodzonym łowcą. - Głos mężczyzny wyrwał go z przyjemnego odrętwienia.

- Dlaczego? - zdziwił się.

- Oczyszcza pan sobie nozdrza, żeby lepiej czuć zapach zwierzyny. Nasi przodkowie zawsze tak robili przed polowaniem.

Joe zreflektował się i ukradkiem wytarł palec o nogę krzesła. Ostatnio coraz częściej dłubał w nosie przy ludziach. Musi się bardziej pilnować. Bill Zeebub... To nazwisko coś mu przypominało. Jakby je gdzieś już słyszał. Czy nie tak nazywał się miotający Jankeś z czasów, gdy był dzieckiem? Mówiło się, że gra jak szatan.

- Dobrze, dość tych pogaduszek! - Joe postanowił skończyć wreszcie tę zabawę. - Moje pytanie brzmi: czy jest pan gotów wydać mojemu klientowi należny mu zastaw?

- Oczywiście. Czemu nie? Ale musi przyjść po niego sam. Problem w tym, że tego nie zrobi. Niezbyt dobrze czuje się w miejscach, z których widać krzyż na kościelnej wieży. A z mojego okna widać go doskonale. Dlatego przysłał pana.

„No to mamy już dwóch wariatów” - pomyślał Joe.

- Nie interesuje mnie to. Dostałem zlecenie i mam zamiar je wykonać. Proszę oddać zastaw, albo inaczej porozmawiamy!

- A ma pan go jak wziąć? - z ironią w głosie spytał mężczyzna. - Wie pan w ogóle, co to jest? Nie powiedział panu, prawda? To moja dusza. A pański klient to diabeł, panie MacNab.

Joe momentalnie zbystrzał. W tym zawodzie potrzebny jest refleks. Czasami można być apatycznym, lecz są chwile, gdy trzeba myśleć diabelnie szybko.

- Zaraz, zaraz - powiedział. - Co w takim razie było pożyczką?

- Słucham?

- Co dostałeś, w zamian za tę swoją duszę, ojczulku?

- Nieśmiertelność i wieczną młodość.

Joe MacNab zamyślił się, jak jeszcze nigdy. Sytuacja, trzeba to przyznać, nie przedstawiała się różowo.

- Ile to jest: dziesięć procent od nieśmiertelności? - spytał ni to mężczyznę, ni to siebie.

- Obawiam się, że śmiertelność.

- O, do diabła...

- Właśnie. Jak go znam, nie będzie czekał zbyt długo, żeby wypłacić panu tę należność.

„To się nazywa interes życia - pomyślał Joe. - Nie oszukał mnie, faktycznie. Sam się oszukałem.”

Joe MacNab siedział w swoim ulubionym fotelu, dłubał w nosie i tym, co wydłubie, rzucał w psa. Mijał już trzeci dzień, odkąd wrócił z kamienicy z widokiem na kościół Świętej Trójcy. Joe był spokojny. Pod ręką, na oparciu fotela leżał jego dobry znajomy - gotowy do strzału rewolwer Colt Detective Special. Krótka lufa starego gnata niejedną raz uratowała mu skórę. Dziś mu raczej nie pomoże. Po prostu chciał, by jego najwierniejszy przyjaciel był razem z nim w takiej chwili.

Trzasnęły drzwi i w mieszkaniu rozszedł się ostry, nieprzyjemny zapach.

- Nie przeszkadzam? - Bill Zeebub stał w drzwiach do pokoju. Dziś wydawał się jakby większy.

Pies cicho zapiszczał i zwiął do kuchni.

- Zwierzęta mnie nie lubią - powiedział Bill Zeebub. - Ludzie, zresztą, też nie.

Fotel Joego stał pod otwartym oknem, dokładnie naprzeciw wejścia. MacNab uniósł rewolwer, odwiódł kurek i spytał:

- Co pana do mnie sprowadza, panie Zeebub?

- Nie wykonałeś zlecenia, Joe. Masz u mnie dług.

- Niczego nie podpisywałem – wycedził Joe. – Nigdy niczego nie podpisuję.

- Powiedziałeś „umowa stoi”. Ustne zobowiązania też mają moc prawną.

- Nie w stanie Nowy Jork – powiedział Joe i pociągnął za spust. Sześć wystrzałów, jeden po drugim, odbiło się echem aż po drugiej stronie ulicy.

Bill Zeebub stał tam, gdzie stał, z tym samym krzywym uśmiechem na ustach.

- Myślałeś, że coś mi zrobisz, żałosny człowieczku?

- Nie – odparł spokojnie Joe MacNab. – Po prostu nigdy jeszcze nie strzelałem do diabła i nie mogłem sobie tego odmówić.

Ta historia ma różne zakończenia, bo różnie mówią, co było dalej. Według jednych, Bill Zeebub porwał MacNaba do piekła, gdzie Joe musiał odzyskać jeszcze raz wszystkie długi, którymi się kiedykolwiek zajmował. Według innych, Joe podłubał w nosie, z tego, co wydłubał, zrobił kulkę, i pstryknął nią w diabła, który natychmiast zniknął, bo niczego tak się nie boją moce piekielne, jak naszego lekceważenia. Według jeszcze innych, to wszystko bujda, bo Joe MacNab nigdy nie istniał, a diabeł przyszedł kiedyś, i owszem, ale do Martwego Johna. Ten jednak nawet nie mrugnął, odwrócił się tylko tyłem i powiedział: „To jest mój zadek. Oddam ci duszę, jeśli będziesz w nim mieszkał przez tydzień”. Z czego diabeł, jak wieść niesie, nie skorzystał.

## WIELKA MIŁOŚĆ PANNY KITTY

Panna Kitty miała wszystko to, co powinna mieć kobieta, tylko w odwrotnych proporcjach. Kobieta powinna mieć niewiele lat i wiele wdzięku, Panna Kitty natomiast była stara jak stary Indianin, a wdzięku miała tyle, co poranek po krachu na giełdzie.

Żartowaliśmy sobie czasem, że natura stworzyła Pannę Kitty tylko po to, by nasze żony były od kogoś ładniejsze. Rzeczywiście, w porównaniu z Panną Kitty niejeden paszтет wydawał się całkiem wykwintnym daniem, a niejedna stara buła dawała się, mimo wszystko, jakoś przelknąć.

Panna Kitty wcale jednak nie uważała się za brzydką. Nosiła duży kapelus z przypiętymi do niego kwiatkami oraz długą aż do ziemi spódnicę, i rzucała zalotne spojrzenia każdemu napotkanemu mężczyźnie.

Było w tym coś niezwykle zabawnego na pierwszy rzut oka i niezwykle smutnego po chwili zastanowienia. Śmialiśmy się więc z Panny Kitty, lecz w głębi duszy było nam jej żal. Przeglądaliśmy się w niej jak w lustrze, bo przecież każdy z nas też miał jakieś swoje niemożliwe do spełnienia marzenia i aspiracje. U niej po prostu było to bardziej widoczne, wywalone na wierzch jak tyłek u pawiana. Pannę Kitty bolało tam, gdzie innych tylko swędziało, miała otwartą ranę tam, gdzie u innych było tylko lekkie zadrapanie.

Nic dziwnego więc, że kiedyś postanowiliśmy jej pomóc. Ktoś, chyba Chuck Mańkut, powiedział: „Hej, chłopaki, musimy coś z tym zrobić. Każdy ma prawo do choćby jednego szczęśliwego dnia w życiu. Załatwmy jej taki dzień!”.

Przytaknęliśmy z ochotą. Człowiek, nawet gdy widzi ptaka ze złamanym skrzydłem, ma chęć jakoś ulżyć mu w cierpieniu, a Pannę Kitty znaleźliśmy przecież od dziecka, nasze matki straszły nas nią, gdy nie chcieliśmy jeść owsianki.

Nasz plan opierał się na następującym rozumowaniu: skoro większość mężczyzn lubi kobiety młode i ładne, to chociażby z samej teorii prawdopodobieństwa wynika, że gdzieś musi żyć facet, który woli baby stare i brzydkie. Kto wie, może gdzieś, w szerokim świecie, mieszka całe plemię takich porypanych gości? Kultury ludzkie są przecież tak różnorodne! To, co dla jednych jest obrzydliwe, dla innych może być pyszne. Polacy jedzą podobno zupę ze skwaśniałej mąki. Ktoś inny zwymiotowałby już na sam jej widok, a oni pałaszują to świństwo, aż im się uszy trzęsą.

Rozpoczęliśmy więc poszukiwania. Najpierw chodziliśmy po knajpach, szukaliśmy koleśiów mówiących z dziwnym akcentem i pytaliśmy ich, czy w tej Łajnolandii, z której pochodzą, nie preferuje się przypadkiem brzydkich bab. Niestety, żaden się nie przyznał, a kilku tak się nawet na to pytanie oburzyło, że trzeba było ich potem zastrzelić.

Sytuacja dojrzała do radykalnych rozwiązań. Zwołałem naradę u Mamy Carter.

- Chłopaki - powiedziałem - w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Któryś z nas musi pójść do biblioteki.

- Do biblioteki?! - przerazili się, jakbym zaproponował im wizytę u dentysty. Ja jednak byłem twardy.

- Do biblioteki! - powtórzyłem z naciskiem. - Nie ma innego wyjścia.

- Po co do biblioteki? - z nabożnym przestrachem spytał Billy Skubaniec.

- Trzeba tam znaleźć książkę o różnych popieprzonych ludach - odpowiedziałem. - W takiej książce musi być jakaś wskazówka.

Ponieważ nie było ochotników, zarządziłem losowanie. Najkrótszą zapałkę wyciągnął Frank Cnoty na Szwanek.

Następnego dnia rano odprowadziliśmy go wszyscy na miejsce.

- Naprawdę muszę tam iść? - spytał mnie z rezygnacją w głosie.

- Ktoś z nas musi, a los wskazał ciebie - mówiąc to, starałem się nie patrzeć mu w oczy.

Czekaliśmy na niego, siedząc na kamiennych schodach i paląc papierosa za papierosem. Wreszcie drzwi między wielkimi, granitowymi kolumnami otworzyły się i ukazał się w nich Frank.

- I co, i co? - pytaliśmy jeden przez drugiego.

- Super! - odpowiedział z szerokim uśmiechem. - Bardzo fajnie było - i dalejże, odpalać papierosa.

- No mówże, człowieku! - Chuck Mańkut nie mógł wytrzymać z ciekawości. - Jak tam jest?

- Normalnie - odparł Frank i zaciągnął się. - Wchodzę, a tam książki po sam sufit. Każdy regał to inna litera. Jak to zobaczyłem, tak mi się zakręciło w głowie, że aż musiałem usiąść.

- Ale co dalej, co dalej?

- Nic. Podchodzi do mnie taka bibliotekarka i pyta, czy może mi w czymś pomóc. To ja jej odpowiadam, że taka piękna kobieta jak ona, jest w stanie pomóc każdemu mężczyźnie.

- I co?

- I nic. Umówiłem się z nią na wieczór.

- Ale książka, co z książką?

- A książka... - Frank ściągnął brwi, jakby sobie o czymś przypomniał. - O książce zapomniałem...

Następny poszedł Floryda. Bardzo długo nie wracał. Zaniepokojeni, ubezpieczając się nawzajem, weszliśmy do środka. Floryda siedział na marmurowej ławie w wielkim holu i tępo wpatrywał się w posadzkę. Po jego minie poznaliśmy, że właśnie dopadła go kolejna depresja. W rękę miał książkę. Na jej okładce widniał tytuł: „Życie seksualne dzikich”.

- Nie wiecie przypadkiem, gdzie są Wyspy Trobriandzkie? - spytał, gdy już do niego podeszliśmy. - Muszę tam koniecznie pojechać.

- To gdzieś za Long Island? - spróbował zgadnąć Billy Skubaniec.

- Raczej nie - odparł w zamyśleniu Floryda. - To musi być znacznie dalej...

- A co? - spróbowałem zażartować - rozdają tam złoto na ulicach?

- Nie, ale wszyscy chodzą tam nago i żeby się umówić z dziewczyną nie musisz jej stawiać drinka, ani zabierać jej do kina. Wystarczy podejść i powiedzieć: „chodź!”.

- I ona idzie? - zainteresował się Frank.

- Idzie. Taki mają zwyczaj.

- To ja wiem, gdzie są te wyspy! - wypalił nagle Chuck Mańkut. - W lokalu u Mamy Carter!

Zarechotaliśmy wszyscy zgodnym chórem.

- Głupi jesteście! - obraził się Floryda i wstał. - Debile! - dodał jeszcze i ruszył w kierunku wyjścia.

- Czekaj, czekaj! - rzuciłem za nim. - A lubią tam stare baby?

Floryda przeszedł jeszcze kilka kroków, ale w końcu się odwrócił.

- Nie - odpowiedział. - Nawet tam nie lubią starych bab.

No to byliśmy w kropce. A w zasadzie nie my, tylko biedna Panna Kitty. Czyżby już do końca życia miała ubierać się w jaskrawe sukienki i podrywać przerażonych jej zalotami facetów? Na szczęście, życie rozwiązuje czasem samo i od ręki nawet te problemy, nad którymi bez powodzenia łamiemy sobie głowy latami.

Problem Panny Kitty rozwiązał nie kto inny, jak Clark Gable. Panna Kitty zakochała się w nim bez pamięci. Chodziła na wszystkie jego filmy, aż wreszcie, powodowana tą wielką miłością, któregoś dnia spakowała się, wyjechała do Hollywood i tam została jego żoną. Naprawdę. Nie żartuję. Tak przynajmniej napisała w liście, który przysłała do nas z Ohio.



## OSTATNI SKOK SEBASTIANA REEDA

Sebastian Reed, nie wiadomo w sumie dlaczego, nazywany był przez wszystkich Ronem. Podobno wzięło się to stąd, że tak wołał na niego dziadek, który był starym, skretyniałym idiotą i myliły mu się imiona nie tylko własnych wnuków, ale nawet bejsbola. Czy to prawda, nie wiadomo, a spytać nie bardzo było kogo. Dziadek już od dawna nie żył, zaś Sebastian, czyli Ron, za każdym razem, gdy ktoś próbował się czegoś na ten temat dowiedzieć, z miejsca ładował pytającego w papę.

Ta kwestia nie jest jednak aż tak istotna, żebyśmy poświęcali jej nie wiadomo jakie egzegezy. „Egzegeza” – tego słowa nauczyłem się właśnie od Rona. Ron w dzieciństwie chodził do szkoły prowadzonej przez zakonnice i wyniósł z niej, oprócz zwyczaju żegnania się w najprzedziwniejszych momentach, także umiejętność posługiwania się mądrze brzmiącymi słowami. Mówił na przykład: „Spotkałem się wczoraj z kumplami. Tak żeśmy się schlali, że *memento mori!*”. Co to znaczyło, żaden z nas nie miał pojęcia, ale zapytać o to, znaczyło wyjść na niedouczzonego ćwoka, każdy więc trzymał gębę na kłódkę.

Ron wykorzystywał to i puszył się przed nami przy każdej okazji. Wiedział, że nikt go nie sprawdzi, więc rzucał dziwnymi słowami na prawo i lewo. Nie można wykluczyć, że sam też nie do końca znał ich znaczenie, cóż z tego, skoro nie było między nami nikogo, kto mógłby go na tym przyłapać. Mówił: „I wtedy dokonałem transsubstancjacji całej tej forszy z kasy!”. My na to: „O, to super, Ron! Świetnie, że ci się udało, rewelacja!”. A w duchu myśliśmy sobie: „Czyli że co z nią zrobisz? Zjadłeś?”. Lecz głośno nikt tego nie powie. Lepiej siedząc cicho, pozostać głupkiem, jakim się było, niż spróbować się czegoś dowiedzieć i obnażyć swoją tępotę.

Na każdą muchę znajdzie się jednak packa, tak więc i Ron dostał kiedyś za swoje.

Było to w takie deszczowe, wrześnieowe popołudnie. Siedzieliśmy sobie pod daszkiem gdzieś na Sto Dwunastej czy Sto Czternastej ulicy i sączyliśmy piwko z butelek. W zasadzie było już zbyt zimno, żeby pić na dworze, ale wiedzieliśmy, że wkrótce będzie jeszcze zimniej, więc to ostatnia okazja na tego typu plenerową imprezę. Byłem tam ja, Chuck Mańkut, Al Wypluj To, Chicago Rick i chyba O'Hara, ale tego akurat nie jestem pewien. Wszyscy paliliśmy papierosy, bo Rick jak zwykle zalaatywał.

- Rick - spytał Chuck Mańkut - ile razy myłeś się w to lato?

- Rick się nie myje - odpowiedział za niego Al. - Jedyne kontakty z wodą ma, gdy się spoci.

Zaśmialiśmy się cicho.

- Odwalcie się! - rzucił Rick, lecz też się uśmiechnął, zadowolony, że znalazł się w centrum uwagi.

Nagle pod nasz daszek wbiegł z ulicy zmoknięty Ron.

- *Gloria mundi!* - wysapał. - Ale leje!

Popatrzyliśmy na niego z niechęcią.

- Co robicie, chłopaki? - spytał, strzepując krople z płaszcza. - Jakieś małe *inflagranti*?

- Tak - odpowiedziałem. - Coś w tym stylu.

- Mogę się dosiąść?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Brak sprzeciwu uważam za zgodę - uraczył nas kolejną swoją sentencją. - Mowa jest skarbem, a milczenie złotem - dodał po chwili. - Posuń się, Chuck.

Nasze małe przyjęcie, trzeba to powiedzieć, znacznie straciło na atrakcyjności.

- O czym rozmawialiście? - po kilku minutach ciszy spytał Ron.

- Planowaliśmy napad - wypaliłem z głupia frant.

Wszyscy spojrzeli na mnie zdziwieni. Tylko Chuckowi coś błysnęło w oku.

- Tak, napad - potwierdził. - I to nie byle jaki! Naprawdę gruba rzecz.

- Coś imperialnego - dorzuciłem. - Trochę namieszamy w tym mieście, nie ma co!

- Rany Julek! - zupełnie nie w swoim stylu wykrzyknął Ron. - A co to będzie?

- Nie możemy ci powiedzieć - z tajemniczą miną odrzekł Chuck. - Ludzie, którzy nam to zlecili, nie byłiby zadowoleni.

Ron na to aż się przeżegnał.

- O, w mordę! - wyszeptał. - A mogę iść z wami?

- Nie ma mowy - odparłem. - Lista uczestników jest już zatwierdzona i zamknięta.

- Weźcie mnie, chłopaki, proszę! - Ron zgubił gdzieś nagle swój napuszony i pewny siebie ton. - Przydam wam się, umiem robić wiele rzeczy!

- Na przykład, co? - wydał usta Rick. - Zadzierać nosa i gadać jak kaznodzieja?

- Na przykład! - Ron był tak przejęty, że nawet nie zauważył przytyku. - Mógłbym wejść do banku i udawać biznesmena z wyższych sfer.

- Skąd wiesz, Ron, że napadamy na bank? - wycedziłem z ironią.

- A nie napadacie?

- Może napadamy, a może nie napadamy. A może w ogóle na nic nie napadamy, tylko tak sobie siedzimy i robimy cię w balona?

- Przecież sam powiedziałeś, że planujecie napad...

- W tym jednym masz rację, Ron - odezwał się Al. - Rzeczywiście tak powiedział.

Ron był już kompletnie zбитy z tropu.

- To co, chłopaki, weźmiecie mnie, czy nie? - spytał błagalnym głosem. - Zrobię wszystko, co chcecie!

- Spadaj, frajerze! - zaśmiał się Rick. - Nie widzisz, że cię wkręcamy?

- Czekaj, czekaj! - przerwał mu Chuck Mańkut. - On rzeczywiście może nam się przydać.

- Popatrzył na Rona, jakby się nad czymś zastanawiał. - Załóż jutro swoje najlepsze ciuchy i przyjdź na Times Square.

- Dzięki, Chuck, dzięki! - Ron wprost nie posiadał się z radości.

- A teraz idź już! - uciszył go Chuck. - Jak nas razem zobaczą, mogą się zacząć czegoś domyślać.

Gdy Ron wreszcie zniknął za rogiem, wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

- Ale go nabraliśmy! - nie mógł się nacieszyć Rick. - Wyobraźcie go sobie jutro! Pewnie będzie czekał na nas do nocy! A my nie przyjdziemy!

- Dlaczego mielibyśmy nie przyjść? Przyjdziemy - z zagadkowym uśmiechem odparł Chuck.

- I co, napadniemy na ten bank? - zdziwił się Al.

- Napadniemy albo i nie napadniemy. Zobaczymy, co się stanie.

Ron tak się ucieszył, że ma przyjść na Times Square, że zapomniał spytać, o której. W efekcie czekał na nas już od piątej rano, żeby tylko nie przegapić napadu. Gdy przyszliśmy, nie spiesząc się specjalnie, koło trzeciej, siedział skulony z postawionym kołnierzem marynarki i wciśniętym na oczy kapeluszem pod wystawą sklepu z cygarami i szczęką zębami z zimna.

- Hej, Ron! Nie śpij, bo cię ukradną! - rzucił do niego Rick i kopnął go trochę zbyt mocno w łydkę.

Ron zerwał się na równe nogi, jakby rzeczywiście przysnął.

- Tak, tak... Jestem gotowy... Co robimy? - spytał półprzytomnie.

- Jak to, co robimy? Napadamy! - odparł spokojnie Chuck. - Widzisz ten budynek po lewej? Nie patrz w tę stronę! Co tam jest napisane?

- Bank of... - Ron próbował odczytać napis kątem oka. - Święty Kryspinie! TEN bank?!!

- A ty co myślałeś? - prychnął Chicago Rick. - Że będziemy obrabiać cukiernię z pączków?

Ron przeżegnał się ze trzy razy.

- Wejdiesz tam i znajdziesz takiego ryżego Irlandczyka - gdy Chuck Mańkut to mówił, pokazywał coś palcem w zupełnie innym kierunku. - Powinien siedzieć przy trzecim albo czwartym okienku. Ale niekoniecznie. Równie dobrze może to być pierwsze albo szóste. Rozumiesz wszystko na razie?

- Tak, tak - Ron skwapliwie pokiwał głową. - Ryży Irlandczyk, trzecie lub czwarte okienko, ale niekoniecznie.

- Podejdziesz do niego i powiesz coś w swoim stylu, używając wielu mądrze brzmiących słów, a skończysz na tym, że chcesz się widzieć z dyrektorem banku. Mam nadzieję, że nie wymiękasz?

- ...z dyrektorem banku - oczy Rona były coraz większe, ale póki co, trzymał się.

- Irlandczyk ci powie, że to niemożliwe, bo coś tam. Wtedy ty obsobaczysz go z góry na dół i zagroisz, że jak się będzie tak dalej stawał, to od jutra już tu nie pracuje. Kapujesz?

- ...nie pracuje - przytaknął Ron.

- Irlandczyk jest oczywiście umówiony, a ta cała szopka jest po to, żeby go po wszystkim nie zapuszczowali. Także możesz się na nim wyżywać do woli, im głośniej, tym lepiej.

- Dam z siebie wszystko - przyrzekł Ron.

- A jak już trochę na niego pokrzyyczysz, wtedy on uda, że zmiękł, i zaprowadzi cię do dyrektora banku.

- Do samego dyrektora?! - z lękiem wyszeptał Ron.

- Do samego dyrektora - z naciskiem powtórzył Chuck. - Tam rozepresz się w fotelu, zażądaś whiskey i powiesz, że jesteś strasznie bogatym milionerem, i że chciałbyś tu złożyć parę banieczek, ale chcesz najpierw obejrzeć sejf.

- Sejf, jasne! - pokiwał głową ze zrozumieniem Ron.

- On też oczywiście ci powie, że to niemożliwe, a wtedy ty...

- Nawrzeszczę na niego?

- Nawrzeszczę.

- Jest umówiony?

- Jest umówiony.

- I jak już cię zaprowadzi do tego sejfu i pootwiera te wszystkie pancerne drzwi, wtedy my wpadamy, wyciągamy spluwy i zgarniamy forszę. Rozumiesz?

Ron jednak nie wszystko rozumiał.

- Słuchaj, Chuck, a skąd wy będziecie wiedzieli, że sejf jest otwarty i że jestem w środku?

Chuck nie dał się zaskoczyć.

- Mamy swoje sposoby, Ron, mamy swoje sposoby... - powiedział tajemniczo. - No dobra, idź już. Nie ma czasu do stracenia. - Poklepał go po ramieniu.

Ron wygładził poły marynarki, przeżegnał się, poprawił krawat, przeżegnał się jeszcze raz, splunął i poszedł.

- Hej, Ron! Poczekaj! - po paru krokach zatrzymał go Chuck.

Ron odwrócił się.

- Pożycz piąta. Nie będziemy tu przecież czekać o suchym pysku.

- Jasne - Ron pogrzebał w kieszeni. - Macie!

Gdy już odszedł na tyle, by nas nie słyszeć, Al spytał:

- Skąd wiesz, Chuck, że tam przy kasie siedzi ryży Irlandczyk?

- W każdym banku pracuje jakiś ryży Irlandczyk - wydał usta Chuck.

- A jeśli akurat w tym nie pracuje?

- To z napadu nici! - zaśmiał się.

Pięć dolców, które dostaliśmy od Rona, zostało wydane w naprawdę pożyteczny sposób. Nie minęło pół godziny, jak nie zostało z nich nawet kropli. Gdy już obtarliśmy wierzchem dłoni usta, a pustą butelkę wyrzuciliśmy za róg, przypomnieliśmy sobie o jej fundatorze.

- Cholera - splunął Rick - a jak go tam złapią i zapuszkują? Jest jaki jest, ale to trochę nieładnie posyłać kumpla do pudła...

- Za co, niby, mieliby go wsadzić? - prychnął Chuck. - Za nawrzeszczenie na dyrektora? Przecież on nawet nie ma przy sobie gnata. Dostanie najwyżej pałą po tyłku i tyle.

W tym właśnie momencie przed bankiem zaroilo się od gliniarzy. Czarne, policyjne furgony pojawiły się nie wiadomo skąd i wyskoczyli z nich goście w ośmiokątnych czapkach i z thompsonami w rękach.

- Matko jedyna! - wyszeptał Rick.

Powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi, podeszliśmy zobaczyć, co się dzieje.

Wyglądało na to, że Ron zabarykadował się i wziął zakładników. Cały bank otoczony był gliniarzami. Policijni snajperzy celowali w drzwi i okna. Pod osłoną mundurowych, z

budynku chytkiem wybiegali zgarbieni pracownicy i klienci. Ruch na Times Square został wstrzymany. Chwilę później, z piskiem opon i na sygnale, trąbiąc ile sił w klaksonie, pod bank zajechał czerwony wóz straży pożarnej.

- No tośmy go załatwili... - powiedział, kiwając powoli głową, Al.

Nawet Chuck Mańkut miał niewyraźną minę.

Wtedy z banku wybiegł Ron. Kuląc się i garbiąc jak wszyscy, zbiegł po schodach i skrył się za jednym z policyjnych furgonów. Lufy karabinów snajperskich i thompsonów, zamiast plunąć ogniem i podziurawić go jak sito, w dalszym ciągu skierowane były w okna banku.

- Co jest...? - mruknął pod nosem Chuck.

Do Rona podbiegł jakiś wyższy rangą gliniarz. Zamiast jednak rzucić się i skuć go kajdankami, przykucnął obok i o coś spytał. Ron w odpowiedzi zaczął gestykulować jak szalony i pokazywać w stronę banku. Policjant odwrócił się i machnął ręką. Powietrze rozdarł huk wystrzałów. Skryci za samochodami gliniarze naparziali w stronę budynku z czego się tylko dało. Szyby w oknach w jednej chwili rozprysły się na tysiące kawałków. Kule, odbijane rykoszetem od granitowych ścian, wracały i dziurawiły policyjne auta. Gliniarze, sądząc, że to broniący się w środku bandyci odpowiadają im ogniem, jeszcze wzmoгли ostrzał.

Patrzyliśmy na to w niemym zachwycie.

- Widziałeś kiedyś coś podobnego? - zwrócił się do mnie Chuck.

- W całym swoim nic niewartym życiu nie - odpowiedziałem.

Dopiero później dowiedzieliśmy się, co się naprawdę stało. Ron rzeczywiście nawrzeszczał na dyrektora i faktycznie dostał się do głównego skarbcza. Tam, czekając na nasz napad, przez dwadzieścia minut wypytywał dyrektora o różne rodzaje zabezpieczeń, potem, próbując grać na czas, podpisał umowę, założył konto i otrzymał kluczyki do własnej skrzynki depozytowej.

Widząc, że ciągle nie nadchodzimy, zaczął symulować duszności, a później atak apopleksji. Wijąc się po podłodze, niechcący włączył przycisk, który wzywa policję i włącza alarm. Gdy usłyszał syrenę, wpadł w panikę, zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać. Tuż przy wyjściu zobaczył nadjeżdżające policyjne wozy, zawrócił, wbiegł z powrotem do skarbcza, potem znów z niego wybiegł i zaczął wrzeszczeć, że jest napad i że w banku jest pełno bandytów.

Kiedy wszyscy rzucili się do ucieczki, jeszcze przez chwilę kręcił się niezdecydowanie po holu, po czym również wybiegł na zewnątrz. Tam momentalnie przeszedł na stronę prawa i porządku i wysypał gliniarzom całą nieistniejącą strukturę przestępczą. Roztoczył wizję wielkiego spisku mającego za zadanie zdestabilizować sytuację w kraju, w który zamieszani byli faszyci, a kto wie, czy i nie komuniści. O nas nie wspomniał, nie wiadomo, czy z powodu lojalności, czy też dlatego, że wydawali się mu zbyt nieistotną częścią planu, by zwracać nami głowę policji.

Ponieważ dyrektor banku, uciekając ze skarbcza, zapomniał go zamknąć, w związku z czym zniknęło stamtąd ładnych parę tysiączków, chętnie potwierdził fakt napadu i opisał ze szczegółami, jak to straszni, zamaskowani bandyci przystawili mu lufę do skroni i kazali otworzyć sejf.

Ron został uznany za szczególnie cennego świadka, objęty ochroną i pod zmienionym nazwiskiem wysłany do Wyoming. Potem wybuchła wojna i w ogólnym zamieszaniu o sprawie zapomniano. Ron zaś, podając się za węgierskiego hrabiego, całkiem nieźle się w tym

Wyoming urządził. Za pomocą paczki studolarówek, którą, mimo paniki, udało mu się przytomnie wcisnąć za pasek, otworzył w jakiejś zbitej z dech mieścinie delikatesy, a pod koniec życia kandydował nawet na kongresmena.

Wyborcy nie lubią jednak polityków, którzy mówią zbyt uczenie. Zamiast niego, wygrał więc facet, który chodził w wielkim, białym, kowbojskim kapeluszu, do każdego zwracał się per „chłopie” i niewyraźnie wymawiał końcówki wyrazów. Z wyjątkiem oczywiście takich słów jak: „shit” i „fuck”.

## PARSZYWY WRZESIEŃ

Wrzesień na ogół jest parszywy, ten jednak był parszywy jak sam listopad. Bo listopad jest ze wszystkich miesięcy najparszywszy. Chyba, że marzec, on też potrafi być parszywy jak cholera. Ale to nie co roku, więc marzec się nie liczy. W każdym razie był to najparszywszy wrzesień, jaki kiedykolwiek widziałem.

Zaczęło się od tego, że Hitler napadł na coś tam w Europie. No to Anglia i jakiś jeszcze jeden kraj – chyba Włochy, bo Włosi są tacy wyrywni – powiedziały, że nie pozwolą na to coś tam napadać i że teraz napadną na Hitlera. Jak się potem okazało, było to tylko takie gadanie, bo wcale nie napadły, ale jak Hitler to usłyszał, to wściekł się i napadł z kolei na nie. No i się zaczęła prawdziwa chryja.

W Nowym Jorku też nie działo się najlepiej. Przez cały czas padało i generalnie było do bani. Floryda, który wpadł wtedy w swoją kolejną depresję, twierdził, że coś im się tam w niebie poprzestawiało, ktoś niechcący odwrócił mapę, czy coś takiego, i teraz leci na nas cały deszcz, który zazwyczaj pada w Indochinach. Swoją drogą, nie wiedziałem, że Indie i Chiny się połączyły. Mówię wam, to kiedyś będzie prawdziwe mocarstwo i będziemy mieć jeszcze przez nich spore kłopoty.

W każdym razie łało i zimno było jak w jakimś pieprzonym Massachusetts. Chłopaki urządzali sobie co i rusz strzelaniny, żeby się rozgrzać, piło się też sporo gorzały, ale ani jednej, ani drugiej z tych rzeczy nie da się przecież robić bez przerwy. Nadchodzi w końcu ten nieunikniony moment, gdy strzały milkną, ty trzeźwiejesz, a potem rozglądasz się wokół i myślisz: „o w przenajświętszą mordę!”.

Coś takiego musiało się właśnie przytrafić gościowi zwanemu Tommy Kucharz. Nazywaliśmy go Kucharz, bo potrafił zgotować swoim wrogom prawdziwe piekło.

No więc Tommy obudził się któregoś dnia, zobaczył to, co zobaczył, i wkurzył się nie na żarty. „No, toście przesadzili!” – powiedział głośno i zaraz dodał: – „Patałachy!”. Potem wstał, przywalił z kopa w stół i wyszedł.

To jednak nie była najszcześniejsza decyzja. Już pierwsze wiadro wody, jakie spadło na jego kapelusz, gdy tylko wyszedł za próg, uświadomiło mu, że pogoda jest jeszcze gorsza, niż myślał. A myślał, że jest fatalna.

Tommy nie należał jednak do ludzi, którzy łatwo się poddają. Skoro już postanowił wyjść, to będzie szedł dalej. Żadna pieprzona ulewa nie będzie mu mówiła, co ma robić.

Tommy taki już był, miał to po ojcu. Jego stary był tak uparty, że gdy jego żona wołała wszystkich na obiad, on nigdy nie przychodził. „Przyjdę, kiedy będę miał ochotę – mówił. –

Nie będziesz mi, kobieto, rozkazywać!". Efekt tego był taki, że zawsze jadł wszystko zimne i umarł na wrzody żołądka.

Ale wróćmy do Tommy'ego. Szedł on uparcie dalej, a jego ubranie konsekwentnie przemakało. Gdy wilgoć dotarła do majtek, zaklął szpetnie, lecz nawet nie zwolnił. Tommy nie potrafił przyznać się do błędu. Kiedyś tak uparcie próbował kupić w sklepie z pieczywem rybę, że zrozpaczony sprzedawca poszedł i sam mu ją złowił. Niewiele mu to jednak pomogło, bo Tommy, wychodząc, potknął się, wpadł w szal i w rezultacie i tak go kropnął. Tak naprawdę, to potknięcie to był tylko pretekst. Tommy wściekł się, bo za długo czekał.

Teraz też był wściekły, choć kropnąć nie za bardzo miał kogo. Wyciągnął spluwę i parę razy wywalił z niej w niebo, lecz niebo tego dnia miało znacznie więcej pocisków. Ciężkie jak ołów krople spadały na twarz Tommy'ego, gdy tak stał z wyciągniętą w górę giwerą, i potęgowały tylko jego bezsilną złość. Pod gradem tych kul spuścił głowę, co zdarzyło mu się po raz pierwszy, odkąd w pewien sierpniowy poranek dwa miesiące temu zobaczył leżącą na ulicy dychę.

- No normalnie nie mogę! - wrzasnął. - I dodał jeszcze: - Yyyyyyyy!!

Teraz był już naprawdę wkurzony, a kiedy Tommy był naprawdę wkurzony, powód jego wkurzenia mógł mieć naprawdę poważne kłopoty.

To uczucie nadało sens i kierunek jego krokom. Do tej pory pchał go do przodu tylko upór, teraz dołączyło do niego także pragnienie zemsty.

Tommy skręcił i przyspieszył. Wiedział już, dokąd idzie, znał cel. A jego główną życiową zasadą było: cel - pal!

Wreszcie na końcu ulicy zamajaczył w strugach deszczu on - potężny gmach z szarego granitu ociekający, jak wszystko dzisiaj, wodą. Dwóch przemoczonych i zziębniętych strażników u szczytu schodów myślało o wszystkim, tylko nie o pilnowaniu. Tommy minął ich, jak się mija psie kupy w parku. Jeden z nich wykonał nawet gest, jakby chciał go zatrzymać, lecz potoki wody, które spadły natychmiast na jego wystawioną spod płaszcza rękę, skutecznie wybiły mu ten pomysł z głowy.

W środku nie padało, choć przemoczony do ostatniej nitki w gaciach Tommy nie poczuł różnicy. „W sprawie deszczu!” - rzucił do próbującego zastąpić mu drogę portiera i pewnym krokiem, zostawiając za sobą mokre ślady, wszedł na pierwsze piętro. Nigdy tu nie był, lecz bezbłędnie trafił do celu. Nie było to trudne - jak kibel jest zazwyczaj gdzieś na uboczu, tak gabinet szefa jest zawsze w samym środku wszystkiego.

- Burmistrz Whiteberg jest za... - Sekretarka, która siedziała za biurkiem, wyglądała, jakby zobaczyła topielca.

- Co „za”? Co „za”? - wściekł się Tommy. - Zabity, zastrzelony?!

- Nie... - odpowiedziała przerażona.

- W takim razie może mnie przyjąć! - odparł i otworzył z impetem następne drzwi.

- ...jęty - usłyszał jeszcze za plecami.

Burmistrz faktycznie był zajęty. Trzymał nogi na stole i przeglądał właśnie kolorowe pismo, które natychmiast schował do szuflady, gdy tylko zobaczył Tommy'ego.

- Słucham pana? - powiedział i zaczerwienił się po uszy.

- Co jest, do cholery?! - wrzasnął na to Tommy.

- Obawiam się, że nie do końca pana rozumiem...



- Co się dzieje w tym pieprzonym mieście?! Co wy w ogóle wyprawiacie?!

Burmistrz zdjął nogi z biurka, poprawił się na krześle i przyjął oficjalny ton.

- Problem korupcji jest mi oczywiście znany i, proszę mi wierzyć, robię wszystko, co w mojej mocy...

- Gówno! - odparł, a właściwie odwrzasnął Tommy. - Jaka korupcja, co ty w ogóle bredzisz?

- Nie chodzi panu o korupcję? - zdziwił się burmistrz. - To w takim razie o co? O ustawianie przetargów? Przekręty w zamówieniach publicznych? Przenikanie się struktur władzy i podziemia przestępczego? Przekupstwo i nieudolność policji?

- O deszcz! Chodzi mi o pieprzony deszcz! W tym zawszonym mieście ostatnio ciągle leje!

- Pracujemy nad tym - bez mrugnięcia okiem odpowiedział burmistrz. - Powołałem specjalną komisję i sam stanąłem na jej czele. Cztery zespoły robocze zajmują się tą sprawą dzień i noc. W ciągu tygodnia, góra dwóch, proszę się spodziewać znaczącej poprawy.

Tommy wyszedł z magistratu uspokojony i przekonany, że w najbliższych wyborach będzie głosował na Whiteberga. Choć ciągle padało, to teraz jakby trochę mniej. Może niedużo mniej, ale odrobinę mniej - na pewno.

W ciągu dwóch tygodni pogoda faktycznie się poprawiła. Wyjrzało wreszcie słońce i rozpoczęło się to, co w Nowym Jorku nazywamy „frajerskim latem”. Gdzieś tam, w Europie, toczyła się wojna, lecz my mieliśmy pewność, że pod przywództwem burmistrza Whiteberga z tamtej wielkiej nawałnicy nie dotrze do nas nawet kropla.

## **JEDYNA RZECZ, KTÓREJ NIE MIAŁ BEN**

Jak sądzicie, czego nie miał Ben? Bardzo ciekawi mnie, co też wam się telepie po tych waszych pustych mózgownicach? Pewnie myślicie, że chodzi o miłość, zdrowie albo pieniądze? Nic z tych rzeczy. To wszystko Ben miał w wystarczającej ilości. Brakowało mu czegoś innego. Palca.

Ben nie miał środkowego palca u prawej dłoni. Stracił go w dzieciństwie, gdy bawił się z bratem w porwania dla okupu. Brat trochę za bardzo wczuł się w rolę i ciach! Zamiast kawałka parówki, w kopercie wysłanej rodzicom wylądował prawdziwy palec Bena.

No dobrze – spytacie – ale co to w zasadzie za problem, nie mieć środkowego palca? Oprócz dojmującej, przynajmniej, niedogodności w postaci niemożności pokazania różnym frajerom pewnego obelżywego gestu, innych kłopotów związanych z jego brakiem raczej nie widać. Co innego, gdyby chodziło o palec wskazujący! Gdy nie ma się palca wskazującego, lista problemów jest długa. Nie masz czym pociągnąć za cyngiel, nie masz czym podłubać w nosie, nie masz, wreszcie, czym wskazać jednego z drugim sukinsyna i powiedzieć: „załatwię cię, sukinsynu!”. Gdybym nie miał palca wskazującego, chyba bym się zastrzelił. No tak, tylko jak? Przecież nie miałbym czym pociągnąć za spust.

A palec środkowy? Palec środkowy jest jak wiceprezydent. Jest, bo jest, ale do niczego specjalnego się nie przydaje.

Otóż nie. Tak wydaje się tylko tym, którzy środkowy palec mają. Jego brak powoduje bowiem wiele problemów, o których nam, posiadaczom wszystkich dziesięciu palców, nawet się nie śni.

Weźmy pierwszy z brzegu. Poznałeś dziewczynę, spotykacie się, jest fajnie. Wreszcie któregoś wieczora łądujecie u siebie lub u niej. Pijecie wino, słuchacie muzyki, i w którymś momencie ty, żeby zacieśnić znajomość, kładziesz jej niezobowiązująco rękę na piersi. A ona patrzy w dół, na twoją dłoń i mówi: „Ty, a co to jest?”. Ty na to: „Jak to co? Ręka.!”. „A gdzie jest środkowy palec?” „Nie mam.” „To może i między nogami czegoś nie masz?”

I, jak to mówią, atmosfera siada.

Oczywiście, to jeszcze nie jest najgorsze. Jeśli ma się dobrą gadkę, można i z takiej opresji jakoś wybrnąć. Można uśmiechnąć się szelmowsko i rzucić: „Nic się nie bój, malarzka. Gdzieś zabrakło, ale za to gdzieś indziej przybyło.”. Albo po prostu rzucić ją na wyro i powiedzieć: „Oprócz palca nie mam jeszcze tylko litości!”. Ale są sytuacje, z których nie da się wykaraskać za pomocą głupiego tekstu.

Jakie? Poczekajcie. Najpierw muszę zrobić parę słów wstępu.

Otóż człowiek, jak pewnie wiecie, zbudowany jest mniej więcej symetrycznie. Jak po jednej stronie ma rękę, to i po drugiej ma. Jak po jednej stronie ma ucho, to i po drugiej też takie ucho się znajdzie. Krótko mówiąc: gdyby go przeciąć na pół taką wielką piłą do drewna, obie połowki ważyłyby z grubsza tyle samo.

Dzięki temu utrzymujemy względną równowagę.

Tymczasem ta właśnie równowaga była u Bena zachwiana. Przez brak środkowego palca, jego prawa strona ważyła mniej od lewej. Nie była to duża różnica, bo w końcu ile może ważyć głupi palec, ale była.

Przez to niedociążenie prawej strony Ben niezbyt dobrze trzymał się drogi. Był jak statek z nie do końca równomiernie rozłożonym balastem. Tam, gdzie inni szli prosto, on lekko skręcał. Tam, gdzie inni bez problemu przechodzili przez drzwi, on walił ramieniem w futrynę.

No dobrze – spytacie – a nie mógł się po prostu dociążyć? Wystarczyłoby przecież nosić drobniaki w lewej kieszeni, żeby waga obu połówek się wyrównała. Niestety, nie było to takie proste.

Po pierwsze, nie jest wcale tak łatwo wyliczyć odpowiednią wagę monet. Wystarczy kupić sobie colę, albo dostać resztę z dolara, i już człowiek z powrotem chwieje się na boki. Po drugie, i tak nic by to nie dało. Mózg Bena nie był taki głupi, żeby dać się oszukać w tak prostacki sposób. Drobniaki to drobniaki, a palec to palec. Mózg Bena doskonale wyczuwał tę różnicę i w dalszym ciągu ściągał swojego właściciela na pobocze.

Przez tę drobną, wydawałoby się, niedogodność, Ben miał gigantyczne kłopoty. Wystarczyła niewielka nierówność terenu, by wywalał się na pysk. Chłopaki przestali go przez to brać na skoki. Co to za gangster, który, skradając się w czasie akcji, przewraca się nagle jak dwuletnie dziecko? Od głośnego, alarmującego wszystkich wokół huku, gorsze jest wtedy chyba tylko uczucie zażenowania i wstydu. „Macie ze sobą Bena?” – słyszysz dobiegający z ciemności głos. „Tak, mamy” – odpowiadasz, bo przecież całe to kulenie się i przemykanie pod ścianami i tak już nie ma sensu. „Następnym razem weźcie też orkiestrę dętą!”.

To może się wam wydać zabawne, ale Benowi wcale nie było do śmiechu. Nagła utrata równowagi, połączona ze spektakularnym wywinięciem orła, dopadała go w najmniej odpowiednich momentach. Podobno nawet podczas własnego ślubu, gdy sięgał po obrączkę, coś nim nagle zachwiało, zatelepało i zamiast w objęciach panny młodej, wylądował w knajpie o kilka przecznic dalej. Że już nie wspomnę o przykrym incydencie z udziałem teściowej. Biedny Ben chciał ją pocałować w rękę, a zamiast tego przywalił jej z całej siły z główki w żołądek. Nie muszę wspominać, że po tych dwóch zajściach długie i szczęśliwe pożycie małżeńskie Bena trzeba było anulować.

A to i tak nie był najgorszy wypadek, jaki mu się przytrafił z powodu braku pieprzonego, środkowego palucha. Najgorszy wypadek przydarzył mu się na Long Island.

Ben pojechał tam, bo coś. Nie pamiętam, bo co, ale i tak nie ma to specjalnego znaczenia. Mógłbym, co prawda, coś wymyślić, jakiś napad, albo gonienie kogoś nago po lesie, ale jesteśmy w końcu poważnymi ludźmi. Jak nie pamiętam, to nie pamiętam, i mam odwagę, żeby się do tego przyznać. Musimy odnosić się do siebie z szacunkiem i zaufaniem, inaczej kim byśmy byli? Jakimiś cholernymi maklerami.

No więc Ben idzie sobie po tym Long Island, pogwizduje, bo bardzo lubił gwizdać, aż tu nagle widzi, że jakichś dwóch cwaniaczków stoi sobie, patrzy na niego i kpiąco się uśmiecha. Ben bardzo nie lubił, gdy ktoś kpiąco się uśmiechał na jego widok. Miał ten uraz jeszcze ze szkoły. Dzieciaki z jego klasy zabawiały się wtedy wymyślaniem najprzeróżniejszych historyjek opisujących okoliczności, w których jakoby Ben miał stracić palec. Najpopularniejsza z nich głosiła, że Ben wsadził go sobie w tyłek, został na tym przytłapany, i ze strachu tak ścisnął pośladki, że go sobie urwał. Nie muszę dodawać, że tym opowieściom towarzyszyły zazwyczaj kpiące uśmieszki.

Tak więc Ben odrobinę się zdenerwował. Podeszedł do tych dwóch gości i mówi:

- Z czego się śmiejecie, barany?

A oni na to:

- Po pierwsze: wcale się nie śmiejemy, tylko uśmiechamy, a po drugie: słowo „barany” wyjątkowo nie pasuje do dwóch największych zakapiorów na Long Island.

- Dwóch największych zakapiorów na Long Island... - Pokiwał głową Ben. - A co robicie? Podkradacie kurom jajka?

- Można to tak określić - odpowiedzieli zakapiory. - Choć naszym zdaniem, ktoś, kto tak mówi, jest pajacowatym kutafonem.

- Rozumiem, że macie na myśli mnie? - spytał Ben i znaczącym gestem sięgnął za pazuchę.

- Nie, mamy na myśli tego wkurzającego facecika za twoimi plecami.

- Czyli jednak mnie - po chwili zastanowienia odpowiedział Ben i wyszarpnął zza pasa swoją czterdziestkę czwórkę.

Nie powinien był tego robić. Czterdziestka czwórka waży ponad kilogram, a przemieszczenia takiego ciężaru jego źle wyważone ciało nie miało prawa zamortyzować. Ile razy mu mówiłem: „Ben, musisz nosić dwa gnaty i wyciągać je równocześnie! Jak rewolwerowcy na Dzikim Zachodzie!”. A on na to: „Daj spokój! Będę wyglądał jak wieśniak!”. No i się doigrał. Przeważone wyciągniętą spluwą ciało Bena zachwiało się, zakolebało i runęło w dół, niczym maszt żaglowca w czasie burzy.

Ben, trzeba to przyznać, wychrzanił się koncertowo. Zakapiory z Long Island opowiadały potem, że nie widziały nigdy, by ktoś tak elegancko się wypieprzył. Huk był podobno tak wielki, że mewy z pobliskiego wysypiska jeszcze przez pół godziny bały się usiąść z powrotem na śmieciach.

Huk ten, niestety, wziął się również stąd, że Ben, przewracając się, strzelił sobie w stopę. Przykra sprawa, ale jej konsekwencje nie były już takie złe. Ben odstrzelił sobie bowiem duży paluch u lewej nogi. Gdy wstał chwilę potem, sycząc z bólu, stwierdził ze zdziwieniem, że przestał się chwiać. Brak palca u nogi zrównoważył odcięty palec u ręki! Ben tak się ucieszył, że wyczałował obydwu zakapiorów i dał im po dziesięć dolarów.

Od tego czasu życie Bena wróciło do normy. Chłopaki z powrotem zaczęli brać go na skoki, co zresztą stało się przyczyną jego śmierci, gdyż w czasie jednego z tych skoków zginął.

Po śmierci Ben poszedł do nieba, bo okazało się, że mimo wszystko, był dobrym człowiekiem. Gdy stanął przed bramami niebios, zapukał w nie, jak nakazuje zwyczaj. Jakże się zdziwił, gdy zamiast świętego Piotra, otworzył mu jego wskazujący palec i powiedział:

„No, nareszcie! Ile można czekać?”

## ŚPIĄCY WALT

Śpiący Walt był jednym z najstraszniejszych ludzi, jakich znałem. A muszę powiedzieć, że znałem kilku naprawdę przerażających gości. Nawet Martwy John, gdy szedł się z nim spotkać, nerwowo przełykał ślinę. Możecie więc sobie wyobrazić, co to był za koleś.

Śpiący Walt swoją ksywę zawdzięczał niezwykle powolnemu sposobowi mówienia. Zawsze, gdy z nim rozmawiałeś, miałeś wrażenie, że albo przed chwilą się obudził, albo za moment zaśnie. A jednak słowa Walta działały na rozmówcę jak zimny prysznic. Takich dreszczy, jakie chodziły mi po plecach podczas spotkań z nim, nie miałem nigdy. Nawet gdy po raz pierwszy zobaczyłem w kinie Ritę Hayworth.

Śpiący Walt mówił, na przykład:

„Musisz – pauza – go załatwić. – Pauza. – Nie rozumiem – sapnięcie – co cię powstrzymuje...”. Ty wtedy cierpieś jak wrzucony do wrzątku kurczak i odpowiadałeś: „Ale on już dawno nie żyje, Walt! Zginął w czterdziestym czwartym w Normandii”. Wówczas następowała długa, niemożliwa wprost do wytrzymania cisza, i gdy właśnie zaczynałeś się zastanawiać, czy to jeszcze dziś, czy już jutro, Walt odpowiadał: „To załatw, kuźwa, kogoś innego!”.

I nie było rady, trzeba było kogoś załatwić. Ze Śpiącym Waltem się nie dyskutowało. Przede wszystkim dlatego, że mało kto miał tyle wolnego czasu.

No dobrze – spytacie pewnie – ale kim on był? Kim, u licha, był ten cały Walt i dlaczego wszyscy trzęśli przed nim portkami? Muszę uczciwie przyznać, że też się czasem nad tym zastanawiam.

Śpiący Walt nie był bowiem nikim szczególnym. Nie był specjalistą od mokrej roboty, nie był szefem siejącego postrach gangu, nie był nawet dentystą. A mimo to, ludzie się go bali.

Dziś myślę, że chodziło o tembr jego głosu. Gdy Walt mówił, nawet największym chojrakom ciary chodziły po grzbiecie. I nieważne było, że oprócz tego głosu, Walt nie miał, tak naprawdę, innych atutów. Ale czy Luis Armstrong miał coś, oprócz głosu? No nie, on miał jeszcze trąbkę, a więc nie jest to do końca dobry przykład.

Jedyną osobą, na której tembr głosu Walta nie robił wrażenia, była Lili Hulajnoga, ale na Lili wrażenie robiły jedynie banknoty studolarowe, a z nimi nawet Śpiący Walt nie mógł się równać.

Kiedys wynikała z tego zresztą zabawna historia. Śpiący Walt wezwał Lili do siebie, ale ona nie przyszła. Każdy by przyszedł, bo Walt to był Walt, ale z kolei Lili to była Lili, i chodziła zawsze tylko tam, gdzie sama chciała. Może gdyby zamachał do niej ten koleś ze studolarówki, ruszyłaby swój piękny tyłeczek, ale tak, to nie ma mowy.

Gdy Walt się o tym dowiedział, wściekł się. Nie wiecie, co to znaczy – nigdy nie widzieliście, jak Walt się wścieka, ale zaręczam wam, że był to cholernie nieprzyjemny widok. Najtwardsi twardziele miękli, gdy widzieli wściekłego Walta. Myślicie, że wrzeszczał albo coś w tym stylu? Dzieciaki... Otóż Walt nie robił nic. W ogóle nie zmieniał swojego zachowania. I, mówię wam, to było najstraszniejsze.

Tak więc Walt wkurzył się, wkurzył się nie na żarty. Wezwał Martwego Johna, a ten w tę pędy do niego przybiegł.

- Lili – powiedział Śpiący Walt.

- Byłem u niej, Walt – pospieszył z wyjaśnieniami John. – Przekazałem jej, że ją wzywasz, ale ona powiedziała, że ma to – przepraszam cię Walt – że ma to w nosie.

- Hmm – odpowiedział Walt.

- Prosiłem ją, błagałem, żeby przyszła! Ma nawet po drodze, bo często tędy chodzi, ale ona tylko prychnęła.

- Hm – odparł na to Walt.

- Mówiłem, że się wściekniesz, tłumaczyłem, że przez nią wszyscy będziemy mieli kłopoty, że co to dla niej, nikt jej przecież nie każe robić nie wiadomo jakich rzeczy, wystarczy, żeby przyszła... I wiesz, co mi odpowiedziała?

- Cooo?

- Odpowiedziała: „Nie ma, kuźwa, mow!”.

- Zoba-kuźwa-czym! – nadspodziewanie szybko odpowiedział Walt.

No i zobaczyliśmy. Przez następne dwa tygodnie Nowy Jork przypominał piekło. Walt był wściekły. Patrzył na wszystkich spod tych swoich wółprzymkniętych powiek i nic nie mówił. I jeszcze ta twarz... Twarz Śpiącego Walta... Twarz, która nigdy nie zmieniała wyrazu, niezależnie od tego, czy jej właściciel był akurat w cyrku, czy na pogrzebie. Mogłes opowiedzieć Waltowi najśmieszniejszy dowcip, albo oznajmić mu, że cała jego rodzina zginęła w strasliwym pożarze, a ta twarz ciągle była taka sama. Tą twarzą Walt nas torturował, rozgniatał nas nią, niczym kamień mszyce.

Po dwóch tygodniach, gdy wydawało się, że Lili już zmiękła, Walt wezwał ją ponownie. Tym razem to ja miałem być egzekutorem.

- Słuchaj, Lili – powiedziałem. – Bądź rozsądna. Przez twój głupi upór cierpi całe miasto.

- Tak? – zdziwiła się Lili. – A o co chodzi?

- Jak to: o co chodzi?! O Walta! Wezwał cię, nie pamiętasz?

- Faktycznie, Martwy John coś mi wspominał. Wyleciało mi z głowy.

- Teraz wzywa cię ponownie – powiedziałem uroczyście.

Lili popatrzyła na mnie jak na kretyna.

- Jak ma do mnie jakąś sprawę, niech przyjdzie. Do dwunastej zazwyczaj jestem w domu.

- Nie rozumiesz, Lili – odparłem z naciskiem. – Walt cię WEZWĄŁ! Musisz do niego PÓJŚĆ!

- Mnie się nie wzywa, kotku. Mnie się prosi. Zazwyczaj zresztą bez rezultatu – uśmiechnęła się słodko.

Zbladłem. Rzadko blednę, zdecydowanie częściej czerwienieję, ale wtedy zbladłem.

- Dobra, Lili - powiedziałem. - Jak pójdziesz, dostaniesz stowę.
- Okay - odpowiedziała Lili.

Jeszcze tego samego dnia zaprowadziłem Lili do Walta. Siedział jak zwykle w swoim wielkim, skórzanym fotelu. Rozmowa między nimi wyglądała mniej więcej tak:

- Lili - powiedział Walt.
- Walt - odpowiedziała Lili.
- Liliiii - powtórzył Walt.
- Walt? - spytała Lili.
- Miło cię widzieć - pauza - Lili...
- Ciebie również, Walt.
- Usiądź - pauza - Lili...

Lili usiadła, po czym nastąpiła długa cisza, w trakcie której Walt beznamyślnym wzrokiem patrzył na Lili, a Lili machała nogą i przyglądała się ścianie.

- Będę już lecieć, Walt - powiedziała wreszcie Lili.
- Wpadnij kiedyś - odpowiedział Walt.

Lili wyszła, lecz ja stałem dalej jak oniemiały. „Tak - pomyślałem sobie. - Walt to jednak Walt!”. Walt wiedział, co to jest władza, i jak panować nad ludźmi. Miał wszystkie te techniki w małym palcu. Tą jedną rozmową przypomniał, kto rządzi w tym mieście. Stary lew, można powiedzieć, zarzycał...

Wielokrotnie potem próbowałem zachowywać się tak jak Walt, lecz nigdy nic z tego nie wychodziło. Gdy mówiłem wolno, ludzie przerywali mi i wchodzili w słowo. Gdy patrzyłem spod półprzymkniętych powiek i starałem się mieć twarz bez wyrazu, pytali mnie, czy czymś się nie zatrujęm. Wreszcie zrozumiałem: nie wystarczy wepchać sobie w policzki wate i usmarować twarz na czarno, żeby śpiewać jak Luis Armstrong...

Spytacie pewnie, co się dalej działo z Waltem? Umarł we śnie. Podobno jeszcze przez tydzień nikt nie skapował się, że nie żyje. Ludzie przychodzili do niego załatwiać różne sprawy, a Walt, jak zwykle, służył im radą i pomocą. Dopiero, gdy opadła mu szczęka, a z ust wypadł opuchnięty, biały jęzor, zrozumiano, że coś jest nie tak. Walt przecież nigdy by się tak nie zachował. Nawet gdy mówił, lewo otwierał usta.

## LILI HULAJNOGA

Opowiem wam teraz o Lili Hulajnodze. Kochałem ją kiedyś, chociaż, szczerze mówiąc, Lili to była suka. Nazywali ją Hulajnoga, bo łatwo się było na niej przejechać. Niejednego wyrolowała tak, że potem przez parę miesięcy musiał ukrywać się ze wstydu.

Lili była artystką, a takie są najgorsze. Występowała w małej knajpie przy Szóstej Alei, niedaleko lokalu Mamy Carter. Złośliwi mówili, że nie tylko ta ulica łączy ją z dziewczynkami z burdelu. Kiedy śpiewała te swoje rzewne, niemieckie piosenki, sala milkła, jakby nagle pojawił się na niej kapuś. Powiadano, że kiedy Lili śpiewa, nawet bimber przestaje kapać w destylatorach.

Lili była Niemką. Pochodziła z miasta o nazwie Allenstein. Teraz to podobno jest w Polsce, ale tak sobie myślę, że odkąd Lili stamtąd wyjechała, równie dobrze mogłoby być nawet w Chinach. Opowiadała, że gdy była mała, lubiła kąpać się w jeziorze przy świetle księżyca. Kładła się potem na brzegu i rozmyślała o sensie życia. Słyszałem, że Niemcy tak właśnie mają. Nic dziwnego, że potem wywołują wojny.

W Nowym Jorku, w każdym razie, Lili była już duża, i jeżeli było coś, w czym lubiła się kąpać, to była to forsa. Z pieniędzmi zresztą nigdy nie miała problemów. Tlum facetów, którym zawróciła w głowie, gotów był dla niej na wszystko. Billy Skubaniec właśnie dla niej postanowił załatwić komisarza Connorsa. Dziesięć patoli to było coś, co trzymało Lili przy facecie lepiej, niż najładniejsza nawet buźka.

Lili zawsze jednak chciała więcej, niż miała. Gdy Billy zdobył swoje dziesięć kawałków, poznała właśnie jakiegoś faceta z branży obuwniczej. Gość śmierdział forszą, jak stary pijak moczem. Billy poszedł w odstawkę i wyjechał do Hamburga. Szczerze mówiąc, Lili miała szczęście – gdyby nie ten Hamburg, nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło.

Lili Hulajnoga była jak to miasto. Wydawało się, że pójdzie z każdym, kto pokaże jej pełny portfel, ale tak naprawdę, żaden z nas jej nie miał. Faceci się zmieniali, a ona jakby tego nie zauważała. Taka była Lili, taki jest też Nowy Jork.

Jednak i na nią przyszła pora. Poznała kiedyś gościa, który miał ją w nosie bardziej, niż ona jego. Miał kupę forsy, białego jaguara i coś takiego we wzroku, od czego w pudełkach łamały się zapalniczki. Chuck Mańkut, który jest katolikiem, więc zna się na tych sprawach, mówił, że tak musi wyglądać diabeł.

Pamiętam dokładnie dzień, kiedy dowiedziałem się, że Lili nie żyje. Znaleźli ją martwą przy stoliku w jakiejś kawiarni. Nikt nie widział, kiedy tam weszła, ani z kim. Na jej ciele nie było żadnych śladów, tylko na twarzy miała takie małe, zielone ranki, jakby kreski namalowane zielonym tuszem. Znałem potem kogoś, kto przysięgał, że widział Lili po wojnie



na Manhattanie. Nie wiem, co o tym sądzić – podobno niedawno widziano znowu Elvisa w Memphis. Jedno wam powiem: nawet, jeśli to prawda, nie był to już ten sam Elvis.

## **o książce *Opowieści Central Parku***

Opowiadania kryminalne, których akcja ma miejsce w Nowym Jorku w trzeciej i czwartej dekadzie XX wieku. Charakterystyczni bohaterowie (wśród nich Martwy John, Chuck Mańkut czy Mama Carter) pojawiają się w odmiennych fabularnie historiach, które nawiązują do stylistyki utworów o tematyce gangsterskiej, nie stroniąc równocześnie od kpiny i czarnego humoru. Opowiadania łączy także sposób narracji: przewaga krótkich zdań, dosadny język, bezpośrednie zwroty do czytelników.